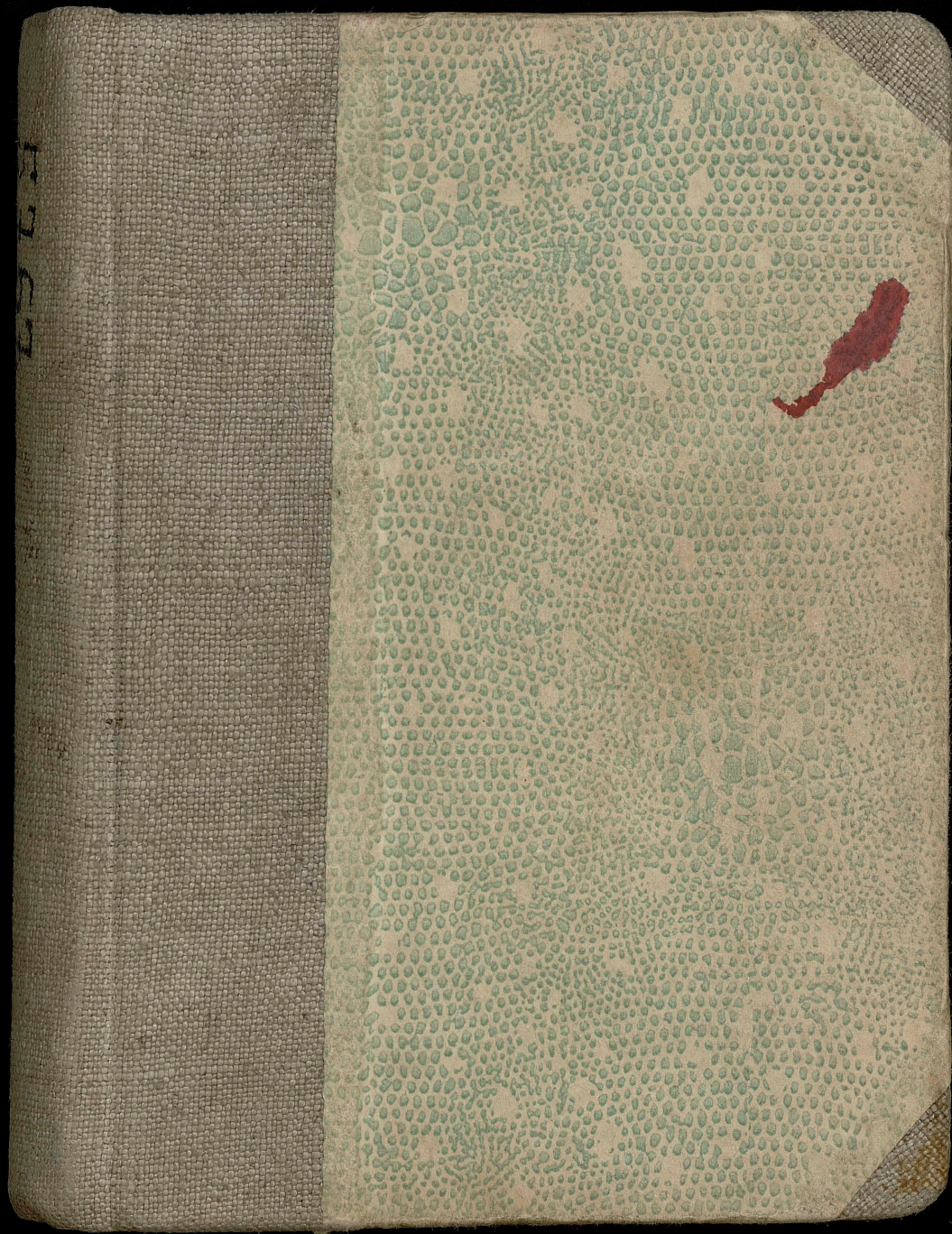






[Handwritten signature]

DZIEŁA JANA KASPROWICZA

I

TOM I

WYDAŁ DZIĘKI WARSZAWIE

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM I

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS
1930



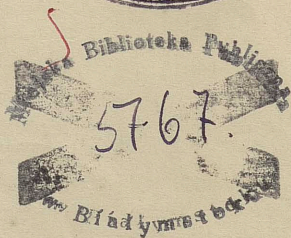
JAN KASPROWICZ

JAN KASPROWICZ
PIERWSZE POEZJE

KRAKÓW

1930

V+



284-1

23

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

B. 4/18
maj

WYDAWCA DO CZYTELNIKA

Wydanie zbiorowe niniejsze ma na celu niezwłoczne udostępnienie całego dorobku twórczości i pracy wielkiego poety z wyjątkiem przekładów. Poprzednie wydanie zbiorowe z 1912 roku, dokonane pod okiem poety przez Ludwika Bernackiego, nie mogło objąć wszystkich pism, gdyż w zakres jego wchodziły tylko utwory poetyckie, a nadto w chwili jego pojawienia się okres twórczości poety nie był jeszcze zamknięty. Wydanie Bernackiego dawno zostało wyczerpane, dzieł takich jak książki: „O bohaterskim koniu i walącym się domu“, „Ballady o słoneczniku“, „Chwil“ również od kilku lat niema w handlu księgarskim. Stan ten, charakteryzujący zresztą niski poziom ambicji wydawniczych, skłania nas do wysunięcia na plan pierwszy celu praktycznego: Usunąć przeszkody, niechaj copredziej twórczość Kasprówicza stanie się kształtującym czynnikiem dzisiejszego i przyszłego życia duchowego narodu! Z tego najważniejszego względu zrezygnować narazie trzeba z wydania krytycznego, gdyż byłoby to obecnie, przynajmniej w najbliższych czterech czy pięciu latach, niewykonalne. Kasprówicz nie tylko nęgił niedoceniał roli swej twórczości, lecz był wręcz wcielonym przeciwieństwem pisarza uprawiających kult swej osoby. Autografy dzieł swoich gubił lub rozdarał, utwory, które nie zadowalały jego wymagań artystycznych, niszczył. Dat powstania nawet większych utworów często nie pamiętał. Wskutek tego wśród pozostałych po nim skryptów, z których większa część mieści się w Zakładzie im. Ossolińskich, a pozostała jest w posiadaniu rodziny poety, przeważają przygotowane do druku rękopisy przekładów lub teksty wykładów uniwersyteckich. Wyjątkowa wprost nieczytelność pośpiesznego pisma poety i przysłowiowy artystyczny nieporządek w papierach (nieliczne pozostałe autografy oryginalnych utworów są przeważnie niekompletne) dopełnia miary trudności.

Dlatego tekst niniejszego wydania oparty jest przeważnie na wydaniu Bernackiego (wszystkie utwory poprzedzające chronologicznie zbiorek „Chwile“ z nielicznymi wyjątkami) oraz — tyczy to nieobjętych tem wydaniem pism — na pierwszych wydaniach zbiorów, na tekstach drukowanych w czasopismach i wreszcie nielicznych autografach niedrukowanych utworów. Przygotowując pierwsze wydanie zbiorowe poeta poprawiał teksty swych utworów, zwłaszcza pochodzących z najwcześniejszej fazy jego twórczości. Ze względów technicznych wszystkie odmiany między tekstem pierwodruku w czasopiśmie lub w pierwszym wydaniu książkowym a tekstem naszego wydania nie będą oznaczone, zwłaszcza że polegają one prawie zawsze na usunięciu przez poetę drobnych usterek technicznych, podane będą natomiast wszystkie ważniejsze odmiany tekstu. Niezbędne objaśnienia dotyczące pochodzenia tekstu, uzupełnień, odmian, układu oraz króciutkie charakterystyki zebranych utworów znajdzie czytelnik na końcu każdego tomu. Ostatni tom niniejszego wydawnictwa zamykać będzie krótki życiorys wraz z charakterystyką poety. Ze względu na długą drogę rozwoju twórczości i odmienną formę artystyczną w różnych jej fazach za podstawową zasadę układu pism poetyckich uznany został porządek chronologiczny; tylko pisma o charakterze publicystycznym i naukowo literackim pomieszczone będą w ostatnich tomach i ułożone według rodzajów. W układzie każdego tomu naogół zachowana będzie wiernie kompozycja wychodzących za życia poety zbiorów (z pominięciem przekładów), a współczesne im utwory, które w skład tych zbiorów nie weszły, będą drukowane na końcu tomu przed warjantami. W tych wypadkach, gdy nieunikniony był kompromis między temi zasadami a innymi względami, znajdzie czytelnik umotywowane wyjaśnienie na końcu tomu.

Kraków, 9 grudnia 1929.

PRZEDMOWA

Genewa, 8 listopada 1888.

Kochany Panie.

Ponieważ czynicie mi ten zaszczyt, że życzyć sobie, ażebym pierwszemu utworów waszych poetycznych tomikowi za ojca chrzestnego służył — niech tak będzie. Przyjmuję zaszczyt ten tem chętniej, że daje mi on sposobność rzec słów kilka o poezji naszej, tak ogadanej, tylu zarzutami i winami obarczonej. Nie zamierzam jednak traktatu pisać. Będę się trzymał o ile można najbardziej w granicach „słów kilku“, dla tego nie wywołam cieniów naszych wielkich „grzeszników“, poprzestając na tem, co nam przynosi doba obecna, doba w której słyszeć się daje głośno i apodyktycznie wypowiedane twierdzenie, że epoka poetyczna dla Polski przeminęła bezpowrotnie i poezja nasza na laurach romantycznych snem wieknistym spoczęła. Requiescat in pace. Co się jeszcze wiazaną mową pisze i drukuje jest to, odnoszące się do grobów, w których złożone są kości wieszczów, podzwonne tych, co się „wieszczami“ być sądzili, byli zaś w rzeczy samej nie czem innym, jak mistrzami słowa, biegłymi na klawiszach serc ludzkich naiwnych graczami. Że się jednak granie własnem przejmowali, jak aktorowie przejmują się rolę, pozostawili przeto po sobie wzory, których naśladowanie, nie wystarczając na to, ażeby poezja zajęła, jak zajmowała dawniej, przo-

dowe w porządku literackim stanowisko, wystarcza na to, ażeby dowcipnym krytykom, recenzentom i feljtonistom służyła za cel pocisków najczęściej zgoła niedowcipnych, ale za to dotkliwych. Tego rodzaju traktowanie poezji wydało rezultaty odpowiednie. Ludzie talentem poetycznym obdarzeni, poczuwają się, jakby na nich kondemnata ciążyła, nie szukają dróg nowych, ale garną się do naśladowania wielkich wzorów. Na drodze tej doścignęli oni wysokiego doskonałości stopnia; wyrobili formę bez zarzutu pod względem wykończenia; czyta się ich z przyjemnością, z rozkoszą niekiedy; lecz się w nich nie dostrzega tej fizjognomji odrębnej, tej oryginalności artystycznej, która uwagę zatrzymuje, zastanawia i uderza przez to, że ją cechują znamiona twórczości. Brak oryginalności wielu czytelników do poezji zraża. Nie jeden, spotykając, bądź w pismach perjodycznych, bądź w tomach i tomikach, utwory wierszowane, powiada sobie: „Na co mi to!... przeczytać wolę Mickiewicza, Słowackiego“.

Owóż, zdaje mi się, kochany Panie, że Wy, śród poetów naszych społecznych, jawiacie się z fizjognomią odrębną, z indywidualizmem rzeźko naznaczonym i własnym, z wypiętnowanym na czole waszem dowodem, że źródło kastalskie w Polsce nie wyschło. Z tej strony przedewszystkiem krytyka oglądnąć Was powinna.

Nie podaję się na krytyka; mam jednak tę pretensję, że nie należę do rodzaju „słuchaczy głuchych albo umarłych“: dla tego utwory wasze, gdym się z nimi po raz pierwszy lat temu kilka spotkał, od razu uderzyły mnie tak formą, jak treścią. W formie dostrzegłem łamania się z trudnościami, sprawiającemi wrażenie takie, jakby wywoływane były umyślnie; w treści odczułem oddźwięk tych tęsknot, bólów i skarg, jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli.

Co do formy utwory wasze przedstawiły mi się, jako prze-

ciwienie Bohdana Zaleskiego, który językowi nadał gietkość melodyjną, czyniącą z mowy polskiej jakąś promiennością przenikniętą pyłkowością, przeznaczoną na „kojenie serca i ucha,, podczas kiedy akcenty mowy tej samej w ustach waszych mają w sobie coś surowego, twardego, szarpiącego, targającego, rzekłbyś dzikiego i mimo to, raczej dla tego właśnie wywierającego urok dziwnie pociągający. Skąd to pochodzić może? — czy stąd, żeście wykazać chcieli, że mowa nasza nadaje się zarówno do łagodnych, kwilących, jako też do surowych, twardych tonów? — czyli też stąd, że sama źródła natchnień waszych natura taką nie inną formę Wam narzuciła?...

Kwestji tej jednak rozstrzygać nie będę. Pozostawiam ją do rozstrzygnięcia bieglejszym, aniżeli ja, w materji tej, a dodam jeszcze słów parę w rzeczy treści, w której dopatrzyłem pewnej na zaznaczenie zasługującej analogji. Czerpaną jest owa treść ze źródła tego samego, z którego czerpali pieśniarze ukraińscy bezimienni. Źródło to bije w krainie niedoli, zagrożonej w smutku głębokim i pojękującej rozpaczą. Dotyka mnie to osobiście niejako. Na pieśniach ukraińskich wychodowałem się i dla tego zapewne odczułem lutni waszej nastrój, natchnień waszych zaród. Niedola jest niedolą tak samo nad Bohem jak nad Wartą. Jedna i druga to siostry rodzone, gdy przeto opiewacie wielkopolską, w pieśniach waszych odzywa się wyraz, pobrzmiewający w pieśniach ludowych rusińskich i w utworach poety najbardziej ludowego, jakim jest Szewczenko. To toż samo, przeniesione jeno na grunt wielkopolski i wypowiedziane językiem takim twardym, w formie tak trudnej, jak twardem i trudnem jest życie ludu, skazanego „na wymarcie, na bezehowy koniec bytu“, jak w prześlicznym waszym, nadzieją i otuchą przeświecającym „Excelsior“ powiadacie.

I cóżbym Wam o Was jeszcze napisać mógł? Przychodzą mi na pamięć wyrazy, które posłużyły za przedmowę jednemu z Ukraińców, gdy z pierwszym utworem swoim przed publicznością wystąpił: „Idy dytia moje w świt, szcasty tobi, Boże“! Życzenie to powstało Wam zapewne w myśli i sercu, gdyście rękopis pierwszego waszego tomiku do druku posłali. Wyprawiliście w świat, pomiędzy ludzi, dziecię wasze pierworodne. Niech idzie i oby — ze swojej dodaje strony — szczęściło mu się. Ono na to zasługuje, wyszło bowiem z naszej chaty, jest plodem naszych cierpień, bólów i smutków wspólnych, wypowiedzianych tak, jak się wypowiada skarga, domagająca się nie zlitowania, ale sprawiedliwości. Powinno więc być to dziecko wasze powitane i przyjęte życzliwie przez wszystkich, tak przez publiczność, jak przez krytyków i recenzentów, przez feljetonistów nawet. Ja się o losy jego nie trwożę: przebije się ono, chociażby je na wstępie miny jakie spotkać miały z powodu, że nie w haftowanym i prasowanym przedstawia się stroju; przebije się — rodzic zaopatrzył je w siłę, która mu na przebój starczy.

T. T. Jeż

I

MELODJE WIOSENNE

I. MARZANNO!

Marzanno! choć każdą ty warzysz
Roślinę,
Ja niech w twym uścisku nie ginę
Na wieki!
Marzanno! płomienna dziewico,
Spal serce,
Lecz zasiej mi trawy kobierce
Na grobie.
A pośród tej trawy zielonej
Niech wiosną
Czerwone się kwiaty rozrosną
I białe.

Niechaj-że ci, co w rozpacz
Wciąż żyją,
Nadziei girlandę uwiją
Z tej trawy.
A tym zaś, co darmo ścigali
Tęcz wstęgę,
Niech róża się zmieni w potęgę
Miłości.
A tym, którym pierś już w zwątpieniu
Wysycha,
Niech bije z lilji kielicha
Zdrój wiary.
Marzanno! o przemień mój kurhan
W grodzisko

I w ognia wiecznego siedlisko
Mą urnę:
Prawnicy się wówczas z swych zwątpień
Ocuą
I hymny tu przy mnie zanuą,
Rozgrzani.
I dymy ofiarne się w górę
Podniosą,
Bo dzięki uczynią niebiosom,
Że wolni!...

II. O WITAJŻE NAM, WIOSENKO

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże nam, wiosenko
Gorąca!
Ty białą roztaczasz ręką
Kobierce z ziela,
Ty białą zapalasz ręką
Blask słońca.

Jasne, jak kryształ, potoki
Zsyłasz na ziemię,
Jasne, jak kryształ potoki
Świat poją:
Przebudź z zadumy głębokiej
I ludzkie plemię,
Przebudź z zadumy głębokiej
Brac moją.

Grudzień rozsypał swe szrony
Na senne skronie,
Grudzień rozsypał swe szrony
Na serce,
I duch tym lodem zmrożony,
Siłą nie płonie,
I duch tym lodem zmrożony,
W rozterce.

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniótl nas żywot skazańców
I my znużeni,
Ach! zgniótl nas żywot skazańców
Bez bytu!

Nie wiń nas, wiosno, że lice
W walce nam błedną,
Nie wiń, że marszczą się lice
W tej nędzy,
Lecz spuść rzeźwiącą krynicę
Na duszę biedną —
O! spuść rzeźwiącą krynicę
Coprędzej!

O witajże nam, wiosenko,
Matko wesela,
O witajże, nam wiosenko
Gorąca,
I białą roztaczaj ręką
Kobierce z ziela,
I białą zapalaj ręką
Blask słońca!

III. I OTO ZNOWU WRÓCIŁAŚ

I.

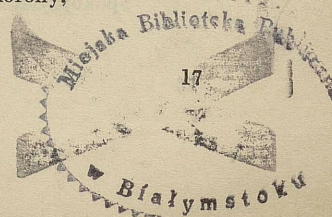
I oto znowu wróciłaś, rumiana,
Wesoła siostró poblądlej jesieni,
Co memu sercu wczorajszego rana
Kazała tonąć pośród mgieł i cieni,
A jednak wierzyć, że siła promieni,
Ukryta w zmroku głębinach, jest bytem
Wiecznie trwającym... Wróciłaś w zieleni
Liść przystrojona, co wczoraj był mitem,
A dziś prawdą, żywota świadectwem niezbitem.

II.

Wróciłaś znowu i znów się błękitem
Pogodnych niebios uśmiechasz. Śród fali
Oswobodzonej i w ziele rozwitem
Znowu się w szczęście twój obraz kryształi.
I znów śród świata niezmierzonej dali
Rozrzucasz blaski i rozwiewasz wonie
W takiej ilości, że świat snąć się pali
Żarem niezgasłych zachwyty i tonie
Bezdennej snąć rozkoszy znajduje w swem łonie.

III.

Patrz, jak ku słońcu twojemu swe skronie
Zwraca ten żółty kwiat mleczu, wzgardzony
Gość naszych ścieżyn! Jak słonecznej płonie
Dumy odbiciem, jak gdyby w złocony
Przybrał się klejnot królewskiej korony,



A przecież, wiosno! pośród twoich dzieci
Jest jako żebrak... Patrzaj, te zagony —
Wczoraj pod śnieżnej ciężarem zamieci,
Dziś tam falą smaragdów ozimina świeci.

IV.

Na cmentarzyskach, na grobach stuleci,
Gdzie myśli ludzkiej koniec i początek,
Widzę, jak dech twój nowy żywot nieci
Śród traw, tych zwiędłych przeszłych dni pamiątek...
I zdaje mi się, że smutny zakątek
Żalu i skargi w liściu srebrnej brzozy
Nie jęk rozpaczy, lecz nadziei wątek
Pomieszcil dzisiaj, że nie znakiem grozy
Lecz szczęściem jest, którego nie zważą już mrozy...

V.

I cały byt ten jest jak kwiat mimozy —
Odczuwa każdy dotyk matki młodej;
Wiatr, gdy szeleści wśród nadbrzeżnej łozy.
Błyszczące krople rozpięionej wody,
Olbrzymich dębów niewzruszone kłody,
Owite wieńcem zielonym; na szczycie
Gór niebotycznych te orły i plody,
Co w grudce ziemi zwalczają się skrycie,
To twoja pieśń, two światło, two barwy, two życie...

VI.

O, widzę ciebie w tym srebrzystym świecie,
W jutrzence, w zorzy rozlanej purpurze,
W słońcu, co zwolna pnie się po błękiecie
Spokojnych niebios ku południa górze

I w każdej plamce, w każdej drobnej chmurze,
Która mu drogę zachodzi, istoty
Swej część zostawia, swych promyków róże,
I znowu schodzi powoli, tęsknoty
Wiedzione lekką dłonią, w ten grób morza złoty.

VII.

Widzę cię w zmroku wieczornym, gdy sploty
Niebieskawymi ogarniasz kształt ziemi,
Co lgnie wpół do snu, a nawpół ochoty
Życia się czepia, piersi stłumionemi
Wolno oddychać i nad dziećmi swemi,
Trawą i kwiatem, rosę łez swych leje —
W jasnej się widzę nocy, co srebrnemi
Patrzy gwiazdami, miesiącem się śmieje
I z ludzkich marzeń snuje nowe jutra dzieje.

VIII.

Słyszę cię w wietrze, który z lekka wieje
Od stron nadmorskich i z lekka kołysze
Łany ozimin. Słyszę cię, gdy dnieje,
W pieśni skowronka, co tę świtań ciszę
Pierwszy przerywa; słyszę cię, ach! słyszę
W dziwnym poszeptcie wierzbiny, w oraczy
Rannej modlitwie i w rozgranej pysze
Jezior, budzących w mej duszy prostaczej
Pragnienie dnia, co świt swój swobodą zaznacza...

IX.

W geganiu gęsi, w derkaniu derkaczy
I w ryku bydła i w skrzypie żorawi
I w rzeniu konia, ku chłopców rozpaczy

Mknącego w pole, i w starcu, co praw
Pótnagim wnukom — a tak są ciekawi
Dawnej powieści, że stanęli kołem,
Rzuciwszy krągi: baśń ich więcej bawi —
W nawoływaniu słyszę cię wesołem,
Co ginie za porośłym bylicą rozdołem.

X.

I słyszę ciebie, jak, w wieczór, nad siołem
Trzepocesz skrzydłem gołębi, gdy, senne,
Do gniazd już swoich powracają społem...
Ach! i te zwrotki pastuchów, codzienne,
Powszednie zwrotki, a jednak brzemienne
W takie rozkosze i w takie tęsknice,
Twoim są głosem, o wiosno, bezdenne
Pieśni źródłisko!... Słyszę cię w muzyce
Sferycznej, co nam zdradza niebios tajemnice.

XI.

Czuję cię wszędzie: gdy znikną śnieżyce,
W łąki wilgotnym wyziewie i w roli,
Gdy ją pług kraje, spulchniają bronice,
Świeżym oddechu, co parą powoli
Ponad brzdami się wznosi i doli
Chłopskiej łzą spada... Czuję cię wśród woni
Żółtych róż wodnych, w zapachu kākoli
Ledwie rozwitych, w kwieciu grusz, jabłoni,
W powietrza każdej bryłce, żar czy chłód nam roni.

XII.

Czuję cię, matko, której dech mnie broni
Od lodowatej rozpaczy, od chorej

Ducha bladości, w niezgłębionej toni
Życia, co w nowe wciąż się łamie wzory.
Czuję cię w bytu popędzie, co tworzy
Najmniejsze łączy miłością i kłosy,
Wyczekujące dojrzewania pory,
Każe zapładniać bliźnim pyłkom: losy
Człowieka z nimi razem zwałyły niebiosy.

XIII.

Czuję cię w sobie, jak kwiat krople rosy
W swoich komórkach odczuwa, i jestem
Jako ta pszczoła, co spieszy na wrzosa,
Zanim okwitną, miód zbierać. Twym chrzestem
Uświęcon, zmieniam się cały; za gestem
Twej miękkiej ręki idę, gdzie mnie wzywa
Prawda i piękno dźwięcznych słów szelestem,
A na ich imię krew mi się rozgrywa:
Z każdego jej atomu płynie pieśń twa żywa.

XIV.

Ach! ja cię czuję, choć cię dziś zakrywa
Fałsz przenikczemny, choć dziś hasła twoje
W parodję gawieź zmieniła krzykliwa —
Czuję się w głębiach ludzkości, ostoje
Mając w tej myśli, że jutro na boje
Przeciwko zimie z jej wnętrza wyrosną
Wielcy duchowie, przyodziani w zbroję
Czystych poświęceń, że zwycięstw radosną
Zadzwoni ludzkość pieśnią; wiosno! wiosno! wiosno!...

IV. O ZŁOTE SŁOŃCE

O złote słońce, ty dziś na błękitnem
Przyświecasz niebie ognistymi blaski,
A przecież w sercu, cierpieniami szczytnem,
Nie chcesz promiennej zapalić nam łaski,
Nie chcesz spleśniałej tkaniny żywota
Zmienić w przejasną, nieskalaną przędzę,
Lecz, zdala szczęścia rozjaśniając wrota,
Jeszcze nas w większą, ach! w większą pchasz nędzę.

Zrodzeni w chatach dymiących i brudnych,
Zaledwie w piersi dosłyszmy oddechu:
Cóż więc dziwnego, że myślę o złudnych
Krajach rozkoszy bez bólu i śmiechu?
Cóż więc dziwnego, że prawie szkielety,
Zebrzemy siły i krasy młodzieńczej,
Że pragniemy męskiej do czynów podniety,
Co blade czoła wawrzynem uwieńczy?

Ty znów świeżemi okrywasz makaty
Ziemi powiędłe, zmrożone manowce,
I znowu wlewasz dziewiczość w te kwiaty,
Co oplatają wieńcami grobowce.
Oto, poprzednio lodowe, źródlika
Dziś się tak jasno, tak czysto kryształą,
Taki z nich napój dla błoni wytryska,
Taka swoboda gna falę za falą.

A nasze duchy odświeżasz nadzieją?
One sennemi trapione widziadły,
Czy się, ach! dzisiaj w tej walce nie chwieją,
Czy nie drżą dzisiaj, jak listek opadły?
O złote słońce! Czy ciebie nam winić,
Że osiadł smutek wśród naszych obliczy,
Gdy ciśniesz węże, co jadłem chcąc ślinić
Te usta spiekle, spragnione słodyczy?

Nieszczęsna dola! Złe losów zabawy!
Tutaj odżyły ziół martwe kobierce,
A ludziom braknie ożywczej potrawy
Ach! i grobowo wciąż bije im serce!
Wszyscy zbierają się wokół mogiły
I brzask wiosenny witają zwątpieniem,
Jakby na wieki zamarły w nich siły,
Jakby na wieki złamani cierpieniem.

A przecież jeszcze w popiele rozpaczy —
W sinym popiele nie zgasła na zawsze
Iskra młodości, ukryła się raczej,
Aż ją rozdmucha znów słońce łaskawsze.
O złote słońce! Z tej wiosny przybyciem,
Chciej ją rozetleć w płomień jasny, żywy,
Chciej nią powiązać rozkosze ze życiem,
Chciej nią zgotować dla nas czas szczęśliwy...

V. NAD ŚWIATEM, NAD SENNYM,
ZABŁYŚŁA

Nad światem, nad sennym, zabłysła
Uroczą poranku dziewica,
Z jej oczu skier fala wytrysła,
Na ziemi wybladłe lica.
O świcie! o jutrzniu! o zorzo!
Dolejcie wy żaru w mą duszę,
Nim bracia skroń ciężką położą,
Ja ogniem sen wyгнаć z nich muszę.

Natura senliwie nie wzdycha
W objęciach zimowej zagłady,
Po łąkach z wonnego kielicha
Miód chłoną nadobne owady.
Naturo! niech dla mnie choć chwilka
Przemieni się w łąki barwione,
Daj lekkie mi skrzydła motylka,
By unieść w zachwyty się stronę.

Po wodzie w ostatnim odbłyску
Wieczorne słoneczko się wije,
W topielców lubieżnym uścisku
Spoczęły bielutkie lilije.
O wiosno! o słońce! o kwiaty!
Na skrzydłach cudownej tej tkanki,
Unieście w nadziemskie mnie światy,
Na łono anielskiej kochanki.

Gaj szumi i słowik śpiewa
I tańczy obłocznych chór dziewic,
W srebrzystym namiocie spoczywa
Srebrzysty nocy królewic.
O gaje! o pieśni słowicze!
O tęskna zadumo miesiąca!
Rozbudźcie fantazji oblicze,
Gdy blada, bezśpiewna, gdy śpiąca!

VI. WIECZOREM

Słońce się chyli ku ziemi,
Ostatnie blaski
Wiążąc w cudowne przepaski,
By niemi
Umierające niebiosą
Owinąć.

Już nad brzegami jeziora,
Zdała od ludzi,
Słowików piosnka się budzi,
Tak skora,
By tam, gdzie mieni się rosa,
Popłynąć.

By tam, gdzie rosą w ustroni
Niewinne kwiaty,
Miłosnej szukać zapłaty
I woni —
Przelać się w serce róż czystych
Na wieki.
Wtórzy jej дума pastusza
I łąn zielony,
I bór, który powiew stęskniony
Porusza,
I odbłysek gwiazd płomienistych
Daleki.

Patrzcie! z sennego łóżyska
Miesiąc już wschodzi,

Płynie po niebios powodzi
I błyska,
Albowiem wszędzie żar czuje —
Szczęśliwy!
Gwiazdy, splatają mu wieńce,
W srebrny ślad biegną,
Zanim porannej ulegną
Jutrzence,
Nim zorza blask swój rozsuje,
Blask żywy!

Tu piękność pełna spokoju,
Jak twarz młodzieńca,
Który nie stracił rumieńca
W przeboju,
Ni struł się zwątpień kielichem
Przedwcześnie:
Harmonja złotym łańcuchem
Wszystko spoila;
Czuję, jak wielką jej siłą
Nad duchem,
Tonąc w zachwycie przecichym,
Jak we śnie.

Żywot poczynam wieść nowy
I szczęście tuszę;
Tracąc więzące mi duszę
Okowy,
Gonię za pieśnią słowiczą
Z krzewiny,
Różę przyciskam do serca,
Ślodycz jej chylę,

Wielbię te barwy motyle
Kobierca,
O, i tę zieleni dziewczą
Brzeziny.

Uczucia płyną mi z łona,
Jak ros kaskada,
Co z tych wierzchołków opada
Srebrzona;
Myśli me błyszczą w miesięcznej
Pogodzie.
Nie byłem nigdy tak może
Spokojem wielki,
Jak dziś, gdy z uczuć kropelki
Tworzę
Ołtarz wspaniały i wdzięczny
Przyrodzie.

VII. NA ŁĄCE

Nad tymi kwiaty, co rosną na łące
I nad zdrojami, co u stóp ich płyną,
Świeci wiosennych rozradowań słońce
Ranną godziną.

Z niebieskich wyżyn, z okręgu pokuszeń,
Schodzą postacie, przyodziane w zieleni,
I stroją serca do miłosnych wzruszeń
I rozanień.

I znowu biją czystymi kryształami
Pieśni młodzieńcze z potrzaskanej harfy
I znów się stroją wdzięczne ideały
W różane szarfy.

O, jaka rozkosz! jakie upojenie!
Rzucam te wszystkie, którem wyśnił gody,
Stokroć bogatsze znalazłszy dziś mienie
W łonie Przyrody.

VIII. ŻYCIE O! ŻYCIE

Życie o! życie
Ta droga nie,
Do której mistrza potrzeba,
Aby z niej prądkę
Złocistą wć
I na niej wznieść się do nieba!

Niebo o! niebo
To jasny dzień,
Gdzie słońce w wianku zórz gości;
To zbiorowisko
Wiosennych tchnień,
Związanych węzłem miłości.

Miłość o! miłość —
To rajski kwiat,
Wyrosły w przeczystem sercu,
To złud anielskich
Uroczy świat,
To róża w świeżym kobiercu.

Niechaj-że wszyscy
W mistrzowską dłoń
Uchwycą złote przędzywo
I aniołami
Na niebios błoń
Wznoszę się żywo — a żywo!...

II

MELODJE JESIENNE

I. CICHE BOJE

Szumia drzewa, szumia,
Szumia w czarnym lesie,
A wiatr ich listeczki
Gdzieś na pole niesie.

Niesie gdzieś na pole
I jęczy żałośnie
Po minionem cieple,
Po minionej wiosnie.

Po minionej wiosnie
I ja lęę urońię,
Choć jej ogień jeszcze
W mojem sercu płonie.

Płonie jeszcze ogień
Oj! ten ogień święty,
Ale czyjaś ręką
We wnętrzu zaklęty.

Zaklęty we wnętrzu
Jak te skryte zdroje,
Co to ze skałami
Ciche toczą boje.

Ciche boje toczą
Bo braknie im nieba,

A im tak błękitów
Złocistych potrzeba.

Ciche boje toczą,
A nikt ich nie słyszy,
Aż ulegną skałom
W tej ponurej ciszy...

II. TYLE KWIATÓW OPADA ZAWCZEŚNIE

Tyle kwiatów opada zawcześnie —
Tyle kwiatów ach!
Tyle ludzi wciąż jęczy boleśnie,
Tonie w gorzkich łzach.

Dłoń jesieni zgrzybiała, ściągnięta
Mrozi ciepły dech,
I człek z kwiatem nie wie, nie pamięta,
Że znał słodki śmiech.

Dziś i ciebie chce złamać cierpienie,
Lecz się w marmur zmień,
A niemęskie łez gorzkich strumienie
Nie popłyną zeń!

III. ŁABĘDŹ

Bieluteńki gdyby mleko,
Rozwiał na wiatr żagle dwoje
I płynie,
A tu krople z drzew nań cieką,
Z drzew, co lica myją swoje
W głębinie —
Bieluteńki, gdyby mleko.

Przodem, srebrną piersią kraje
Oplecioną wieńcem trawy
Toń jasną,
Dziś mu wędną świeże maje,
Lecz złociste zórz oprawy
Nie gasną,
Gdy toń srebrną piersią kraje.

Ja swą żalność w sercu tłumię,
O tę siną wsparty korę
Topoli,
Liść mi szumi, a w tym szumie
Ukołyszę-ż czarną zmore
Mej doli,
Choć swą żalność w sercu tłumię?

Wicher coś mi jęczy, głuchy —
Gdybyś słodziej i weselej! —
Coś szepce:

O, łabędzie, srebrne puchy
Nie usłaly ci pościeli
W kolebce!
Tak mi jęczy wicher głuchy...

Oto biały ptak przedemną,
Pośród wody swemi pióry
Trzepoce:
Spadły krople w toń już ciemną
Z blaskiem tęczy, co wśród chmury
Migoce,
Gdy trzepotał ptak przedemną.

Hej! ta rosa, ta perłowa,
Nie przystroi chmurnej wody
W błekity
I mnie śnieżność łabędziowa
Nie rozerwie, gdym ja młody,
A zżyty,
Hej! ta rosa, ta perłowa!

Ptak odpłynął, a mnie głuchy
Wiatr ni słodziej ni weselej
Wciąż szepce:
O, łabędzie, srebrne puchy
Nie usłaly ci pościeli
W kolebce —
Tak mi jęczy wicher głuchy...

IV. Z PRZYJŚCIEM JESIENI

I.

Zbliża się jesień. Ten duch, co nad bytem
Nikłych wszechstworzeń niezłomnemi prawy
Od samych władz początków, błękitem
Budząc w nich życie słonecznym, wśród wrzawy
Wichrów szumiących i wśród deszczów łzawej
Wysłał ją pieśni: niech na lice świata,
Choć jeszcze ogniem się pali, swój mgławcy
Zarzuci welon i potem niech splata
W śmiertelny uścisk rękę — twardą rękę kata...

II.

Zbliża się jesień i na pustej roli —
Bez fal pszenicznych, które wiatr wiosenny
Z taką kołysał pieszczotą, powoli
Ślad swoich kroków wyciska brzemienny:
I oto gaśnie ostatni, promienny
Jaskier, co farb swych pożyczał od słońca:
Ostatnia róża w pochmurny, strumienny
Wpatrzona kryształ roni łzę i, drżąc
Na widok własnych kształtów, oczekuje końca.

III.

O prędzej, prędzej, ty zniszczeń aniele!
Niechaj od razu te kwiaty w boleści
Zimnej zastygną! Na ich wątłym cielem,
Które wiatr jutro rozproszy bez wieści,

Niech się ironją pierś twoja nie pieści!
Nie pragnij konań powolnych widokiem,
Gdy w każdym tchnieniu tysiąc skarg się mieści,
Zamrażać w sercu człowieka głębokiem
Zdrój życia, który różnym płynąć ma potokiem.

IV.

O prędzej! prędzej! Przyspiesz takt symfonii
Posępnych skonów: niech głuche rozjęki
Wierzy bez liści i trawy bez woni,
Jezior bez blasków i róży bez miękkiej
Sukni czerwonej, nie hamują ręki
Młodej zbyt wcześnie — o niechaj nie kłóć
Swymi akordy wesołej piosenki,
Którą wybrańcy dni wiosennych nuć,
Nim dłonie twe swym chłodem w zwątpienie ich rzucą.

V.

Zbliża się jesień... Ach! nie znam przyczyny,
Dlaczego wówczas dopiero w swą własną
Zaglądam duszę, gdy horyzont siny
I gdy się chmury zwieszają nad jasną
Powierzchnią wody, kiedy gwiazdy gasną
Z okiem przymglonem i gdy liść opada;
Dlaczego witam tę chwilę, jak przasną
Uciech godzinę? Czemu na to „biada“,
Brzmiące dokoła, pierś ma hymnem odpowiada?

VI.

Czy obraz śmierci, co dzisiaj zawisnął
Zbladłymi usty na sennej postaci
Tej smutnej ziemi i tak ją przycisnął

Kościstą dłonią, że aż oddech traci,
We mnie się jeszcze w swą grozę bogaci
I tak, jak siebie, obojętnym czyni
Na koniec istnień mej rodzonej braci?
Czyż moje serce w swej ciemnej świątyni
Ofiarną tylko składa cześć zniszczeń bogini?

VII.

Czyż miliony tych powiedłych liści,
Którymi dzisiaj wśród piaszczystej drogi
Wiatr w rozpasanej pomiata zawiści —
Czyliż te czarne, bezkłose rozłogi
I strop ten, w blaski złoczone ubogi,
Nie wyrwą z duszy przeciwko naturze,
Ostre dziś raniące nas głogi,
Pośpnych przekleństw, podobnych tej chmurze,
Co skrą błyskawic gromy zwiastuje i burze?

VIII.

Nie!... ja w rokoshu dziecinnym nie stanę
Przeciwko tobie, o matko, promieniem
Susząca ciepłym oczy, w łzach skąpane —
Wielka porodem i wielka zniszczeniem!
Nie! choć mnie dzisiaj razem z wszechstworzeniem
Którego częścią jestem i atomem,
Napełniasz smutkiem i otaczasz cieniem —
Nawet nad własnych, drogich kolumn złomem,
Nie rzucę w pierś ci płonącym złorzeczenia gromem.

IX.

Ale się zawsze ukorzę przed tobą,
O słońce, życia początku wspomniały!

Wszak ty rozgrzewasz serce martwym globom
I tych przystrajasz w płaszc niezmarłej chwały,
Co, wiosennymi porwani zapaly,
W twe walczą imię, ty zbawienia gońcu!
Przed tobą, nocy, ukorzę się cały,
Życia spoczynku i wrzekomy końcu,
Co świeży tor gotujesz jutrzejszemu słońcu.

X.

Przed tobą, wiosno, gdy, nad srebrnym źródłem
Schylona, patrzysz błękitnymi oczy
I nad swych dzieci kwiecistym rozwojem
Płaczesz z radości — tą łzą, co się toczy
Po drzew listeczkach i w jezior przeźroczy
Zlewa się z resztą swych siostrzyc, z jasnymi
Fali perłami. Przed Tobą, ochoczy,
Klęknię, o zimo, ramiony śnieżnemi
Strzegąca pól, gdzie spoczął przyszły owoc ziemi.

XI.

Przed tobą, życie, i przed tobą schylę
Skoń swą, o śmierci, przed słabych tęsknicą,
Błogosławiących z rozkoszą tę chwilę,
Gdy ty, stalową okryta zbroicą,
Stajesz przed zblakłą i błędną źrenicą
I z tych rumieńców, co nikną im z twarzy,
I z owych blasków, co już martwo świecą,
Tworzysz zawiązki serc nowych, ołtarzy,
Gdzie skra, składana życiu, płomiennie się jarzy.

XII.

Przed tobą, walko! Przed tobą, pokoju!
 Zwycięstwo! klęsko! zwątpienie i wiaro!
 Radości! smutku! nagroda i znoju!
 Błogosławieństwo! straszna przekleństwo karo!
 Rzeczywistości i ty, złudna maro!
 Harmonjo dźwięków! dysonansów zgrzycie!
 Bezdenna próżni! przepełniona czaro!
 Przed tobą w niemym upadnę zachwycie,
 Bo wiem, że ty się składasz w wieczne Jedno —
 w Życie!...

XIII.

Wiem, że za mglistą pozorów zasłona
 Kryje się wielki posąg granitowy
 Z okiem błękitnem, z złocistą koroną
 Owijającą się naokół głowy,
 Jak zórz porannych wieniec purpurowy
 Wokoło słońca, kiedy światów senność
 Idzie rozpraszać i spokój grobowy;
 Wiem, że tam władnie ta życia płomiennosc
 Swem hasłem: wieczność treści, chociaż form odmien-
 ność.

XIV.

Wiem, że co ginie, nie ginie daremnie:
 Że te promyki, co się dzisiaj stliły,
 Jutro rozjaśnią i rozgrzeją ciemnie
 Światłem i ciepłem młodocianej siły —
 Że te odarte dziś z kwiatów mogiły
 Jutro przybytkiem będą zmartwychwstania
 I będą szatą weselną świeciły,

Wiem, i od zwątpień ta myśl mnie ochrania,
 Że z ziarn, co dzisiaj padły, znów się żdźbło wyłania.

XV.

Więc obojętność swojej ręki chłodnej
 Na mojem sercu bijącym nie złoży,
 Ażebym dzisiaj, nowych blasków głodny,
 Spragniony wielkiej, czystej myśli bożej,
 Która nam złoty, wiosenny raj stworzy,
 Popadł w grób smutnych przeświadczeń, złamany!
 W imię nicości, którą świat się trwoży,
 W zmroku i we mgle jesiennej chowany,
 Nie pragnę się zatopić w obłoku Nirwany.

XVI.

Nie stracę wiary w poranek odrodzeń,
 Choć mgieł się ciemnych tyle dziś pokładło
 Na senną ludzkość, że z jej skarg, zawodzeń,
 Krających w bruzdy tę jej skroń pobladał,
 Jużby noc wieczną mi wróżyć wypadło;
 Nie stracę wiary — o nigdy nie stracę,
 Choć nad zagadnień treścią nieodgadłą
 Tyle dusz silnych marnuje swą pracę,
 A żaden głos im nie brzmi: „wszak ja wam zapłacę!“

XVII.

Gdyby ta matka i ta siostra moja,
 Której wraz jestem i synem i bratem —
 Gdyby ta ludzkość napiła się z zdroja
 Cudownych ocknień i, wielka rozbratem
 Z nocą, podniosła pierś ponad swym katem
 I rzekła: niebo! zwróć mi moje słońce!

A niebo znówby błyskawicznym batem
Pierś jej przecięło: tak, jabym gorące
Łzy ronił, lecz nie straci wiary serce wrzące.

XVIII.

A gdybym nawet — o przyszłości, blasków
Lecz i krwi pełna! — gdybym na głos dzwonów
I surm pogrzebnych, wśród błysków i trzasków,
Śród klątw i jęków mrących milionów,
Sam pod zwalonym gruzem panteonów
Kończąc z pragnienia, nie więcej nie zoczył —
Nic, nic, prócz dymu, zgłiszczy i prócz skonów,
W gróbbym bez bluźnierstw z tą wiarą się stoczył,
Że świat do życia zawsze przez śmierć będzie kroczył...

III

Z PADOŁU WALKI

I. NIENAWIDZĘ

Nienawidzę tych ludzi, co w sobie
Nie mają ciepła,
Nienawidzę tych, którym się skrzepla
Skra w łonie,
Albowiem tu leżą, jak w grobie
Martwe kościska,
Zdaleka od słońca co błyska
I płonie...

* * *

Napróżno ich w rannej godzinie
Do czynu budzić:
Gdzież im porywem pierś trudzić
Zwierzęcą!
Pigmeje w ślimaczej łupinie
Zakończą skrycie,
Gdy inni za prawdę swe życie
Poświęcą!

II. BŁOGOSŁAWIENI

Błogosławieni, którzy w czasie gromów
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczyny głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytych cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni:
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich męstwo
Wielkiego gmachu wrota im otworzy,
Gdzie razem z Chwałą, króluje Zwycięstwo —
Bez twardych kajdan, tak bez tych obroży,
Które na ziemi noszą upodleni...
Ten raj się tylko dla silnych zieleni:
Błogosławieni!

Błogosławieni, albowiem ich syny
Będą sprząтали ich ziaren owoce;
I wśród zmartwychwstań porannej godziny,
Gdy złote słońce blaskiem zamigoce,
W głos zawołają, duchem podniesieni:
Za ojców sprawą szczęście nam się pełni —
Błogosławieni!

III. PIEŚŃ IRLANDZKA

Krew najgorętsza, co mi w żyłach bije,
Irynie! Irynie!
I łzę najczystsza, co mi aż do serca
Płynie
I w jednej kropli cały byt mój kryje
I tak się błyszczy, odbłaski smutnemi,
Jako ta rosa wieczorna na kwiatach,
Wzrosłych śród mogił, śród tej nieszczęść ziemi,
Którą dzień po dniu, ach! lata po latach
Krwia i łzą spulchnia ten los-poniewierca:
Tę krew i łzę tę, co mi aż od serca
Płynie,
Poświęcam tobie, tak, tobie jedynie,
Irynie!

Przyszeli lud obcy na twój łąn zielony,
Irynie! Irynie!
I w twarz ci rzucił: „Zanim chwila sprzętu
Minie,
Nim twych żniwiarzy stanie tłum strudzony,
Dasz mi swój jęczmień i swoją pszenicę
I praw się swoich wyrzeczysz otwarcie,
Gdyż ręce drżą ci, a blade żrenice
„Skazany“ mówią, „jesteś na wymarcie“.
Ach! nim z dobytku nie zostanie szczętu,
Nim bez żniwiarzy twoich chwila sprzętu
Minie,

Zamień swą ziemię w najdroższą świątynię,
Irynie!

Więzów żelaznych, co ci ręce skuły,
Irynie! Irynie!
I myśl hamują, że, patrząc za siebie,
Ginie,
Nie stopi wieszczów twoich hejnał czuły,
Ani Emmetów krwawe złamią cienie,
Ni płomienista Grattanów wymowa,
Jeżeli dzieci zmarnują twe mienie;
Jeżeli ziarna, które bróg twój chowa,
Dla tych posieją, co, o twoim chlebie,
Myśl twą hamują, że, patrząc za siebie,
Ginie,
Zamiast iść naprzód i skamienieć w czynie,
Irynie!

Patrzaj, te blaski słoneczne jak gasną,
Irynie! Irynie!
I dzień ten biały, co życiem i ruchem
Słynie,
Jak kryje w zmroku, spokojny, twarz jasną!
On wie, że jutro żar większy rozpali...
O, zejdź, ty zbladły — swej przeszłości winą,
Z tem, co się smuci, i z tem, co się żali,
W grób zapomnienia, a ranną godziną
Wstaniesz, nie zgniecion tyranów obuchem;
Zejdź, jak dzień biały, co życiem i ruchem
Słynie,
A przecież, cichy, tonie w mgieł głębienie,
Irynie!

Krew najgorętsza, co mi w żyłach bije,
Irynie! Irynie!
I łzę najczystsza, co mi aż do serca
Płynie
I w jednej kropli cały byt mój kryje
I tak się błyszczy odbłaski smutnemi,
Jako ta rosa wieczorna na kwiatach,
Wzrosłych wśród mogił, wśród tej nieszczęść ziemi,
Którą dzień po dniu, ach, lata po latach
Krwia i łzą spulchnia ten los-poniewierca:
Tę krew i łzę tę, co mi aż od serca
Płynie,
Poświęcam tobie, tak, tobie jedynie,
Irynie!

IV. NA UROCZYSTOŚĆ DWÓCHSETNEJ ROCZNICY ZWYCIĘSTWA POD WIEDNIEM

Szczęśliwe ludy, które u mogiły
Minionej sławy gorzkich łez nie leją,
Którym się gwiazdy na niebie nie stliły,
Jeno wciąż świecą młodzieńczą nadzieją;
Szczeniwe ludy, które w czas zawiły
Przed czarną zbląkań nie zadrżały knieją,
Lecz, kryjąc w sercu zapal niepojęty,
Idą na pewno, gdzie ich cel wytknięty.

Nas, gdy dziś klęczym w popiele żałoby
Jeremiasza przygniotły cierpienia;
Spojrzymy za się, to posąg Nioby
Śród dziejowego pograżony cienia;
Spojrzymy przed się, to świeże znów groby
Grzebią dla siebie przyszłe pokolenia,
I wszędzie, wszędzie noc i czarne chmury,
A śród tej nocy krzyże i tortury.

Z łona cmentarzysk, gdzie legli rycerze,
Powstają błędne, fosforyczne błyski;
My z nimi pragniemy zawiązać przymierze,
Cierpką karmieni strawą od kołyski;
My je gonimy w jak najlepszej wierze,
Nie myśląc o tem, że upadek blizki,
Że te grobowce, co tym ogniem płoną,
W przepaści swojej i głodnych pochłoną.

Któż nas powstrzyma i któż nam pomoże,
Że na fałszywe wkroczyliśmy tory,
Że te ogniki, co rodzą cmentarze,
Nie zdolne przegryźć żelaznej zapory!
Któż nas nauczy, że przyszłość wymaże
Z kart płomieniących lud słaby i chory,
Lud, co w śmiertelnym pasując się szale,
Szukał ratunku w zapomnianej chwale!

Więc nam pamiątek święcić się nie godzi?
Więc na tej drodze krwawej i ciernistej
Wzrok poza siebie obrócony szkodzi?
Więc ów Mojżesza dawien słup ognisty
Tym tylko świeci, co, zapalem młodzi,
Na wrogich wiatrów nie baczą poświsty
I, zapomniawszy o egipskim chlebie,
W kraj obiecany wciąż patrzą przed siebie?...

Tam, gdzie praojce za oręż chwycili,
By niewolnicze potargać okowy;
Tam, gdzie kreślili końcem ostrej stali
Hymn poświęcenia na płycie dziejowej;
Tam, gdzie się myśl ich wspaniała krysztali,
Błyszcząc barwami tej łuny tęczowej,
Tam się zbierajmy, a ze serc źródłiska
Niech na ich trumny pieśń uwielbień tryska.

I dziś ta chwila, przypomnieniem świeża,
Wzniesłego czynu uczy nas przykładem,
Jak wdziąć na siebie zbroicę żołnierza
I jak się w męstwa przystroić diadem;
Jak z pod złotego poświęceń puklerza

Nie drżyć tchórzliwie przed pocisków gradem —
Dzisiaj ta chwila uczy nas niezbiecie,
Jak za mir ludów nieść w ofierze życie...

Wielcy i pełni męczeńskich zachwytów,
Ozdobmy duchy weselnymi wstęgi
I wzniesmy ręce z wiarą neofitów
Do tej gorącej, głębokiej przysięgi,
Że dążąc w sfery słonecznych błękitów,
Żadnej się zmroków nie zlekniem potęgi,
Że tak, jak ojce, przed śmiercią nie drżały,
I my za nasze skończymy ideały.

Nie nam się w zblakłe odziewać kontusze
Tej marnej sławy, co naszym upadkiem!
Nie nam to wieńczyć odrodzone dusze
Przebrzmiałych idei powiędłym już kwiatkiem;
Nie nam to walczyć za trumienne prósze,
Gdy gonim własnych wysileni ostatkiem,
Lecz wszystkie czyny kierować i myśli
W stronę, gdzie przyszłość nowe znaki kreśli.

Minionych czasów tajemniczy chwalce
Niech próżno ku nam zwracają swe oczy!
W Laokonowej odrodzenia walce
Nowemi walczyć broniami ochoczej,
Nowemi siły deptajmy padalce,
W zmartwychpowstania głos wierząc proroczy,
A czcząc to wszystko, co czci naszej godne,
Rzucajmy w przyszłość spojrzenie swobodne,

V. HEJ ODŁOGIEM LEŻY NASZA ROLA

Hej, odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania.

Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy,
Kraje bruzdy, choć pot ciecze z czoła,
Piele zielsko, choć zachodzą oczy,
Na sąsiednich zagonach dokoła,
Tak się tłumnie roi lud roboczy.

My na miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni,
Zapadliśmy snąć w sen nieprzespany,
Usnęliśmy, snąć rychło znużeni,
Na tej miedzy, co dzieli dwa łany,
Nasz i obcy, w wierzb płaczących cieni.

Wicher ku nam od mogił zawiewa,
I jak złodziej do wnętrza się wciska,
Myśl podcina, że już nie dojrzewa,
Studzi zapał, tak, że już nie błyska,
Ach! ten wicher, że ku nam zawiewa,
Od tych mogił i w wnętrze się wciska!

Prawda, ludzi, chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem,
Że szelesty, poczęte na grobach,
Są ich marzeń serdecznych spowiciem!
Prawda, ludzi chodzących w żałobach,
Trudno winić, że cmentarz ich życiem.

Lecz grób smutkiem, smutek to bezczynność,
A czas płynie i żniwo nadchodzi!
Hej ubiegnie nas sąsiadów zwinność
Plon nasz zgarnie dla siebie, jak złodziej!
Nas zabije ta smutku bezczynność,
Gdy czas płynie i żniwo nadchodzi.

Ach! odlogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania,
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania,
Gdyż odlogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, niema rąk do siania.

VI. EXCELSIOR

Więc my skazani na wymarcie?
Na bezechowy koniec bytu,
Kiedy naokół tętni parcie:
„Naprzód, hej! naprzód w stronę świtu?”
Więc legnąć mamy pośród zgrzytu
Tych sił brutalnych, praw ukutych,
Co serca, rwące się do szczytu,
Ranią nam ostrzem brzytw zatrutych —
Że wiem się, jak węże, pośród dreszczów lutyh!?...

Po naszych łąkach smutek wieje,
Smutek do naszych chat się wciska,
Jak widma sennie, mkną nadzieje,
A na ich miejscu rozpacz blizka.
Pocięte żyto; suche rżyska
Świadczą, że przeszedł już czas żniwa;
Z pod twardych cepów ziarno pryska,
Lecz któż z tych ziaren chleb spożywa,
Choć w każdej okruszynie trud się nasz ukrywa!?

Niema tygodnia, niema chwili,
Aby nie przyszły smutne wieści,
Że tam, gdzie wczoraj swoi żyli,
Dziś się już obce gniazdo mieści.
Ach! każdy zagon drży z boleści,
Najmniejsza grudka jęk wydaje
Na dzień bez chwały, dzień bez cześci;

Kiedy plóg obcy ziemię kraje,
To jęk aż na ostatnie płynie gdzieś rozstaje.

O serce! Niczem półmrok kaźni,
Niczem twych żywych pragnień kaci —
To los, co mieczem tylko drażni —
Wobec tych bruzd na twarzach braci,
Wobec zgarbionych tych postaci,
Którzy, na cierpień patrząc łoża
Onej wędnącej, świętej Maci,
Gdy gardła dławia im obroże,
Zaledwie dyszą: „Boże! święty, mocny Boże!...”

Jednak do góry! skroń do góry!
Niech się o troski nikt nie pyta,
Na skrzydłach wznosić się nad chmury,
•Gdzie złotem blasków słońce wita!
Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Niby w popiele skra ukryta:
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchałmy w tę skrę bożą, aż łun spłonie wstęgą!

Witajże, siło! Ucieleśnij
Corychlej w kształty się prześwieź
Na ryk cierpienia, na grom pieśni!...
Oto już, patrzcie! ciało bierze,
Sięga po puklerz, jak rycerz,
Co snuli niegdyś chwały przędę;
Swych archanielskich skrzydeł pierze
W wielkiej rozwija już potędze —
Więc w górę! więc excelsior: ponad lzy i nędzę!...

VII. TRZEBA NAM WIARY

Trzeba nam wiary — nie tej co nęci,
Tęczowej złudy obliczem;
Nie tej, co woła: O wniebowzięci
Słudzy Jehowy!
Trzeba nam wiary — nie tej, co, w nocy
Przed słońca kryje się zniczem
I drży, gdy świtu wielcy prorocy
Podniosą głowy.

Trzeba nam wiary — nie tej, co w duszy
Krzykiem: „tyś prochem jest, człecz!”
Zabija wolę i tętno głuszy,
To tętno czynu.
Ani też wiary — tej, która każe
Odślaniać piersi na miecze,
By znów przystroić pychy ołtarze
Liściem wawrzynu.

Trzeba nam wiary — nie tej, co wróży
Duchom, złamanym cierpieniem,
W zamian za kolce ziemskiej podróży
Raj w sferach mitu;
Trzeba nam wiary — nie tej, co zmysły
Piekielnem straszy widzeniem:
„Oto na wieki wam się rozprysły
Tafle błękitu!”

Trzeba nam wiary — tej wszechpotężnej,
Że, wobec głodu i męki
Złączonym w światła hufiec orężny,
Pójdziemy w boje.
Trzeba nam wiary, że my zawiśli
Od własnej woli i ręki,
Że przekształcimy w brzozy swe myśli
I w laurów zwoje!

Trzeba nam wiary, że, na rozsądku
I na miłości oparty,
Śród wiekowego gmach nasz porządku
Złotem lśnić będzie;
Trzeba nam wiary, że ten gmach słońca
I chleba wszystkim otwarty,
Że każdy walczyć winien do końca,
Aż go posiedzie.

Trzeba nam wiary — wierzymy, rówieśni!
O wierzymy, zwycięstw już bliscy!
I bądźmy zawsze jako ci w pieśni
Mężę ze stali:
Bo oto idzie czas zmartwychwstania,
A zmartwychwstaną ci wszyscy,
Co tej złocistej chwili zarania
Z wiarą czekali!

VIII. ONI I MY

I.

„Za wiele żółci macie, a za mało
Serdecznych uczuć kryształowej rosy!
Przed nami duszę zamykacie całą,
A gorzką skargę rzucacie w niebiosy
I, przepelnieni swem własnem cierpieniem,
Schylacie głowy, jak czerwcowe kłosy,
Które grad pobił lodowym kamieniem,
I nie wierzycie w ciepłą dłoń anioła,
Mogącą blade orzeźwić wam czoła.

II.

W łachman się chłopski okrywacie z dumą,
Od naszych stołów uchodząc zdaleka.
O, i krzyczycie niedojrzałym tłumom:
„Nie masz tam, niema szlachetnego czлека!
Oni wam kwilą na miłosną nutę,
A dłoń się waszych uścisków wyrzeka
I piersi w pancerz żelazny zakute,
A gdy się który do braterstwa przyzna
I ust wam poda: strońcie, tam trucizna!“

III.

Wszystko, co piękne, wszystko, co szlachetne,
We waszych oczach marą lub głupotą;
Rycerskie hasła i zwycięstwa świetne
I skroń, koroną przystrojona złota

W urągowisku u was i pogardzie.
Niwelacyjną zajęty robotą,
Wielkie tryumfy widzącym w petardzie,
Ze spiekłej wargi wieczne krzyki płyną:
Hej, chodź, Spartaku! hej, chodź, Katylinu!

IV.

Zbrojni w nożyce fałszywej nauki,
Ufni skalanych zwolenników mnóstwem,
Pragniecie pociąć w najdrobniejsze sztuki
Węzeł, człowieka kojarzący z bóstwem.
Święte małżeństwo religii z rozumem
Wy karygodnym zowią cudzołóstwem,
Gasicie słońce zachwytów przed tłumem,
Kaząc natomiast w bezwstydną nagość
Szukać rozkoszy, siły i mądrości.

V.

Rwiecie nas naprzód, ale wasza droga
Rani nam stopy jadowitem zielem;
Wznosicie kościół, lecz kościół bez Boga,
A w nim z was każdy kapłanem mścicielem.
Odwieczne prawdy bezrozumną mrzonką
I Chrystus dla was płonny marzycielem.
Pod apostołstwa niewinną osłonką,
Lud odrywacie od jasnego nieba,
Krzycząc z nim razem: chleba! chleba! chleba!

VI.

O nie tak! nie tak! niecni matkobójce!
Macieź podkładać pod upadłe chaty
Świeże wciąż iskry i męczeństw ogrójce

Nowymi ciągle powiększać rozbraty?!
Uchwycicie wiary pochodnie w swe ręce,
Ducha w pokory przyobleczcie szaty,
Wtórucie ładu i zgody piosence
I bądźcie więcej wylani i szczerzy,
A my do swojej przytulim was piersi.

VII.

Zadowoleni bądźcie raz z tej strawy,
Którą wam wieki zgótowały dawne:
W kradzieży smutnej nie szukajcie sławy,
Rzućcie roszczenia śmieszne i zabawne;
Lud nasz do ofiar wiedzcie i poświęceń,
Ucząc, że stany święte są i prawne,
Że ziemską rozkosz znakiem zezwierzęceń,
I w tej szlachetnej nie ustając pracy,
Przestańcie pytać: Henryk czy Pankracy?...“

VIII.

Tak mówią oni... i z swych posterunków,
Na swe gasnące już patrząc ogniska,
Albo się ku nam do bratnich całunków
Poniżyć raczą, widząc, że śmierć bliska,
Lub, dawnych zwycięstw upojeni wonią,
Nie wierząc w przyszłość krwawego igrzyska,
Walczą bezpłodnie śmiechem i ironią,
Lub też, przejęci „oburzeniem świętem“,
Od nas swe oczy odwracają z wstrętem.

IX.

A my? czyż mamy czekać ze spokojem,
Aż się rozegra ten dramat dziejowy,

Którego pierwsze akty lżą i znojem,
Brakiem miłości, światła, karmi zdrowej;
A bohaterem, co swą pierś wypręży,
By zerwać pęta, ten olbrzym ludowy,
A katastrofą — szczęk krwawych oręży,
A epilogiem — równość i swoboda,
Chleb i królestwo miłości i zgoda?...

X.

My idziem naprzód, pragnąc waszej ręki,
Jeśli nam szczere przynosi sojusze;
Jesteśmy zawsze skłonni do podzięki,
Jeśli swą duszą grzejecie nam dusze.
Umiemy uczcić te męża ze stali,
Eleazary i Makkabeusze,
Co swoje życie dla idei dali —
Umiemy uczcić, choćby ich męczeństwo
Dla dzieci nowe przyniosło przekleństwo.

XI.

Lecz się nie damy ukołysać pieśnią
Owej przeszłości, co dzisiaj ruiną;
Dla nas z grobowca, pokrytego pleśnią,
Uzdrawiające kaskady nie płyną!
Ojce w zwycięstwach nie szukali chluby,
Aby zgotować gnuśny spokój synom:
Oni pragnęli, byśmy, jak cheruby,
U dziejowego postawieni tronu,
Błyskali mieczem przebojów do zgonu.

XII.

Lecz się nie damy uwieść ani zgłupić
Owym szalbierzom społecznej mennicy,
Co fałszywemi grzywami chcą okupić
Krew z naszej piersi, lżę z naszej żrenicy,
My się nie damy zgnieść kamiennym murem,
By tylko błyszczeć na dziejów stronnicy,
Pisanej waszych najemników piórem,
I nie odbierzem swoim dzieciom strawy,
By wasze dzieci miały chleb łaskawy.

XIII.

Wam, przyodzianym w samowładztwa delje,
Trudno się wyrzec złocistej poduszki,
Trudno ubóstwa przyjąć ewangelję:
Milej kornemi otoczyć się służki,
Milej się zakuć w zbroicę dogmatu,
Ludzkie rozумы zmienić na podnóżki
I tak panować zgłupiałemu światu
I, z rafinerją, w szaleństwie zaciekle,
Wyroki swoje pieczętować piekłem.

XIV.

O stójcie! stójcie! Ascetycznych sukien
Kraj się w tym wielkim zapędzie odwiewa,
A z pod tych grubych, z pod włosiennych włókien,
Którymi kaźden z was się przyodziewa,
Wygląda nagość bezwstydną niecnoty!
O stójcie! stójcie! Krzyżowego drzewa,
Uświęconego męczeństwem Heloty,
Co świat chciał zbawić szlachetnem marzeniem,
Nie znieważajcie tem brudnem ramieniem!

XV.

Głosim swobodę myśli, wolność ducha,
Wierząc w rozsądek i szlachetność ludzi,
Nie w katowskiego potęgę obucha.
A kiedy dzisiaj już nas nikt nie złudzi
Zaobłocznego wesela fantomem,
Nie będziem czekać, aż nam łan rozgrudzi
Zews lub Jehowa swoim ostrym gromem,
Lecz sami schwycim pługi w rękę czarną
I tu będziemy siali szczęścia ziarno.

XVI.

Na gruncie, dłonią uprawionym własną,
Wznosim świątnię nowym ideałom,
Nie na wzór waszych kamienną i ciasną,
Ale sterczącą porad ziemią całą;
Jej Przenajświętszem: to człowieka serce,
A w niem Bóg-Miłość, otoczony chwałą,
Płonie, jak promień w porannej iskierce,
A kolumnami, na których się wspiera:
Rozsądek, piękno, cnota, prawda szczerą.

XVII.

[O tak, my cenim piękno, lecz z rozsądkiem
Pierścieniem ślubów połączone szczytnych;
Zawsze w ślad idąc za życiowym wątkiem,
Nie rozumiemy kształtów niepochwytłych.
Pragniemy w sztuce hartu, siły, woli,
Pragniemy postaci, energicznych, bitnych,
A nie ginących w smutnej melancholji:
Nawet i wtenczas, gdy leżą w spokoju,
Chcemy w nich widzieć chęć czynu i boju!

XVIII.

O tak my cenim piękno, lecz ze życiem
W nierozzerwalnej będące harmonji;
Za romantycznym nie gonimy kwieciami
I egzotycznej nie pragniemy woni.
Nasza poezja — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.
Nasza poezja bez wizyj i cudów,
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa,
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa].

Idziemy naprzód! dalej! dalej! z nami!
Lepiej wziąć topór, niż paść pod toporem!
Idziemy naprzód, lecz nie ze stryczkami.
Nie ze sztyletem, skrytobójców wzorem!
Idziemy naprzód na otwarte pole,
Idziemy jawnym i ubitym torem —
Idziemy walczyć za ludzkości bole!
Śmierć albo życie! jedna ostateczność:
Dalej! Dziejowa zmusza nasz konieczność!...

IX. WIĘC CÓŻ?

Więc cóż?... więc wam się zdaje, że w tym świecie
Przyszłego jutra wisi mgła zgnilizny,
Która zadusi szlachetniejsze życie
I naszą łódkę stawia wśród mielizny
Hen! od słonecznych daleko przebłysków?
Więc wam się zdaje, że ciężkie spowicie
Z owocu naszych serdecznych uścisków
Da parjasów, żadnych krwi i zysków?...

Może myślicie, że w wielkim „oblędzie“,
Jaki zawładnął, podług was, sercami,
Na gruzach znowu wasz liktor zasiędzie
I zwyciężonym pogrozi różgami!
Że wy, odziani w bramowane togi,
Cisnąc przez tłum się w gorączkowym pędzie,
Tak go wśród swojej nadeptacie drogi,
Aż nie zawoła: bogi idą! bogi...

Może myślicie, że ziarno pszeniczne
Znów wyluskniecie dla własnego stołu,
By nas za trudy darzyć tytaniczne
Garścią plew lichych i garścią popiołu?
Że świat zmienicie na swoje zwierzyńce,
A on wam słupy stawia niebotyczne
Tam, gdzie się ludne krzyżują gościńce,
I będzie krzyczał: „moi dobroczyńcy!...“

Może myślicie, że u bram świątnicy
Waszej Astarty będą w znak się kładły
Chóry sióstr naszych i waszej żrenicy
Odsłonią łona, drząc, jak kłos pobladły,
A wy, pożądań obryzgawszy pianą
Nagą ich czystość, pobożni cynicy,
Rzucicie drachmę, lżą nieszczęsnych zlaną;
W cześć swemu bóstwu i swoim kapłanom?!

Więc cóż?... milczycie?... znam wasze milczenie!
Potajemnymi nas szeptami przeklniecie:
Dziś zachodzące waszych słońc promienie,
Co niegdyś krwawo błyskały po świecie,
Rozgłośniej pieśni ze statuy Memnona
Już nie wywabia. Zamarło wam tchnienie,
Zamarło życie wśród zwiędłego łona
I wasza lutnia kona... kona... kona...

Dawniej, tak! dawniej, ten wasz wieszcz zboleły,
Owiany czasów minionych pomrokiem,
Patrząc, jak łamiał waszych gór się skały
Od błyskawicznych piorunów, potokiem
Łez z swego serca zalewał pożary —
I płakał — płakał — tonął we łzach cały
Nad grobowiskiem tej sławy prastarej,
Która dziś poszła między sny i mary...

I była pieśń ta szelestem wędnących
Ziół na ściernisku spalonym; jesiennym
Jękiem tych wiatrów północnych, bijących
O szyby pustych kościołów; brzemienym
Trzaskiem ołtarzy — bez ofiar i cześci;

Odbiciem zorzy wieczornej, gasnących
Gwiazd, meteorów, co, ginąc bez wieści,
Pozostawiają tylko noc boleści.

I można było wówczas schylić czoła
Przed tych serdecznych cierpień majestatem;
Przed tą postacią chorego anioła,
Który nie w świecie żyjąc, lecz za światem,
Chciał Chrystusowym do przeszłości krzyża
Przykuć go gwoździem, z wiarą apostoła
Lub mistycznego krzyżowca-rycerza
Czekając cudu, czy się cud nie zbliża.

Lecz z ołowianych chmur waszego nieba
Złociste dotąd nie spłynęły smugi,
Aby z grobowisk, gdy wam życia trzeba,
Wskrzесиć stalowych mężów szereg długi —
Abyście, młodzi na własnych mogiłach,
Z tymi, co światła chcą i pragną chleba,
Mogli iść w boje z świeżą krwią w swych żyłach,
O własnej broni i o własnych siłach...

ODPOWIEDŹ

Mówią, że jestem, jako ten, co rzuca
Płomienną głównię pod rodzinną strzechę,
Że blask pożarów, gdy innych zasmuca,
We mnie szatańską roznieca uciechę;
Mówię, że pieśni moje, jako miecze,
Jako sztylety trucizną zbryzgane
I jeśli, dumny, miałbym — że leczę:
Fałsz! ja zatruwam rozognioną ranę.
I tak wciąż godząc w chore serce brata,
Dziko się śmieję, gdy życie ulata.

Mówią, że wzrok mój chmurny i niepewny
Niechętnie bawi tam, gdzie orszak tłumny,
Że Herostratom ja duchem pokrewny,
Z igraszki pluję na święte kolumny;
Że zdarłszy suknię pozłocistą z Boga,
Sam się w nią stroję, by mieć kształt bożyszcza,
I potem wołam: tędy wasza droga!
A wiodę między zwaliska i zgłiszczca —
Mówią i widzą we mnie Kajnów godła
I klną mą duszą: podła! podła! podła!

Zbaczam z gościńca, gdzie mi gwiazd promyki
Błyszcza nadziei płomienistą twarzą
I między swoje idę przeciwniki —
Niech w pierś otwartą godzić się odważą!
I wnet ci, którym Bóg na ustach mieszka

I ci, co w zbytku stroją się djadem,
Drżą i uchodzą, gdzie ich zwykła ścieżka,
Tłum pasorzytów goni za ich śladem,
A chór zwodzonych długo, lecz szlachetnych,
Pośpiesza ze mną tam! do gwiazd tych świetnych!

Pójdźcie o! pójdźcie! te głosy zawiści
Niechaj nam pragnień podniosłych nie zgłuszą
Wszak to jesienny szum powiędłych liści,
Które za chwilę w niwecz się rozpruszą.
Bez błyskawicznych biczysk i bez grzmotu
Legną spokojnie lodowatym głazem,
Ironicznego na ustach chichotu
Ostatnie ślady zamrą z nimi razem —
Legną nie świętej męczennicy sprawy,
Lecz jako stróże gwałtu i oblawy...

O pójdźcie, pójdźcie, moi Machabeje!
Powitać jutrznię, choćby w skonań chwili!
Jutro powiedzą o was ludzkie dzieje:
Oto ci męże dla światłości żyli!
Jutro pod statua nowych Laokonów
Zbiorą się widze, a wszyscy natchnieni
Pieśnią szlachetnych męczeństw, pieśnią zgonów,
Godnych zwycięstwa i złotych promieni.
Zbiorą się widze — i waszej pamięci
Pobłogosławia szczęśni, niebowzięci!

Idźcie więc, idźcie! ja w ich serca twarde,
Rzucę odpowiedź — niech ich ogniem pali!
Dla tych, co fałszem walczą — mam pogardę;
Litością darzę tych, co duchem mali,

Kładą na siebie olbrzymów pancerze,
I o pierś naszą chcą łamać swe kopje;
Tym, co w mądrości przebrawszy już mierze
Szepcą za nami: utopje! utopje!
Wskażę na zapał, na skrę młodych harców,
Bogatsze w plony, niżli mądrość starców.

Bogatsze w plony ręki naszej drgnięcie,
Bo nam poświęceń złota gwiazda świeci,
Bo naszym celem biednych niebowzięcie
I spokój naszych o i waszych dzieci...
Dla naszej skroni anioł szczęścia biały
Dyjamentowej nie splecie korony,
Cierniową drogą był nam żywot cały
I chwilą cierpień będą nasze zgony,
Dopiero trawa, gdy nad nami wzrośnie,
Zaszumi pieśń nam o przebytej wiosnie.

Ha! jam was poznał! chcecie by na wasze
Trumny płynęła pieśni mej kaskada,
I jam był jako żałośliwe ptasze!...
Tak! gmach wasz zbutwia!... wy wiecie... niech pada!
Łzy nie uronię po nim i nie siędę
Na jego gruzach, jako ów Jeremi...
Słońce już waszą wypaliło grzędę —
Więc z wami płakać na bezpłodnej ziemi?
Nie! ja dla nasion świeżej sykomory
Podążam inne uprawiać ugory!

IV
SONETY

I. PORANEK

Noc już kona, już zrywa gwiaździsty się wianek;
Już kwiecie ginie z wiatrem, nikną gwiazdy w górze...
Znikły... jedna na niebios błękitnym lazurze
Rozlała blask jutrzienka — przeddniowy kaganek.

Patrząc w wodę, jak w lice kochanki kochanek —
Szczęśliwy!... przecież nie wie, że miłości róże
Wnet zerwią i rozwieją wietrzyska i burze...
Ach! cudny, choć zimowy, zawitał poranek.

Zgasła jutrznia, a słońce pośród zórz koralu
Stroi nagie drzew szczyty w tęczowane suknie,
Lub łamie swe promienie o kryształy fali...

Cicho wszędzie... Ni piosnki usłyszeć śród sióła,
Kra tylko, falą pchnięta o krę czasem huknie...
Smutno... smutno... a jednak — jak pięknie dokoła!

II. ŁZY

I.

O rozplakały się oczy i serce,
O rozplakały mi się w łzy gorące!
I me uczucia są jak rosą lśniące
Ostatnich kwiatów jesienne kobierce.

I jako iskra ginie po iskierce,
Kiedy na węgiel sączysz krople drżące,
Tak i mych blasków serdecznych tysiące
Giną ach! w serca bolesnej rozterce.

I fala bytu mojego, wesoło,
Płynąca nieraz w żywym rozhoworze,
Ledwie się w smutnym odmiecie poruszy —

I wszystko życie, wszystek świat wokoło
Z łez mi się zlewa w jedno wielkie morze
I drży, jak łza ta, co ciąży mi w duszy.

II.

Jak te obłoki, co, zrodzone z ziemi,
Płyną na ciemnych skrzydłach mgieł do góry
I tam, w brzemienne złączywszy się chmury,
Znowu spadają wstęgi kroplistemi,

Tak i łzy moje, dłońmi bolesnemi
Wyrwane z serca, mkną z szumem wichury
Losów ku niebu i blask swój ponury
Topią znów w serce z skargi daremnemi.

Bo choć na duszy ciemnym nieboskłonem
Zabłyśnie tęcza nadziei, jej bytu
Krótkie są chwile, jaśń jej krótko płonie —

I, od nadiru, aż tam do zenitu,
Przestwór, co wnętrza mego świat otula
Jest jako jedna łzawa, czarna kula.

III.

Na mogilniku widziałem prawniki
Tych wielkich, dawno pomarłych rycerzy,
Co blaskiem mieczy i blaskiem puklerzy
Wskróś oślepiali wrogie losy-kruki.

Stali posępni, pozginani w łuki,
Lecz bez cięciwy... Zgaśł im zapał świeży
I łzy spadały po zblaśkłej odzieży,
Uszytej, widać, z całunowej sztuki.

I tak mnie widok ten przejął i wzruszył,
Że i ja z nimi stanąłem, schylony,
I jasny wzrok mi strumień łez zaprószył.

I, w żalu jeszcze dziś niepocieszony,
Nie umiem skargi tej przytłumić w sobie,
Że tyle duchów marnieje na grobie...

IV.

Dopókiż jeszcze czas, w cierpienia płodny
I w czczość porywów, będzie nas, bez winy,
Których słabości wyssały godziny,
Chwytał w swój uścisk, w uścisk śmierci chłodny?

Dopókiż jeszcze moloch walki, głodny,
Będzie z nas krwawe pożerał daniny,
Gdy nasze matki, drżące, jako trzciny,
Leją łez rosę w strumień krwi swobodny?

Ach! Czyż spokoju i tej cichej pracy,
Która swe gmachy miłością buduje,
Złota nas przędza nigdy nie osnuje?

Czyż na nas wiecznie ma ciążyć przekleństwo,
Które ponoszą dziejowi żebracy:
Przecicha boleść i głośnie męczeństwo!?

V.

Kiedyż to życie przestanie być życiem
Słońca, co blednie, blasków, które gasną?
Zachodem dążeń, w wieczoru przejasną
Spowitych zorzę, co ledwie jest śnieniem?

I kiedyż świat ten, mrący pod nakryciem
Ponurej nocy, nowe siły drasną,
Siły porannych przebudzeń, i ciasną
Pierś mu rozszerzą szczęścia wiecznem biciem?

Ach! tyle razy ze snu się podnosi
I tyle razy dniem pragnień gorących
Rozrywa wnętrze i znów w sen zapada.

A z wszystkich czarów, ze wszystkich kwitnących
Koron nadziei, pozostaje blada,
Zwiedla lodyga, którą smutek rosi...

III. ANIOŁ CISZY

O jak łagodnie spoczęła twa ręka
Na mojem wnętrzu, ty aniele ciszy,
Choć człek przed chwilą, zdawało się, słyszy.
Jak jedna fala w ślad za drugą pęka.

I wszystka wirów rozhukanych męka
Milknie odrazu i przezroczej kliszy
Dusza podobna, gdzie, jak orszak mniszy,
Słonecznej myśli tłum pobożnie klęka.

I naprzód w szmer się pacierzy rozplywa,
Oszołomiony zapachem kadzideł,
Płynących z uczuć złotych trybularzy,

Potem się głośnie, ale wdzięczną zrywa,
Pieśnią, z przed twoich, spokoju, ołtarzy
I świat wypełnia szumem swoich skrzydeł.

IV. NA SKRZYDŁACH TĘSKNOTY

Z uścisków nocy duch, ten promyk boży,
Rwie się na łono srebrzystego świtu;
Ale zaledwie zakosztował bytu
Przeczuć ognistych, ulata ku zorzy.

Lecz znów spoczawszy wśród różanych łoży
Nikłą chwileczkę, w blask aerolitu
Rozlany, płynię, aż tam! tam u szczytu
Z słońcem, swym ojcem, znowu jedność stworzy.

I tak z niem razem, z niem, co jest żywotem
Ziół kielkujących, ich kwieciem, owocem,
Ogarnia wszechświat swoim ciepłem złotem.

Lecz kiedy słońce bytów już nie pieści
I w zmroku zapadnie, z uczuciem sierocem
I on zapada w ciało, zmrok boleści.

V. TANTAL

Śmiertelny, bogów podzielał biesiady
I ducha kąpał w ich tajemnic zdroju,
Świadom ich ciszy i świadom ich boju,
Szczytnej mądrości i poziomej zdrady.

Lecz wnet strącony jest, gdzie Orkus błądy
Zieje otchłanią wieczystego znoju,
I bez wytchnienia jęczy i spokoju,
Że ludziom rozsnuł tkanę boskiej rady.

I nas, gdy, bytu zagadką zwabieni,
Co do swej uczty boskim nęci czarem,
Wyrzekniem: „Jesteś tem, czem jesteś, świecie!“ —

I nas pochłania przepaścią swych cieni
To piekło mściwe i ducha ciężarem
Mąk Tantalowych ach! podwójnie gniecie!...

VI. DEMOKRYT

...οὐδεν χροῖμα μάδην γίγνεται, ἀλλὰ
πάντα ἐκ λόγῳ τε καὶ ὅπ' ἀνάγκησ.

Demokritos

Hej! z praprzyczyny, z przedwiecznego wątku,
Snuje, jak z kłębka, bytów się konieczność
I tak ogarnia swoim pasmem wieczność,
Co niema końca, nie mając początku.

I cel, jak połysk w przetopionem złocie,
Dan jest przyrodzie jeden, a wspaniały:
By ten odwiecznych bytów łańcuch cały,
Zmieniając formy, wiecznie trwał w istocie.

Inny, koniecznym skutkiem tej przyczyny,
Pośród mirjad jestestw i ogromów
Jesteśmy nikłe atomy atomów.

I nam istoty dana nieśmiertelność,
Ale nie tylko nieśmiertelność gliny,
Lecz którą daje serc i duchów dzielność ..

VII. SŁUCHAJ JEŻELI

Słuchaj: jeżeli
W sercu się Twojem owo płomień zbudzi,
Które odrazu zmienia wnętrze ludzi,
Że są na ziemi jak z niebios anieli,

Gdy geniusz w bieli
Schodzący na świat, co się grzechem brudzi,
Rzeknie do ciebie: „Nic już nie wystudzi
W tobie iskry bożej, która w cud wystrzeli“

Ty przemieniony i dostawszy skrzydeł,
Nie pal, w zachwycie, swej duszy kadzidel
Z ambry i mirry,

Lecz wszystką siłą pędzła, dłuta, liry
Podnoś i równaj z sobą w górnym locie
Tych, co są w błocie.

VIII. Z CHAŁUPY

*Natur und Kunst sie scheinen sich zu fliehen,
Und haben sich, eh man es denkt, gefunden.
Goethe.*

✓ I. *charakterystyka ogólna*
Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach;
Za chatami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodolach, przy niskich obórkach.

Płot się wali; piolun na podwórkach;
Tu rzą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy
W krasnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

II.
Tam, za wioską — weź, Ojciec nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czyż w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, śród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O Ty Boże! o Chryste! o Panie!
Plonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie na darmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łąnie —
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kaźmierz — powracają czajki;
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mleczyć się złocą,
Brzmia skowronki, rychłe, polne grajki.

Po murawach dzieci strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
„Eh! kumolu! bajki, żywe bajki!”

Wiosna!... Wiosna wszędy życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

IV.

Biją dzwony... Trza święcić niedzielę,
Trzeba na mszę, uczcić przykaz boży...
I niebieską sukmanę nałożyć,
Za kapelusz zatknąć ruty ziele.

Biją dzwony... Chrzcziny czy wesele?
Dni krzyżowe!... I serce się trwoży:
Grady... susze... łza i krew się mnoży,
Gdzież obrona, jeśli nie w kościele?

I tłum korny padnie na kolana:
Od powietrza, głodu, ognia, wojny
Chroń nas, Ojczy! daj nam czas spokojny —

Czas bez troski nadmęskiej i trudu...“
Ach! jak fala płynie pieśń rozlana —
Biedny ludu! Święty, polski ludu!

V.

Co za rozgwar, co za życie w siole!
Jakie zewsząd płyną wonie świeże:
Starzy prawią, dziewczki mają krzyże
W bzy, bylice, w bławaty, kąkole.

To Jan święty chrzci wodę w rozdole,
Gasi zielsko, które jadem liże;
Czas sobótki i chłopcy, skry chyże,
Ze snopkami za wioskę, na pole.

I ogniska na przecznicach płoną,
Szumi żyto, rzepik zapach leje,
Gwiazdy świecą, wróżą coś dziewczyny:

Nim rok minie, czyż w rutę zieloną
Włos przystroi im luby, jedyny?
Spadła gwiazdka, spadły i nadzieje?

VI.

„Co?... naprawdę?... Eh! smalone duby!...
„Jako żywo! wiecie, że nie kłamię:
Jak mgła siny stał przy samej bramie —
Widać nie ma spokoju duch Kuby.

Albo wtenczas, gdym z Bartkowej huby
Wracał do dom — święte krzyża znamię! —
Ten pies czarny!... te dwa węgle w jamie!
Panie! chroń mnie od powtórnej próby!“

I tak gwarzą, a deszcz w okna bije,
Drzwi coś skrzypią, słychać szcęk łańcuchów.
Wicher jęczy, pies w podwórku wyje.

Na kominku resztki ognia gasną,
Północ wciska się w izdebkę ciasną,
Strach przejmuje w tę godzinę duchów...

VII.

„Śpiewaj Kasiu!...“ I mgłą się powleką
Dwie źrenice, te żywe dwie wróżki.
I „Kaj wiodą cię, Jasiu, te dróżki?
Na wojenkę, na wojnę daleką!“

Albo: „Ciagną żórawie nad rzeką,
W rzece pierze Jagusia pieluszki,
Zimna woda oblewa jej nóżki,
A po liczku lży cieką, ej! cieką...“

I piosenka jak płynie, tak płynie,
Aż się oczy załzawią dziewczynie,
Aż na piersi opadnie jej głowa.

A babusia zasypia spokojna
I coś szeptem: „Ej! wojna! ta wojna!
Ej! ta woda, ta woda lodowa!“

VIII.

Przyszeli do niej o zmroku, gdy chłody
Spadną srebrne na gestwin korony:
„Daj mi, Maryś, swój wianek zielony,
Tam w tym gaju, u tej sinuej wody.

Jaka rozkosz i jakie to gody!...
O ma złota!...“ „O mój ulubiony!...“
Ach! że drżą aż leszczyny i klony
Na tę miłość, tę słodsza nad miody..

Ale potem... ci ludzie!... cóż z tego?...
„Żal mi tylko warkoczka czarnego,
Żal warkoczka, co zakrył mi oczy —“

I w łzach cała; swachy czepią, pieją,
Brzmi muzyka, tańczy lud ochoczy,
A stolarze w lot kolebkę kleją...

IX

Codzień chodzi, czy pogoda sprzyja,
Czy mu oczy тумanią zamiecie;
„Pani-Matko!” siania się kobiecie.
A do córki: „gwoźdźczek, lelaja!...”

Na odpuscie zaloty zapija,
Szczęśliwszego niema w całym świecie;
I córeczka płoni się, jak kwiecie,
A matusia wargi w uśmiech zwiја.

I drą pierze, przędą len kudłaty,
Trza wyprawy: koszuli, pierzyny —
Ślub za pasem... gdy wróci jedyny.

Ale Wojtka — wzięli go w żołdacy —
Do powrotu nie przynagła serce:
Gdzieś w Szczecinie oddał je „pomerce”.

X.

„Oj, ja biedna, jak osiet na grzędzie!
Któż się doli sierocę pożali?
Matuś żyta, ni owsa nie siali,
Niema sprzętów, wesela nie będzie!

Oj, ja naga, jak w lesie żołędzie,
Jak te szyszki, które słońce pali:
Ni jedwabi, ni sznurka korali —
Oj, nie przyjdzie od swatów orędzie!”

I tak w łzawe rozplywa się lęki,
A łzy płyną w jeziora topieli.
Ale jakoś uśmiecha się woda:

Przyjdą swaty i będzie wesele!
Nad korale, ponad jedwab miękki
Twa rumiana, dziewczyno, uroda.

XI.

Na zapłociu spędzali wieczory,
On jej szeptał: „O, moja jedyna!”
Z nim bylica i biała brzezina,
Z nim szeptały zielone jawory.

A przed świtem na nogach... Tak, skory!
I gbur kontent i lubi jak syna —
Da mu córkę, gdy przyjdzie godzina,
I morg ziemi i krowę z obory.

Przyszły żniwa, czasy zapowiedzi...
„I do cepów jestem i do cięcia,
Panie gburze! weźcie mnie za zięcia!”

Ale gbur mu odpowie z owczarska:
„Niechaj każdy, jak usiadł, tak siedzi —
Tyś parobkiem, ona gospodarska”.

XII.

Płacze... biedna... a jeszcze tak młoda,
Chociaż, widać, pewnie smutek siny
Spędził kwiatki z policzków dziewczyny —
Szkoda róży czerwonej, oj! szkoda.

Placze... we łzach jej cała uroda.
Tak, jak w rosie ślubne rozmaryny;
Oparła się o krawędź łóeczyny.
A łzy gorzkie tak płyną, jak woda.

Jak nie płakać!... Miesiąć z sobą żyli,
A dziś, Boże!... dziś ich rozłączyli...
Jak nie płakać!... Żalują sąsiadki...

Wczoraj w karczynie... dobrzy przyjaciele...
Skrzypce... tany... kieliszek za wiele
I do bójki... a dzisiaj przed kratki.

marzono i poszło do więzienia
~~XIII~~ *przed ślubem*
Pierwsze lata kiedy, się pobrali,
Szczęście kwitło, jak w polu makówki,
Mieli chatę, szkapsko i dwie krówki,
Byli młodzi — siali i sprzątali...

Ale potem — niech się Bóg pożali...
Ciężkie zimy i ciężkie przednówki
I w pierzynie wciąż liczniejsze główki —
Poszło bydło, chata i tak dalej.

Dziś, jak dzieje się zwykle z tą sprawą,
Kiedy kłopot zagnieździ się w łożu,
Kiedy bieda pochwyli za szyję:

On zakończył w karczmiszku pod ławą,
Dzieci w służbie, a ona, nieboże,
Od wsi do wsi, dziś żebrze i pije...

potaszenie na wsi

~~XIV.~~

W poniedziałki, pogoda czy słoty,
Czy na sucho, czy człowiek się schlasta,
Hej, z łomokiem na plecach do miasta,
Aż na czole srebrzyste lśnią poty.

Bo cóż robić?... Te troski niecnoty!
Sama jedna na świecie niewiasta!...
Jak na drożdżach potrzeba wciąż wzrasta,
Trza podatku, trza odziać sieroty!

I dziś z targu pospiesza w swą stronę.
Nakupiła to soli, to krupy,
Nawet niesie dla dzieci kołacza.

Ale jakże, wróciwszy, rozpacza!
Tlą się jeszcze resztki jej chałupy,
A dzieciska na węgiel spalone.

dziwili się spaliły

~~XV.~~

Miała rolę, sprzedali jej rolę —
Były czasy gradu i posuchy,
Kubę dawno zamknął grób już głuchy,
A skąd płacić, gdy pustki w stodole?

Pożegnała ze łzami swe pole,
W służbę poszły nieletnie dziewczuchy,
I na plecach kawał starej pstruchy,
Tak na wiatr się puściła — na dołę.

Wędrowała od wioski do wioski:
Tu się najmie do żniwa, tam pierze,
Pokąd lata, pokąd siły świeże...

Ale starość spada funt po funcie:
Trza pójść w żebry, trza żyć z łaski boskiej...
I dziś zmarłą znaleźli na — gruncie.

chłopcy za żebry
XVI.

On w łachmanach, z dzieciakiem za rękę,
Ona kawał szarego chuściska,
I tak dalej, przez rowy i rżyska,
W świat szeroki, na biedę, na mękę.

Wiatr jesienną wydzwania piosenkę,
Słońce chłodne promyki swe ciska;
Cała ziemia, snąc zimy już blizka,
Składa życiu ostatnią podziękę.

Idą, milcząc... Bo na cóż im słowa?
On ich dotąd natracił do syta:
„Dajcie pracę, choćby za ćwierć myta“.

„Lato przeszło, dość swoich się chowa —
Ledwie dla nich wystarczy nam chleba...
Praca trudna... przybłądów nie trzeba...“

chłopi bez kłosa
XVII.

Słońko świeci, oj, świeci iskrzyste,
Ale jakoś się rozgrzać nie może!
Pierwsze szrony dziś spadły na zboże
I zmieniły w szron rosy kropliste.

Poza wioską, gdzie, patrzcie! w srebrzyste
Oziminy usłały się łoże,
Wyszło chłopię na ciche rozdroże
I wciąż szepce: „O Jezu! o Chryste!“

W którą stronę się udać, snąc nie wie,
A tu nagie gałęzie na drzewie,
A siermiężka na strzępy podarta.

Gbur przez lato sierotę-niebogę
Miał do bydła... „Na zimę? Do czarta!“
Kawał chleba w zanadrze i w drogę.

starobabe niegospiny na kłosa
XVIII.

Wiatr zadmiewa i straszna szaruga
Pcha go na wstecz i bije mu w oczy:
Przygarbiony, z pękiem chrustu, broczy
W zaspach śniegu, aż pot ciecze strugą.

Droga krótką, a jednak tak długą...
Serce bije, aż się w oczach mroczy —
Patrzy w zmroki, czy wioski nie zoczy —
A! tam pewnie, za tą mglistą smugą...

A, tak! pewnie... Lecz trza spocząć chwilę
Dech zamiera i nogi się bronią —
Wypoczynek wszak wzmacnia na sile.

A w chałupie aż zębami dzwoni —
„Ojciec poszedł zbierać drzewo w lesie —
Wnet przyniesie...“ Ej-że, czy przyniesie?!...

ojciec poszedł po chrust

~~XIX.~~

Leży chory dwa miesiące blisko,
Rwanie w krzyżach, ból piersi, ograszka —
Nie pomoże ni piasek, ni kaszka,
Aż się zwija na kłębek płachcisko.

Jakie było to z niego chłopisko!
Zwinniejszego niema we wsi ptaszka:
Machać cepem lub kosą to fraszka,
Fraszka mokre wyrzucać torfisko.

Teraz blady, jak ściana, i słaby...
Darmo leki przynoszą mu baby,
Śmierć zagląda z każdego otwora.

Trzeba księdza, niech grzechy przebaczy,
A ksiądz łaje: „jedźcie po doktora —“
Księżę, za co?... Doktor dla bogaczy...

~~XX.~~

Na kominie płomyczek się żarzy,
To popęlnie odbłyskiem w głąb chaty,
To ozłoci wytarte jej szmaty,
To wypocznie na jej bladej twarzy.

Ona siedzi przy ogniu i marzy.
Pewno widzi skarb jaki bogaty —
Złoto, srebro, purpurę, granaty,
Aż się spojrzeć od blasków nie waży.

A, tak!... wczoraj jej skarbiec jedyny
Wzięli z ręki i w obce go strony
Tak pognali, jak nie boże syny.

Dziś go widzi, a jaki rześisty:
Ciemny mundur i kołnierz czerwony,
Żółty guzik i „zebel“ srebrzysty.

~~XXI.~~

Lichy knotek na murku w izdebce
Pokazuje mi kształty w pół-mroku:
Cztery ściany, dwa łóżka przy boku,
W kącie dziaduś zdrowaśki swe szepce.

Z szarej miski resztki żuru chłepce
Dwoje dzieci, w drugim, trzecim roku,
A matula, na wpół z drzemką w oku,
Nad najmłodszym, co leży w kolebce.

A gdzie ojciec!... Pracuje w fabryce,
Het za wioską... daleką ma drogę...
Musi wrócić, czekają na niego...

Lecz już późno, sen klei źrenicę...
Ach! a może... Panie! chroń od złego...
Tak, maszyna urwała mu nogę...

~~XXII.~~

Było troje: on, ona i córka;
On był szewcem, nosił się z waspańska,
Lubił zajrzeć czasami, gdzie „gdańska“,
Lecz nie dawał i przed „czystą“ nurka.

Przyszła bieda... i rzekła im gburka:
„Dajcie Fruzię... pora świętojańska“,
Lecz szewc dumny, a duma szatańska —
„Nie jej miejsce, gdzie chlew i obórka“.

Więc do miasta... na pańskie pokoje...
Dobrze płacą... tam szczęścia poszuka...
Jak się cieszą ci starzy oboje!

A po roku ktoś do drzwi w noc stuka —
„E! to Fruzia!... Słakana?... we dwoje?...“
Tak! przyniosła im grosze i — wnuka.

stuzielna i państwo
XXIII.

Pamiętacie, ten sąsiad po prawej:
Wzrost miał wielki i szerokie barki,
Lubił czasem wypić sobie starki
I nie gardził żadnym kąskiem strawy.

Miał szkapinę: wałach był cisawy,
Ze żydami jeździł na jarmarki;
Chwalił Boga i płacił szarwarki
I uciekał od kłótni i wrzawy.

Lecz, gdy panicz znajdzie się w komórcie
I przy werku Jagny się pokręci —
Panie! ratuj! o ratujcie, święci!

Cała dusza pali się płomieniem,
Nie przepuści ni jemu, ni córce
I dziś, biedny! płaci to więzieniem.

XXIV.

Miał córunię, chował jak żrenicę,
O mój Boże! o mój mocny Boże!
Jeść nie może i sypiać nie może,
Pieści oczy i gładzi jej lice.

I wyrosła, robi we fabryce,
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!
On jej ślubne gotuje już łożę,
Wybrał dla niej parobka, jak świecę.

Lecz nim przyjdą śluby i wesele,
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!
Chodźcie baby, gotujcie kapiele.

Dobry ojciec, stary Wojtek Janta —
O, mój Boże! o, mój mocny Boże!,
Dostał wnuka, syna fabrykanta.

czeka i fabrykant
XXV.

„Umarł?...“ „Umarł...“ „Takie lata zradne,
Człek snąć młody, a jednak już stary...“
Ale pogrzeb kosztuje talary:
Ksiądz, kopidół, podzwonne, pokładne.

„Jegomości!... ja biedna, nie kradnę...“
A księżulo: „Nie pijcie opary,
Będą grosze na msze i ofiary...
Lecz ja biorę... to, czego dopadnę“.

Ha! cóż robić?... pogrzebać go trzeba.
Duch bez księdza nie pójdzie do nieba —
Więc ostatnie zaniesie piernaty...

A wiatr wieje, a czasy tak chłodne,
A mróz siny wciska się do chaty,
A robaczki golutkie i głodne...

XXVI.

Koszą rzędem... A słońce tak piecze,
Że snąć piecem gorącym świat cały...
A pokosy padają jak wały,
Kiedy burza rozmacha swe miecze.

Koszą rzędem... a pot z czoła ciecze,
Jak z drzew rosa, co się pozginały...
Ej! ta rosa... ta słona... płaz mały
A wysysa pacierze człowiecze.

Ale trudno... to boże przykazy,
Dane ludziom już w Raju, przed wiekiem,
W przeznaczeniach nie zachodzą zmiany:

Drzewo drzewem, a głazami głazy,
Woda wodą, a człowiek człowiekiem,
Więc pracować mu trzeba na — pany...

XXVII.

Zanim zgaśnie jutrzienka, nim spłoną
Złotej zorzy rumieńce na niebie,
Chłop już z werka, półdrzemiąc, się grzebie:
A dyć dzwonią, trza z plugiem, trza z broną.

Jeszcze słońce płomienną koroną,
Nie uwieńczy tej ziemi i siebie,
A już baby i chłopcy o chlebie
I o żurze ku żniwnym zagonom.

Idą, gwarząc, lecz gwarzą coś smutnie,
Czasem Kaśka lub Bartek żart utnie,
Ale żarty, jakgdyby nie z duszy.

Czasem piosnka gawędkę zagłuszy,
Lecz i strofki coś tęskne, nie cieszą —
Nie dziwota, wszak na pańskie spieszą.

XXVIII.

A wy dokąd, Macieju, w tej słońce,
Że psa wygnać byłoby dziś grzechem?
Widzę, z rydłem idziecie i z miechem —
A jak w podróż w odświętnej kapocie.

Człek się, panie, nie rodził, gdzie krocie,
Trza ich szukać, wyrzecz z uśmiechem.
I pożegna i dalej, z pospiechem,
W tej szarudze, w tym deszczu, w tem błocie.

Ja go znałem... fornałem był w Siewnie
I miał wkrótce pójść między włodarzy,
To małego już gburstwa początek...

Lecz pan sprzedał, jak słyszę, majątek,
Przyszedł obcy, inak gospodarzy,
Pewnie wygnał go z chaty... A pewnie!...

wygnany z chaty

XXIX.

Do szpitala powieźli biedactwo...
Świetne przyniósł mu rok ten gościńce:
Połamane pacierze i sińce —
Co za skarby! jakież to bogactwo!

Ekonomski bat wielkie ma władztwo —
Plecy chłopskie! tu wyprawia młyńce,
A chce tylko poskromić złoczyńce:
Bunt pod ręką, brak czci, świętokradztwo!

I ludziska, jak woły robotne,
Chodzą w jarzmie i milczą, zakłęte,
Chociaż serce w krzyk głośny się budzi!

Tak, jak woły, w niewoli poczęte —
Te są tylko różnice stokrotne;
Tych nie biją, ale biją ludzi...

XXX.

Chodził w fraczku, choć ojciec w sukmanie,
Giął się w kabłąk: „Upadan do nóżki,
Jaśnie hrabio! całuję paluszki —“
Ojcu trudno było wyrzec: „Panie!”

Do panienki: „Różyczka, zaranie!”
Do panicza: „A może dziewczuszki?
Mam siostrunię, piersi jak dwie gruszki,
No a liczko, pah! pah! to kochanie“.

✓

Wreszcie, słyszę, siedzi w kryminalu:
Okradł pana, sfalszował papiery,
Wszystko prawda, jak dwa a dwa cztery.

Ojciec zsiwiał, matka w gorzkie żale,
Ludzie w śmiechy, szydzą swym zwyczajem...
Cóż dziwnego? przecież był lokajem...

XXXI.

Ja ci zawsze mówiłem, sąsiedzie,
Że na djabła tym chamom nauka!...
No... na zdrowie! gdy człowiek popłuka,
Nie zawadzi po takim obiedzie.

Chłop pokorny, dopóki jest w biedzie,
Pokąd widzi koniuszki kańczuka...
Lecz i do wrót szlacheckich zastuka,
Gdy mu jakoś się dobrze powiedzie...

A przybysze, zwaliwszy się tłumnie,
Zabierając szlacheckie dostatki,
Szepcą chłopom: „Działajcie rozumnie!

Po co leżać wam, gdzie błyszczą się szmatki,
Gdzie czyn lichy, choć słowa bogate —
My wam damy i chleb i oświatę...”

XXXII.

„Zapaliła im się wreszcie świeczka,
Poszli wreszcie po rozum do głowy;
Widzą wreszcie, że olbrzym ludowy
To nie plewy, albo jaka sieczka...”

Idę... czytam: „Wiejska biblioteczka...”
„A spis książek?...” „Tu!...” „Miesiąc majowy...
Straszne Męki... Kalendarzyk Nowy...
Trąba Sądu — a to mi książeczka!...”

Oto próbka szlacheckiej kultury!
A gmach słaby! a gmach cały trzeszczy —
A z zachodu płynie szum złowieszczy:

To złe duchy na skrzydłach wichury
Szydzą głośno, wywalając wrota:
„Nie my niszcym, lecz wasza ciemnota!...”

~~XXXIII.~~

Na sejmiku zebrali się licznie:
Posła wybrać trza do parlamentu:
Pełno wrzawy, pełno krętu-wętu —
Żyć umiemy, widać, politycznie.

I rzekł chłopom kandydat prześliznie:
„Bracia!...” „Wiwat!...” „Bracia, jak okrętu
Maszt...” „Niech żyje!...” „Wiwat!...” „śród oddechu,
Tak i nasza, widać to publicznie —”

I tak dalej... A biedne chłopiska
Ot, tak mądrzy, jak byli przed chwilą,
Choć słuchają, choć się w rozum siłą...

„Mówi jasnie, nawet braćmi zowie,
Nie słyszeli tak nasi ojcowie...”
Tak! braterstwo i oświata błyska.

wybor paster

~~XXXIV.~~

„Słuchaj, Milciu!... to chłopak jest sprytny,
A nam wołu nauki nie zjedzą...
Trza oświaty... a przytem powiedzą:
Patrjota... filantrop... duch szczytny...”

I tak w szkoły szedł Wicusz Pochwytny,
I aż do dna upajał się wiedzą,
A dwór płacił... Lecz rychło coś cedzą:
„Grosz rzucony... chłop knąbny, ambitny...”

Trzeba zbadać... I dzwoni uprząż,
Rzą cugowce... kocz drogę zamiata...
A pod wieczór powróci z mieściny:

„Masz tu chamów! padalce! gadziny!
Wychowałem u piersi swej węża,
To heretyk, to zbój — demokrata!...”

z tym chłopaki demokraci
XXXV.

„Proboszczuniu!... mam syna... pojętny...
Szkola blisko... Bóg dał mi nie dużo,
Ale pójdzie, gdy siły posłużą,
Kiedy człowiek obrotny i skrzętny

Ze sukmaniki surducik odświętny —
I kirejka na słotę — na burzą...
Będzie księdzem... jak losy wywróżą:
Człowiek liczy, a Pan Bóg niechętny...”

„Tsia!... ja-ć tego nie chwałę zapału:
Dziś nauka to ogień piekielny,
Smaży żywcem... tak zwolna, pomalu...

Kościół zburzyć chcą dziś mędrków krocie;
Toć sam Pan Bóg zamieszkał w prostocie —
Niech zostanie przy pługu, mój Chmielny!...”

księga o nauce
XXXVI.

Pasał bydło i chodził pod żyto,
To pod wierzbą nad strugą siadywał
I tak słuchał, jak kłos się odzywał,
Co liść szemrze i wody koryto.

Przestał pasać... był dworskim... za myto
Kupił sobie skrzypicę i grywał;
Na weselach tak chłopów porywał,
Że inaczej tańczono i pito.

Kto wie, jakie miał skarby w swej duszy:
Może byłby w stolicy artystą,
Piłby wino, obsypał się złotem...

Lecz tu wszystko marnieje w tej głuszy,
Dziś się zagrał i zapił się czystą
I zakończył w łachmanach pod płotem.

muzyka a chłop
XXXVII.

Mieli syna, dali go do szkoły;
Syn się uczy, aż się serce śmieje;
Z roku na rok wzrastają nadzieje,
Z niemi rosną i dziury stodoły.

To nic... wreszcie synalek Jemioły
Edukacji wsze przeszedł koleje;
Dzisiaj grzebie umarłe i pieje,
Pasie żywe — barany i woły.

Ojciec poszedł już dawno na wieki,
Nie doczekał się nawet dziekana:
Na trud, lata nie pomogą leki.

A matula w opalach od rana:
Drobi kluski przed księdza koguty,
Klepie pacierz i — czyści mu buty...

syn księda a roduwce
XXXVIII.

Miał być księdzem... Ano, rzecz to zwykła:
Chłopskie dziecko... a ksiądz człowiek boży...
I tatulo grosz za groszem łoży,
I do miasta to żyto, to ćwikła.

Ale ludzka rachuba jak nikła!...
Syn im bardziej w nauki się wdroży,
Czuje, serce, jak na kłam się trwoży.
Jak całego prawda w sieci wikła...

Głuzą ludzie... i ksiądz proboszcz słyszy:
Woła Maćka: „Panie! odpuść grzechy,
Lecz ze syna nie macie pociechy!...”

Ojciec w gniewie pieni się i dyszy
I śle pismo: „Nie moje-ś ty dziecko!”
A z rozpaczy umarło kobiecko...

XXXIX.

Rano, zimą, mróz czy zawierucha,
W surduciku do szkoły o milę,
A wieczorem w chacie późne chwile
Z książką, z piórem, chociaż w ręce chucha.

Latem, wolny, zastąpi pastucha,
A pod pachą Homery, Wirgile;
Ludzie czasem poszydzą niemiłe,
Lecz on pasie i ludzi nie słucha...

I tak wyrósł... I dalej w stolicę...
Tam to wiedzy głęboka jest rzeka...
Ojciec czeka i matula czeka...

A on pisał: „Kochani rodzice!...
Skończę... bieda... dużo do roboty...“
I dziś skończył... umarł na suchoty...

Utop nauka śmierć

XL.

Aż mu cała rozpala się dusza,
Tak naukę wciąż chłonie i chłonie,
A nauka w szlachetne pogonie
Za ideą i serce mu zmusza.

I braterstwo do głębi go wzrusza,
Chciałby wszystkich pomieścić w swym łonie,
Choć mu Spartak szepce o swym zgonie,
Choć go nieraz straszy cień Marjusza...

I raz siedząc w ławce, zadumany,
Chwyci rękę panicza-sąsiada,
Szepcąc: „Bracie!“ z okiem, co nie kłamie.

Ale panicz snąć nie tak kapany —
Jakby uczuł ukąszenie gada,
Dłoń mu wyrwie i spyta: „Co?... chamie!?...“

syn chłopski i panicz.

IX. Z WIĘZIENIA

I.

Stóp kilkanaście wzdłuż i wszecz stóp kilka,
Niewielki przestwór, a jednak tak wielki,
Że tutaj życia niknące kropelki
Zdają się morzem, wiekiem jedna chwilka.

Mówią, że dusza ma skrzydła motylka:
O, tam, nad kwiatek umie wzlecieć wszelki,
Lecz tu żelazne, widać, dźwiga belki,
Chociaż ten ciężar byłby tam, jak szpilka.

Tak! tu zachodzą dziwne pojęć zmiany:
Bez końca tutaj, co tam krótkiem głoszą;
Tutaj bolesnem, co tam włoż na rany.

Wszak tutaj nawet słoneczne promienie,
Co tam radują i co tam podnoszą,
Smucą i gnębią, bo tutaj — więzienie.

II.

Daremnie szukam chwili wypoczynku,
Choć mi go daje nieproszona warta:
Jakowaś furja miota mną zażarta,
Że cały ginę w strasznym pojedynku.

Daremnie wołam: „Przestań ty, co rynku
Język zjadliwy i co gon masz charta!”

Oto pierś moja na dwoje rozdarta,
Duch do zwykłego nie wraca ordynku.

Natomiast rwie się, cały wsłuchan w głosy,
Co stamtąd płyną, przeszywając mury:
„Oto jest miejsce, co w zbrodniarzy płodne!”

I ty zbrodniarzem, choć każesz do góry
Powyżej zbrodni wlatywać w niebiosy?
Jedno i drugie w świecie karygodne.

III.

Niedawnom przeszedł te więzienne progi,
A już i serce jest jakby więzieniem!
Niedawno celi męczę się półcieniem,
A już i duch mój jest jak pomrok srogi.

Stapam po wosku, a myślę, że drogi
Jakieś skaliste ranią mnie krzemieniem;
Siadam, niezwykłym połaman zmęczeniem:
Otom wypoczął i — chwieją się nogi.

Słaby, kto w wytrwać blask i moc nie wierzy!
A ci boleści wiele bohaterzy,
Co całe życie, bez plam i bez winy,

Zakuli w więzy żelaznych pancerzy?
Wy macie słuszność i — wielbię ich czyny,
Lecz ci — ze stali, a jam tylko z gliny.

IV.

Nieraz z zadumy budzi mnie śmiech pusty,
Co źródło znalazł w mojej własnej duszy;
Snać zapomniała łoża swych katuszy,
W której ją losów wcisnęli Prokrusty.

Śmieje się sercem i całymi usty,
Śmieje się okiem, że za mną w tej głuszy —
Tak mi się zdaje — każdy przedmiot ruszy,
Choć martwy, śmiechu niezwykle upusty...

Myszę, że, wielki, z obłudnych praw świata
I z tych się śmieję, co na jego roli
Znoszą ich jarzmo, robocze bydła,

Że dziś tem głośnie szyderstwo pomiata,
Co wczoraj wgardy kryła cisza święta,
A ja się śmieję tylko — z swej niedoli...

V.

O złote blaski! o blaski słoneczne!
Co jako miecze, lecz bez krwawej zmazy,
Ludzkiemu sercu zadajecie razy,
I do mnie dzisiaj schodzicie, odwieczne.

Jesteście wolne! jesteście bezpieczne:
Nie powstrzymają was żadne rozkazy,
Ni pręt żelazny, ani ludzkie płazy;
Lecz dla mnie miecze wasze obosieczne.

Ich ostrze, czuję, przecina opoki,
Pod które serca skryły się źródlika:
Na chwilę biją z nich rozkoszy rzeki.

Ale w ślad za nią czarnymi potoki
Boleść-tęsknota z wspólnych krynic tryska,
I zdaje mi się, że tak tryska — wieki...

VI.

Nim słońce wszędzie, nim się dzień rozpali,
Budzę się ze snu i pytam: „Gdzie jestem?”
A oto słoma mówi swym szelestem,
Chrząc podemną: „Tak! od słońca w dali!”

Spojrzę ku kracie, a na świtów fali
Zdaje się ziemię krwawym zlewać chrzestem
Dzień powstający i ręki swej gestem
Sięga mi w duszę, co na zmrok się żali.

Co? więc to przebłysk nadziei? zaiste!
Zmrok nie jest wieczny, a jasność swobody
Większa, gdyś przeszedł głębie zmroków mgliste.

Lecz czyż koniecznie przez boleści miecze
I kaźń przechodzić na weselne gody?...
O smutne losy! — o losy człowiecze!...

VII.

Mówili ludzie: „Słuchaj! bądź rozumny;
My przyjaciele, dobra nasza rada;
Przeciwko prądom płynąć nie wypada,
Chybaś zbyt głupi, albo nazbyt dumny.

Nie szukaj szczęścia tam, gdzie motłoch tłumny
Odsłania piersi i o sercu gada;
Głowa niech liczy, a ręka niech składa —
Pełne kieszenie to szczęścia kolumny“.

Byłem posłuszny, ale dwie potęgi
Władną nad nami: pełen dobrych chęci,
Ledwie pochwyć szorstką dłoń Rozumu,

Zbliży się strojne łagodnemi wstęgi
Dziewczę, Uczucie, i głosem, do szumu
Liści podobnym, aż tu mnie przynęci.

VIII.

Cyt... ta melodja!... tak, to pieśń żałoby:
Widać, za miasto wiozą nieboszczyka...
Człowiek do takich pochodów przywyka,
Tu jednak dziwne rodzą dreszcze groby.

Rzecz niepojęta, pewnie znak choroby:
Dźwięk, jak ów promień, i do celi wnika,
Lecz chociaż uszy ma ręka zamyka,
By zamknąć serce, gdzież znajdę sposoby?

Przebrzmiał dla ucha, rośnie w serca głębi,
A nawet kształty przybiera pochwytnie:
Rozparł się w wnętrzu, lecz ciałem, co ziębi.

A teraz dzieło straszne podejmuje,
Całe me wnętrze, dotąd życiem szczytne,
Zmienia w mogiłę, co — myśli i czuje.

IX.

Codziennie słyszę, rano i wieczorem,
W modlitwie wspólnej łączą się więźniowie:
Naprzód ksiądz roni słowo im po słowie,
Ale ich serca czyż stoją otworem?

A potem głosów ćwiczonych doborem —
I tej nauki są tutaj maestrowie —
Podnoszą śpiewy... Ale któż mi powie,
Że i ich dusze płyną pieśni wzorem?

Nieraz do szpary gdy nadstawiam ucha,
Mniemam, że płazem wije im się z wnętrza
Pieśń, zamiast wzlatać na promieniach ducha —

Że słyszę szept: „A gdzież ty, o Boże?!...“
Może ich dusza nad serce me świętsza,
Może to syk jest mój własny... A! może!...

X.

Religia łączy, bo stąd jej nazwisko;
Więc, gdy się porwie rzeczy ludzkich przedza,
Trzeba naprawić i — wołają księdza,
Niechaj połata stargane siecisko.

I ksiądz z kropidłem w pogotowiu blisko;
Wodą święconą złe duchy wypędza,
I gdzie golizną świeci ludzka nędza,
By się zakryła, śmiga słów biczysko.

Tak od początku trwa ta procedura,
Tylko się komża i kropidło zmienia,
A w ludzkiej siatce zawsze jeszcze dziura;

Tak od początku kwitną egzorcyzmy.
A świat podobien zawsze do więzienia,
Mimo słów gromkich, mimo świętej chrzyzmy.

XI.

Nim Jahwe zasiadł na tronie płomiennym
I nim przeraził biedną ziemię gromem,
Świat bóstw tysiące mieniły swym domem,
Groząc obłokiem w pioruny brzemienym.

Tyfon i Szywen uczynili lennym
Ducha ludzkiego, że zbryzgan krwi sromem;
Melkart, Astarte, Aryman, co, złomem
Światła przerażon, w mroku legł bezdennym.

I człek, gdy klękał ze czcią, czy ze strachem,
W domu, na wzgórzu, czy pod świątyni dachem,
Zwał to religją i treści nie badał;

I zwał religją, gdy gasząc rumieńce,
Wstydu i grozy, na ołtarzu składał
Ciało swych córek, swą nędzę, swe jeńce...

XII.

Więc gwałt i bezwstyd nigdy nie oniemia?
A więc wiecznymi są tej ludzkiej chłosty
Krwawe żywioły, co wznoszą jak osty,
Siekące głowy, choć zda się, że drzemią?

Więc niema kwasu, co się piekiel chemią
Sprawiwszy, zrodził zdrowych sił przyrosty?
I gdzież ta spójnia i gdzież są pomosty
Pomiędzy niebem a pomiędzy ziemią?

Nie wiem... Lecz jedno w serca mego głębi
Leży spokojnie, jak perła ukryta,
Choć dmie wichura, choć się morze kłębi:

Że nigdy świętą nie złączy przyjaźnią
Nieba i ziemi spójnia z prządek zwita,
Które są wojną, policją i kaźnią.

XIII.

W celi już ciemno... Zmrok za zmrokiem goni
I w kształt czarnego zlewa się obrazu;
Nie zapalono mi dotychczas gazu,
Bo dzień za murem jeszcze światło roni.

Listopadowy deszcz w okienko dzwoni,
Krople po szybie pełzną nakształt płazu
Aż w moją duszę, która snąc jest z głazu,
Ale daremnie wyżłobień im broni.

Kropla za kroplą w jej martwość się wjada
Ach! i ożywia znowu byt jej wszystki,
Ale ożywia życiem listopada:

Cała zajęta, by kwiecie i listki
Pozrywać z siebie, być, jak miesiąc, blada,
Co smutku liście na mogiłach składa.

XIV.

Nim tutaj wszedłem, świat ten był ogrodem
I na swych drzewach pełne miał owoce
I szeptał do mnie: „Patrzaj! jak się złoce
W blaskach jesieni, zbogacon jej płodem.“

A teraz, bijąc przejmującym chłodem,
Z jego strzepami wicher się szamoce
I już nie mają sił słoneczne proce,
By zabić wroga jego własnym lodem.

Lecz cóż mi wicher, świat i słabość słońca?
Cóż mi tych wszystkich przemian nagle spadki,
Gdy sam już sobą nie jestem wśród klatki?

Tak mnie zmieniły te pręty i mury
I oczekiwań siła tych bez końca,
Że snąć nie czuję już nawet — Natury.

XV.

I po co tęsknić?... Aby ponieść kroki
Między najmitów, tak godnych pogardy,
Co swych języków zatopią oskardy
W serce, że złamią się jego opoki?

Thum nie oczyszcza, jak górskie potoki,
Które grunt mają przeczysty i twardy.
Bagno!... Im dalej idziesz w środek, hardy,
Tem bardziej grzędniesz, zbryzgan, w mul głęboki.

Tak!... Lecz i w mule rosną kwiaty — czary,
Że się twa postać rada po nie zgina,
Choć grzęznąć trzeba — rosną nenufary.

I między ludzi dusza sobie ściele
Droge tęsknoty, tam, gdzie przyjaciele,
Tam, gdzie cię czeka bratnich serc rodzina.

XVI.

O matko moja! o najdroższa w świecie!
Jakżem ja tobie wyschle raz ostatni
Całował ręce, zanim do tej matni
Niedobrowolnej miałem pójść, twe dziecię.

Miałas lzy w oku — czułem, że cię gniecie
Troska o byt mój: jak się uwydatni
Ta przyszłość moja, którą losów szatni
W coraz to głębsze tulą mgieł zamiecie.

O matko moja: wierz mi! niech w przeźroczu
Twej chłopskiej duszy — szczerą jest i jasną —
Kłamstw swych nie zechcą odbijać oszczerce.

Nie nie uczynię, abym nie śmiał oczu
Podnieść ku twoim oczom z piersią ciasną —
Ale wiem o tem, ty znasz moje serce!...

XVII.

Zwiastując nagle groźnej zimy przyjście,
Oto dziś, widzę, pierwsze szrony padły,
Drzewa w podwórzu więziennym pobladły,
A jeszcze wczoraj miały świeże liście.

Ramiona słońca, choć błyszczą ognieście,
Wczesnym się chłodem na trawnik pokładły.
Co, jak przed śmierci smutnymi widziadły,
Odwraca od nich swoje skronie-kiście.

I ja po krótkiej przechadzce do celi
Wracam samotnej, ze smutkiem w mem łonie:
Jak na ojczystym wygląda zagonie?

Czy szron przedwczesny nie powarzył ziarna,
Które rzucili pod ziemię, weseli,
I czy stąd dola nie czeka ich czarna!?

XVIII

O jakbym pragnął mieć w tej chwili skrzydła
I pierś olbrzyma i olbrzyma ramię,
Co kruszy więzy i co mury łamie
I rwie praw ludzkich żelazne wędzidła.

O jakbym pragnął pozrywać te sidła
I tak ulecieć ku ojczystej bramie
Świątych przybytków, co szczęścia nie kłamię,
Gdy „tu jest szczęście“ głoszą jej prawidła.

Wszedłbym do środka, wyciągnąłbym ręce
I rzekłbym swoim: „Otom wasz na zawsze,
Choć ziarno rzadsze i choć lży wciąż krwawsze!

I mękę moją widzę w waszej męce,
W waszej nadziei me losy łaskawsze,
I mego ducha waszym duchem święcę...”

XIX.

Kto nie ukochał swojej własnej ziemi,
Kto na jej ustach sercem nie zawisnął,
O, temu ogień miłości nie błysnął,
Ten i świat dłońmi obejmie zimnemi.

I zawsze dla mnie słowa kłamliwemi,
Z których uczucia potok nie wytrysnął,
Gdy ktoś mi rzecze: „Otom ja przycisnął
Do piersi ludzkość ramiony pełnemi“.

Czyż, aby słodkiej użyzyć tym cieni,
Których znużyła droga uciążliwa,
Pnia nie objęły miłośnie konary?

By się zlać w morze w braterstwie strumieni,
Nie potrzebuje-ż źródła potok jary,
Z którego falą najczystsza wypływa?...

XX.

Na targowisku, gdzie w szyderczej pysze
Schodzą się zewsząd mędrcomie-kramarze,
Aby nicować towar po towarze,
Rzekł raz z nich jeden: „Uszanujcie ciszę!

Jesteście trutnie! błazny i hołysze!
Niczem wasz towar; ja wam inny wskażę,
Co problemu ma wagę, że w żarze
Za łeb się porwą filozofy, słyszę“.

I rzuci w tłumy, pełne zadziwienia:
„Co jest ojczyzna?...“ Powstał rejwach srogi,
A potem z śmiechem krzykną: „My nie wiemy!“

Jam nie filozof... Lecz, by serca brogi
I mózg towary wypchali lepszymi,
Rzekłbym tym mędrcom: „Idźcie do więzienia“.

XXI.

Rzekł mi z tych jeden, co pełni ochoty
Trud na swe barki biorą tytaniczny:
„Więszym mi wrogiem jest komin fabryczny,
Niżli dziejowych gwałtów setne młoty.

I bardziej maszyn rażą mnie łaskoty
I dźwięk, co płynie z kotłów, metaliczny,
Niżli narodu jęk tysiącejeczny,
Gdy na dziejową idzie śmierć heloty“

Jakież tu pojęć zmieszanie, wy nieba!
I jakie sprzeczne tu uczuć spowicia:
Tam jeszcze życie, chociaż mało chleba,

A tu się w plemię wpijają katusze,
Ażeby, z ciała wyssawszy mu duszę,
Nie pozostawić ni chleba, ni — życia!...

XXII.

Słyszałem dzisiaj gwar i szcęk oręży —
Dziwny mnie poniósł sen na pole bitwy —
I dwa szeregi wśród wrogiej gonitwy,
Krzyczące głucho: „A kto z nas zwycięży?“

I była „Ludzkość“ hasłem jednych męży;
Drugim: „Ojczyzna! jej nasze modlitwy
I nasze miecze! jej na ostrzu brzytwy
Życie, gdy trzeba!“ z krwawej piersi rzerzy.

Tak pierś z gorączką wieku, co porywa
Wszystkich szlachetnych pod koła miażdżące,
Bracia na bratnie odsłaniają blizny.

Próżno do ciszy zgody prądów wzywa:
„W imię Ludzkości do dobra Ojczyzny,
W imię Ojczyzny, gdzie Ludzkości słońce!“

XXIII.

A któż mi powie, że ta krew daremną,
Którą wylano u ojczystych szanów?
I któż mi powie, że światło kagańców
Próżno zapalać w noc ludzkości ciemną?

A któż mi weźmie wiarę, co nademną,
Więźniem, lśni boskich promieni wysłańców,
Że tych pozornie przeciwnych krańców
Środki potęgą złączone wzajemną?

Przez pomrok celi patrzę na cud cudów:
Świętej Postaci przywita mnie lice —
Pełne jej kształty o białej nagości...

„Słuchajcie“ — przemówi — „jestem Szczęście ludów,
A nie z niczegom, lecz moi rodzice
To krew Ojczyzny i światło Ludzkości!“

XXIV.

O samotności, jak sprzeczną twa władza!
 Dłoń twa, gdy włożysz ją w wnętrze człowieka,
 Albo mu serce namiętne rozpieka,
 Lub rozpalone rzeźwi i ochładza.

I raz mu ducha na szczyty wprowadza,
 Które gwar ulic mgłami mu powleka,
 To znów go strąca tam, gdzie życie ścieka
 Szarymi męty, ach! i przesyt spładza.

A jednak jesteś tylko lustra płyta,
 W którym istota, dana ludzkim bytom,
 Widzi się bardziej pełną i rozwitą —

Tylko pod skrzydeł twych cichemi pióry
 Czujemy bardziej dwojakość Natury,
 Co raz pcha na dół, a raz rwie do góry.

XXV.

Odpycham książki zaczerwione karty,
 Choć towarzyszką była dotąd miłą
 I, zdjęty znużeń jakąś rzadką siłą,
 Padam w zadumę, o brzeg stołu wsparty.

A wtem się ku mnie przedrze, mimo warty,
 Anioł czy Fryne i krew moim żyłom
 Rozbudzi, szaleń żrenicą opiłą
 Zawisłszy na mnie i łonem — Astarty.

Śmieje się w oczy, porywa za szyję,
 Gorące wargi w usta moje wciska —
 Pije... snąć życie wszystko mi wypije...

Lecz wtem złudzenie prysło, tak jak pryska
 Promyk, gdy gaśnie w odbiciu dalekiem:
 O samotności! jam był — tylko człekiem.

XXVI.

Czyliś ją kochał?... Zawile pytanie,
 Na które jednak odpowiedź nie trudna,
 Choć dusza jeszcze w gniew i wyrzut ludna,
 Choć jeszcze ropa na niezaschlej ranie.

Jakież ja czulem nerwów rozegranie,
 Jakby melodia rozgrała je cudna.
 I cały byt mój, zdaje się, ta złudna
 Ciągnąć muzyka nigdy nie przestanie.

Usta i oczy, ramiona i piersi
 Stają się jednym czarownym hejnałem,
 I my gorętsi wciąż i coraz szersi.

Lecz wśród tej pieśni, syconej zachwytem,
 Jakieś akordy zadrżą naraz z zgrzytem —
 To nasze duchy!... Jam ją kochał — ciałem.

XXVII.

Emancypacja!... O i jak się burzę —
 niesprawiedliwa i mnie rani modła,
 Że świat, gdy czerpie rozkosz z swego źródła
 Tym daje krople, tamtym pełne kruże.

I ja tej ciemnej falandze nie służę,
Która kobiecie smutne stawia godło:
„Niech pozostanie tam, gdzie ją przywiodła
Ręka przeznaczeń, leżących w Naturze“

Wierzę, iż łatwo dać jej pojęć zwrotem
Skalpel lekarza, prawodawstw orędzie
I tak ją podnieść na społeczne stolce.

Ale czyż równie łatwym trudem będzie
Podnieść i serce, obryzgane błotem,
W które je wieków przycisnęły kolce?...

XXVIII.

A te anioły, których wdzięk łagodny,
Jak niezmacone źródłiska oblicze,
Że w nich swych źrenic widzisz czyste znicze
I swojej duszy czar, z ich czarem zgodny?

Że w ich uścisku jesteś tak pogodny,
A tak głęboki, jak ich tajemnicze
Westchnień szelesty, co, ciszą zwodnicze,
Zdradzają ocean, w drogie perły płodny?

Tak!... I ocean, choć go ręka burzy
Do dna poruszy, w męty się nie zmieni:
Ale jak nikłą ilość oceanów?

A ileż ścieków, a ileż kałuży,
Które bryzgają, chociaż bez orkanów,
Za lada wiewem, i gdzie gad się pleni?...

XXIX.

Poza mą celą, wewnątrz kurytarza,
Słyszę co rano głośnie kajdan brzęki
i głuche kroki po plecionce miękkiej —
To na „powietrze“ prowadzą zbrodniarza.

I tak mnie dziwnie ten moment przeraża,
Że mnie snąć palą jego sine męki,
Że czuję więzy wokół własnej ręki,
A to fantomy, które — litość stwarza.

Oto używa nad grobu otworem —
Zapadł już wyrok: gardłem winy płaci —
Powietrza jeszcze, eliksiru życia...

O! jakże straszni są ci ludzie-kaci!
Nim przetną życie swoich praw toporem,
Dają słodczyne jego do wypicia.

XXX.

Codzień spotykam wśród zwykłej przechadzki,
Lub powracając w uścisk celi-jędzy,
Co ci swe wdzięki daje — bez pieniędzy,
Więźniów, czyszczących sprzęty lub posadzki.

I codzień szukam — człek to wyrób tkacki —
Ile w nich włókien, zwitych z serca nędzy,
A ile drogiej, jedwabnistej przędzy,
Lecz którą splamił ten świat świętokradzki,

I zbyt mi często mówią swemi oczy,
W których drżą długie znużenia godziny —
Widać, ich dusze straszny ciężar tłoczy:

„Że się nam siły w tej matni tak prężą,
Nie w naszych sercach, lecz w tych szukaj winy,
Co kuja prawa i co niemi więżą...”

XXXI.

Co to jest prawo?... Rzym, gdy cudze kłosa
W snop swego jarzma wiązał ręką krwawą.
Rzucił nad światem gardzielią chropawą
Krzyk: „U mnie prawo, a ma ostrze kosy!”

Arbuez, niecąc płomieniste stosa,
Szeptął pokornie: „Wierny-m Boga prawom!”
Fabrykant, brzuch swój karmiąc głodnych strawą,
Dyszy: „Mam prawo, dały mi je losy!”

Co to jest prawo? jakąż jego władza?
I jakiż owoc jego plód wylęga? —
Nieraz wypełniam tem pytaniem celę...

To sere i duchów złączonych potęgą,
Która oświeca, żywi, wyswobadza,
Co rodzi ludziom i ludom wesele...

XXXII.

O ty wolności, której fale płyną
Z jednego źródła, ze serca człowieka,
I tak, jak w basen swój kaskada ścieka.
Znowa wracają, znów w tem sercu gina —

O ty wolności, co rozpraszasz siną
Ciemnoty chmurę, gdy nam świat powleka,
Której głód obcy, krwi nieznaną rzeka, —
Tyś prawa-szczęścia matką i dzieciną...

Tak! emanacji i absorbcji w tobie
W prawdę się cudna hipoteza zmienia
I jasno płonie ponad ziemskim cieniem:

Rodzisz się w duszy, chodzącej żałobie;
Wracasz do duszy z potęgą promienia —
Tam jesteś żądzą, tu jesteś spełnieniem.

XXXIII.

A rewolucja?... Ten chrzcin obrzęd krwawy
Odradzającej się ludzkości?... Huki
Mu towarzyszą, gdy się łamią łuki,
Gdy jej kościoła trzęsą się podstawy.

Pochód, co, blaskiem pochodni jaskrawy,
Depce siew, pali, rwie karty nauki,
Myśl, uwięzioną w głazie, rąbie w sztuki
I hańbą zwie, co było życiem sławy?

Wiem — i to smutkiem wypełnia mą duszę —,
Że trzeba nieraz przejść lekarstw katusze,
Wiem, że w chirurgii nieraz nóż potrzebny.

A jednak... jednak chciałbym, aby śpiewu
Miała potęgę, co rwie nas, podniebny,
Ta rewolucja, ta — bez krwi rozlewu...

XXXIV.

Zamiatam celę — zwykła to robota,
Zwykle to więźnia każdego zajęcie,
Nim pierwszy zalśni brzask na firmamencie,
Nim ponad ziemią wstanie zorza złota.

Pomywam statki, ostatni helota,
A dnia mnie takie nie gnębi poczęcie,
Tylko mną dziwne owłada zakłęcie:
Bolesna rozkosz, rozkoszna tęsknota.

I nieraz z ręki szczotka mi wypada,
Nieraz płat rzucam i cynowy dzbanek,
Oczy w zmrok wciskam, „co to?” wargą szepee.

A niby głosem tysiąca niebianek
Każda mi ściana, każdy kąt powiada:
„Poezja! anioł w pomroków kolebce...”

XXXV.

Gdzież się twa postać święta nie przeciska!
Raz, by zapalać uciechy rumieńce,
To znów, by składać na mogiłach wieńce,
Gdzie żal i smutek perłą rosy błyska.

Z twej czary złotej żar i chłód wytryska;
Orzeźwiasz starce, rozgrzewasz młodzieńce,
Całujesz usta łagodnemi jeńce:
Ty jesteś wszędzie, gdzie grób i kołyska.

Lecz ponad wszystkich szczęśliw i bogaty,
Bo w sobie chowa całe skarbowy światy,
Kogo kapłanem czynisz swej świątyni;

Kto swą i innych boleść i podniecie
Przybiera w kształty, kogo twój, mistrzyni,
Gorący uścisk przemienił w poetę...

XXXVI.

Nieraz, gdy padam w objęcia zadumy,
Na czarodziejskiej, czuję, jestem łące.
I olśniewają mnie tu barw tysiące
I wraz kołyszą przetysięczne szumy.

To znowu kształtów witają mnie tłumy,
Chwytam ich rysy, ich mięśnie drzące;
To jakieś widzę źródłiska, wabiące
Jasną swą głębią spragnione rozumy.

I tak mnie zjawisk tych przywabia morze,
Że cała dusza w tych nurtach skapana,
A tak mi lubo, tak rzeźwo, gdy — tworzę...

Czuję: muzyka i pędzel malarza
Narzędziem piewcy i rylec rzeźbiarza,
Myśl filozofa i słowo kapłana.

XXXVII.

Sen dziś niezwykle miałem, sen głęboki:
Zdawało mi się, słuchajcie! że — słyszę —
Jakieś szelesty przerywają ciszę,
Jakieś przebliski — widzę — tną pomroki.

I szum się wzmaga... Tak jęczą potoki,
Gdy je odedna burza rozkołysze;
Tak grzmia pioruny w niweczącej pysze,
Tak drżą, tak rwią się olbrzymy-opoki.

I ja drzę cały, a śnię... szarpia kleszcze,
Skrzące się ogniem gromu: ja śnię jeszcze...
Śnię i nie zbudzą mnie jęki złowieszcze.

I widzę cienie... opadną mnie dreszcze,
Ja śnię... snąć snem się tym straszliwym pieszcze,
Snać sam z lubością, jęczę, drzę, szeleszczę...

XXXVIII.

Śnię... I pełniejsze coraz snu kontury,
Co w słodkiej grozy zakuł mnie kajdany —
To gór kaukaskich tak się trzęsą ściany,
To Jowiszowych gromów odbłask bury.

To plód tytanów ognisto-ponury
Ku niebu rzuca krew stężałą z rany;
To okeanid żal i jęk rozlany
Przeszywa smutną melodją chmury.

Tak! ja go widzę: Rozkrzyżowan leży,
Skuty łańcuchem ze skalnymi złomy,
Żyły krwią naszły, a ta twarz jak błada!

Patrzajcie! Oto, boleścią ruchomy,
Pięść swą ściśniętą w stronę sępa mierzy.
Co mu wątrobę, rdzeń życia, wyjada...

XXXIX.

Śnię; a sen wzrasta, a z nim dusza rośnie,
W Prometejowe przelewa się głosy
I z nimi razem rwie na szmat niebiosy,
Podwala Zewsa tron i grzmi rozgłośnie:

„Ty, co na żar mój patrzałeś zazdrośnie.
Krwaweś siał ziarno i sam zbierzesz kłosy;
Mym i twym władcą są odwieczne losy:
Oto zwyciężam, a ty kończysz sprośnię!...”

A wtem się zbudzę... Snać bez życia treści,
Jak gdybym przeszedł tytana boleści,
Jakby zwycięstwo wzięło wszystkie siły.

O ty, co cierpisz! co w krwawej żalobie
Walcząc, ludzkości, wyprężasz swe żyły,
Ja, cały w tobie, śniłem tak o tobie!...

V

OBRAZKI Z NATURY

I. W CHAŁUPIE

W okna chałupy, zwrócone
Ku chmurnej stronie zachodu,
Bije i bije szaruga.
A kropla deszczu za kroplą
Wsiąka przez szybę stłuczoną,
Którą zapchano szmatami.
Snać to ostatki sukmany,
Bo skrawek, zewnątrz wiszący,
Tędy owędy drucianym
O szkło zaskrzypi haczykiem.
Wicher szparami wciąż wieje,
Że liść geranji i laku,
Co w poszczerbionych doniczkach
Na zgniłej stoją poręczy,
Gnie się i razem z szarugą,
Ze skrawkiem starej sukmany
I z kroplą deszczu sączącą,
Zlewa swe deszcze w dysonans
Nędzy.
Na stole, w łyżce blaszanej,
Podpartej cegły odłamem,
Pali się knotek, zasycan
Kawałkiem świeżej okrasy,
I rzuca mdlawe światelko
W mrok zadymionej izdebki.

W kącie przy ścianie zapadłej,
Na butwiejącej przyciesi,
Łyżnik o barwie brunatnej
I o zębatej fasadzie:
Na nim talerze gliniane,
Dzbanek i garnki z żelaza,
W połowie sadzą pokryte.
Na ziemi woda we wiadrze
O zardzewiałych obręczach
I drwa, rąbane na jutro,
Tworzą z łyżnikiem i knotkiem
Z garnkiem i miską dysonans
Nędzy.
Na ławie wąskiej, a długiej;
O nogach górą zwężonych,
Ślady spożytej wieszczery:
Kartofel, łokciem zgnieciony,
Szare łupiny, solnica
I na dnie misy czerwonej
Resztki zgęszczonej polewki.
W małym piecyku żelaznym
Tleją się jeszcze iskierki,
Przez szpary kręgów złocistym
Zabłysną czasem promykiem
I żółte światło poleją
Na mąką zaschły żurownik
I na zmoczone pończochy,
Które się suszą o brzegu.
Oto je podmuch w tej chwili
Rozszerzył w język płomienny,
Gwiżdżąc w kominie dysonans
Nędzy.

Przy piecu starsza kobieta:
Włos czarny, krótko ucięty,
Z za błękitnego zawoju
Na skroń się białą wysuwa.
Powieki na dół spuszczone,
Broda na piersi obwisła
I ręce skryte pod fartuch.
Tędy owędy, gdy wicher
Głośniejsz zadzwoni o szyby,
Budzi się z drzemki i oko
To rzuci ku drzwiom zamkniętym,
To znów, gdy słoma zachrzęści,
Błyśnie z ukosa w kąt izby,
Aż czoło w fałdy się zwęży.
Oko niebieskie, ostatnią
Paląc się jeszcze pięknością,
Tworzy z tołubem wyblakłym
I z lic bruzdami dysonans
Nędzy.
Pod strzępem kołdry, na słomie,
Zasłanej zgrzebnem płachciskiem,
Szesnastoletnia śpi dziewczka.
Łokieć wsunęła pod głowę,
Że aż koszula opadła
Z wypełniającej się piersi.
Ze stołu splywa żółtawy
Thuszczowej lampy promyczek
I koralowe policzki
Okrasza jeszcze różowiej.
Czasem się w lekkim uśmiechu
Rozszerzą wargi czerwone.
Śni o panie z fabryki,

Co ją ukradkiem pochwycił
I uda przycisnął kolanem.
Patrzaj! ten uśmiech i sen jej
I pierś namiętnie wydęta
Łączą się w smutny dysonans
Nędzy.

II. CHŁOPSKA DOLA

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem
Napół powiedły i kurzem powlekłą
Skroną swoją skryły przed słonecznym blaskiem.
Wiązaniem żyta zajęci żniwiarze
Poszli wypocząć wśród cieni mędeli
I ogorzałe przyslonili twarze,
Weseli,
Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
Że choć z południa odetchną na chwilę —
Ona usnęła.

Mąż ukochany spoczywa w mogile
Drugie już żniwo, a od syna dzieli
Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
Że okiem ludzkim nie zmierzysz topieli.
Kto wie, czy wróci? czy zamknie jej oczy?
Wczoraj mu talar posłała ostatni:
Dziś i za morzem przybysze roboczy
Nie płatni...
Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
Rzuciła wiązkę, usiadła pod snopkiem
I tak usnęła.

Ciężka to dola zawisa nad chłopkiem,
Cięższa nad wdową, gdy jej nikt nie bratni:
Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem

I tak wciąż dyszeć, jak ryba wśród matni.
Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
I kęs własnego posiadała chleba,
Lecz pogrzeb męża — toć przecie, choć z biedy,
Grześć trzeba:
Duszaby nigdy bez świec nie spoczęła,
Bez pokropienia i bez pieśni świętej —
Ona usnęła.

O Chryste Panie! o ty niepojęty!
Który przychylasz swoim dzieciom nieba!
Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
Leży pokosem — bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie, jak bedłki, padają,
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
Obroże.
Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
Ojcze, twa ręka... Lecz któż cię odgadnie? —
Ona usnęła...

Została chata... Bóg wie, jak wypadnie,
Jakie biednemu gotuje się łoże,
Świat wobec biednych postępuje zdradnie:
Już może jutro, lub jeszcze dziś może,
Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
Za czynsz przylepią znaczki urzędowe
I nie zostawią ani śmieci kupy,
By głowę
Sklonić stroskaną... W lód się myśl jej ścięła
Na smutne jutro, na jutro lodowe,
Lecz dziś — usnęła.

III. W CISZY WIECZORU

Rzędem przy drodze, na wzgórkach
Żółtego piasku, szarzeją
O niskim zrębie chałupy,
Paloną kryte dachówką,
Dziś poczerniała od deszczu,
Gdzieś w mchów zielonawych
Cienkie zasnuta tkaniny.
Jak starce, wiekiem zgrzybiali,
Chylą się szczytem ku ziemi
I butwiejącą przyciesią
Na szarych wsparte kamieniach,
Nie wiem, czy marzą o dawno
Zatartych śladach młodości,
Gdy jeszcze, świeżo bielone,
Sterczały słupy silnymi,
Czy też o przyszłych nawałnic
Szalonym myślą rozpędzie,
Który je w gruzy zamieni —
Dosyć, że marzą i marzą
W ciszy wieczoru.

— — — — —
Oto patrz! jedną z ich rzędu
Całuje miesiąc gorący,
Wyrwawszy z gwiazd się uścisków.
Ona mu wzajem odpowie
Srebrzystą światła kaskadą,

Która tej chwili z żrenicy
Pękniętej szyby wytryska.
Promień, złamany o szparę,
Pali się ogniem, gorętszym
Od tych płomiennych języków,
Liżących garnki w kominie
Ze zastawioną wieczerzą —
Promień się pali wspomnieniem
Tej niepowrotnej godziny,
Gdy przed dwudziestu latami
Szczęśni mieszkańcy tej chaty.
W zaznanej ledwie miłości
Słodkiej się topiąc rozkoszy,
Błogosławili samotną
Ciszę wieczoru.

— — — — —

Poza chałupą, w zacieniu
Rozgałęzionej jabłonki,
Akord odwiecznej melodji:
Ona w spódnicy z barchanu,
O piersi lekko wydętej
Poza zbrudzoną koszulą,
Pierścieniem ramion spalonych
Na jego szyi zawisła
I drży, jak niegdyś jej matka
Hen! przed latami dwudziestu.
On, naprzód ku niej schylony,
Rozplamienioną żrenicą
W czerwone patrząc jagody,
W pas jedną schwycił ją ręką,
Drugą, po gładkiem ramieniu
Lekkiem wijącą się węzem,

Topi za rąbkiem koszuli
I, drżąc, wśród niemych zachwytów
Pierś odchyloną całuje
W ciszy wieczoru.

IV. NA TARGU

Południe, słońce kwietniowe
Zabłysło tarczą złocistą
Ponad szczytami kamienie
I drży siedmioma barwami
W tysiącu kropel deszczowych
Co po niedawnej szarudze
Wiszą na liściu zielonem
Kalafiorów, pietruszki,
Cebuli, czosnku, kapusty.
Czasem na tłustych wypocznie
Piersiach czerwonej przekupki,
Opiętych w kabat żółtawy,
To znów grą światła i cieni
Uwydatniwszy do sytu
Ich falującą wypukłość,
Spływa promiennym językiem
Po wyciągniętem ramieniu,
By w kilku drobnych pieniążkach,
Które w tej chwili w jej dłoni
Za wychowanki inspektów
Złożyła młoda kobieta,
Wpół ku przekupce schylona,
Brzuchem oparta o stragan,
Zestrzelić wszystkie swe blaski.

Czasami złotym okoli
Wieńcem kopułę ratusza
I, po miedzianym się dachu
Zsunąwszy, światła girlandą

Padnie ukosem w narożnik
Ludnej, szerokiej ulicy
I w siwej brodzie uwięźnie
Starca — o twarzy wybladłej
Naprzeciw rynku, u skrzyżtu
Dwóch krzyżujących się ulic,
Stał on spokojny, milczący.
Z pod czarnej czapki baraniej,
Co wyleniała tu owdzie
Świeciła skórka, wpółwgięta,
Wypływa pukiel siwawy.
Oczy niewielkie, poprawne
W ramy zmarszczonej powieki,
Brwi przysłaniają rozrosłe,
Że piwny kolor źrenicy
Nie traci, skryty w ich cieniu,
Swej dawnej, czarnej świeżości;
Owszem, gdy promień słoneczny
Padł na wypukłą siatkówkę,
Zdawał się błyszczeć młodzieńczym,
Starcom nieznany zapale.
Nos prawie prosty, o nozdrzach
Lekko wydętych, małeńką
Skażonych dołem brodawką,
Piętnował lice zorane,
Szarawym włosom porośłe,
Wyrazem ludzi szlachetnych,
Dla których żebrać za trudno.
Z ramion, odzianych w rękawy
Z zielonkowatej materji,
Powyżej dłoni zagięte,
Na pierś się kilka drewnianych

Spuszcza wieszadeł, a po nich
I po niebieskim fartuchu
Poznasz, że stolarz z rzemiosła
Starzec o twarzy wybladłej.

Na targu barwy i życie.
Tu zgraja krępych przekupek
Z rąk sobie do rąk wyrywa
Koszyk zielonej kapusty.
Tam oto jakaś kobieta
Pnie się nad wozu drabinę,
Gdzie w małych, czarnych beczułkach
Suszony owoc na sprzedaż:
Jedną się nogą oparła
O piastę koła, a druga
Zawisła wolna w powietrzu
Trzesąc się ikry pełnemi.
Tu kilka bosych dziewczątek
Wciska się między przechodnie,
Krzycząc fiołki fiołki!
Tam pod płomiennym namiotem
Człowiek o twarzy czerniałej,
W czerwonym fezie z kutasem,
Zachwala towar zamorski;
Tu rzędem siadły wieśniaczki,
Trzymając masło na łonach.
Każdy ma towar nabywcę,
Ale go nie ma milczący
Starzec o twarzy wybladłej.

Ulicą w tę i w tę stronę
Cisną się tłumy bogate;

Kobiety w sukniach jedwabnych,
O twarzy różem pokrytej
I o wypchanych tiurniurach
Stają przy oknach wystawnych
I na portretach aktorów,
Śpiewaków, skoczków o kształtach
Uwydatnionych trykotem,
Wieszają oczy spragnione,
Aż w łonach w pręty żelazne
Zasnurowanych, z namiętnych
Dech im zamiera poruszeń.
Jakowaś pańska dziecina,
Ciesząc się sztucznym konikiem,
Co poza płytą kryształu
Gniadą lśni sierścią, batożkiem
Smagnie po grzbiecie bosego,
W podartych szmatach sierotę,
I potem matkę za fałdy
Rypsowej sukni pociągnie,
By mu sprawiła zabawkę.
Panicze w butach klinowych,
Na rząd guzików z perłowej
Zapiętych masy, wśród zgiełku
Niepostrzeżeni, otarłszy
O bok publicznych się dziewczyn,
Chyłkiem ich palec uścisną
I, zrozumieni, znikają...
Tak — każdy towar ma kupca,
Ale go niema milczący
Starzec o twarzy wybladłej.

VI
SNÝ I MARZENIA

I. WIDZENIE

W cieniu liści, splecionych w arkadę,
Nad jeziora mojego błękitem
Spoczywałem samotny.
Słońce krwawą rozlało kaskadę,
Umierając z młodzieńczym zachwytem,
A w odzieniu, z mgieł sinych uszytem,
Duchy zmierzchu, senliwe i blade,
Wszczęły taniec ochotny.

Nad brzegami kobierce kwieciste,
Z niezabudek i jaskrów dzierzgane,
Do snu wabią swym czarem;
Ros wieczornych kropelki srebrzyste,
Dłonią najad niewinnych zbierane,
Rzeźwią znowu bławatki zdeptane
Ach! i lilij kielichy przeczyste
Wypełniają nektarem.

Jak kochanka, gdy pierś jej okoli
Ramionami wybrany młodzieniec,
Tonie w słodkim marzeniu,
Usypiała natura powoli,
Przystrojona w rozkoszy rumieniec:
Miesiąc sennej jał srebrny pleść wieniec,
A pieśń nuć jej kłosy na roli
I słowiki w zacięniu.

Spoczywałem — z jasnego obłoku,
Rozwianego nad głową miesięczną
Niby namiot jedwabny,
Jęły spływać kaskadą potoku,
Niezmąconą, tęczową i wdzięczną
Sylfy marzeń i pracą sturęczną
Chyżo memu stworzyły gmach oku,
Kryształowy, powabny.

Pełno kwiatów i dziewic w tym gmachu,
Pełno woni, rozkoszy i wdzięku,
Że nic więcej nie trzeba;
Nikną widma boleści i strachu,
Nie usłyszę rozpacz i jęku,
Lecz z duchami na białym ich ręku,
Odurzony potęgą zapachu,
Lecę, wesół, do nieba.

Przekształciła mi ziemia się biedna:
Pogrążone w zapomnień głębinie
Gady dawnej zawiści.
Owa gnuśność i martwość bezwiedna,
W której ziarno zbawienia wnet ginie,
Leży w grobie przeszłości, a, w czynie
Widząc cel swój, mej braci dłoń jedna,
Już nadzieje nam iści.

Widzę ludzkość, walczącą pod znakiem
Prawd najświętszych za wolność i spokój —
Widzę siłę i męstwo.
Za wielkiego szermierza orszakiem
Płyną głosy: Na wieki dziś okuj

Węża śmierci i nowe prorokuj
Życie ludom i sercem jednakiem
Dziękuj za swe zwycięstwo!

Już mnie budzą!... O! była mi błoga
Chwila rajskiej uciechy i złudy —
Chwila słodka, marząca;
Miesiąc jeszcze kwiecistym rozłogom
Tworzył z pereł ros świeże wciąż cudy,
Pieśń śpiewały słowiki jak wprzód
I toń Gopła błyszczała swym bogom
Promieniami miesiąca.

II. CHWILA ZADUMY

I.

On mi dał życie, gdy z własnej istoty
Oddzielił cząstkę i w chaos ją rzucił,
Jaki panował w bezdennym przestworze,
Z nim byłem razem, przeczysty i złoty,
Nikt mi rozkoszy duchowej nie klócił,
Bo nie cisnęły mnie ciała obroże,
A jeno dziwna, anielska powiewność
Rajskiej słodyczy dawała mi pewność.

II.

Z nim byłem razem; patrzałem, jak dłonią,
Strojną w znamiona wszechmocnej potęgi,
Oddzielał światy i wlewał im życie:
Już ziemia poi wiosenną się wonią,
Nad nią rozpięty łuk tęczowej wstęgi
I w lazurowym lśnieniu gwiazdy błękicie —
Już wszystko, w świętym złączone porządku,
Hymn dziękczynienia zanosí mu wstęgu.

III.

Jeszcze się ludy kołyszą w uścisku
Bładej zmroku — bez rannych upojen,
I bez namiętnych do czynów poruszeń;
Jeszcze w gorącym, słonecznym odbłyśku
Nie potwardniały dziecięcych urojeń
Nikłe postacie i siłą swych kuszeń

Nie przywabiły ich w sławy ramiona,
Co również jeszcze, jak oni, uśpiona.

IV.

W cieniu zielonych, wysmukłych kokosów
Znużony wielbłąd swój obrok zajada,
A przy nim syny Nilowej ziemicy:
Na ich to piersi z przejaskrawionych niebiosów
Pierwszy raz spływa promienna kaskada,
Wyrywa z objęć bezdusznej martwicy,
Wlewa im ogień, przystraja ich świetnie
I każe dzierżyć berło tysiącletnie.

V.

Skarlłowacieli zdrętwieją w podziwie,
Ujrzawszy szereg olbrzymich grobowców —
Smutną siedzibę farańskich mumij!...
Ja niech w tem mojem zadumań przedziwie
Jeszcze raz wrócę do owych manowców,
Gdzie wśród piramid palmowy liść szumi,
Gdzie hieroglifów niezatarta czarność.
Opiewa z grozą rzeczy ziemskich marność.

VI.

Może raz jeszcze z swych ciemnic powstanie
Boski Ozyris i w żądzy miłosnej
Dziewiczą Izys na wieki przykuje:
I Horus straci Tyfona w otchłanie,
Przywróci chwile urodzajnej wiosny,
Dzieciom swym nowe rozkosze zgotuje,
Zapięklą rolę swą stopą rozgrudzi
I „Miasto zmarłych“ do życia przebudzi.

VII.

Darmo z Amentu przywoływać cienie:
Dusze, skazane na ogniste próby,
Ramzesowego nie ożywią grodu;
Ale ich wielkie, chociaż szorstkie, mienie
Przejmą wnet inni i zawrą z niem śluby
I owe kształty cielesnego chłodu
Rozgrzeją ciepłem zamyślanej Psychy,
Wielce plastycznej, pogodnej i cichéj.

VIII.

Witaj mi, ziemio precudownej krasy,
Duchowa matko rozlicznych pokoleń,
Z obliczem wiecznie rozkosznem i świeżem!
Z tobą szły długo narody w zapasy —
Bez dostatecznych dziś jeszcze wyzwoleń
Zdobia się twoje Ateny puklerzem;
Każdy z nich wdzięk twój podziwia i, dumny,
Wlewa go w pieśń swą i swoje kolumny.

IX.

Witaj mi, ziemio! Znów wspomnień potęga
Pcha mnie napowrót w tę przeszłość daleką
I odzwierciedla mi życie Hellady:
Gaje oliwne, jak oko zasięga,
Na ziemię rosy tęczowe z nich cieką,
Niby łez krople płaczącej driady,
Słońce wśród liści zielonych migoce
I stroi w blaski olimpijskie proce.

X.

Śród walk i igrzysk posiwiali starce
Śpiewają pieśni ślepego Homera
I budzą w młodych zapąły i męstwo:
Rozgrzani, z dumą urągając Parce,
Która im wrota Erebu otwiera,
Nad najeźdźcami odnoszą zwycięstwo,
Albo, szlachetni, w rozpaczliwych chwilach
Z Leonidasem giną w Termopilach.

XI.

Czas schować miecze, na rylec przekutem
W zimne marmury wlać ogień żelazem,
By jeszcze późne zachwycać potomki:
I, Fidjasza wyrzeźbiony dłutem,
Wstał, z Homerowskim spokrewnion obrazem,
Władca Olimpu, wspaniały a gromki,
I, choć miał dłonie kamienne i lice,
Zdawał się na świat rzucać błyskawice.

XII.

Ale znam mitu powiewniejszą tkanę,
Jaką lud grecki w duchowej pogodzie
Potrafił z kłębka swych marzeń wysnuwać;
Znam tę uroczą nadziemską kochankę,
Widzę, jak w wiecznej jaśnieje urodzie,
Jak ją chce Amor całunkiem przykuwać,
Widzę, jak senną z krainy wesela
Sprowadza na świat ręką Praksytela.

XIII.

I oto leży, wyrzeźbiona w głazie,
 Nawpół odziana, nawpół odsłonięta,
 Nęcąca wdziękiem dziewiczych obnażeń;
 Jej twarz namiętnej nie podlega skazie
 I pierś nadmiarem pragnienia nie wzdęta,
 Więc cała wolna od dzisiejszych wrażeń,
 Jak uśmiechami bawi się własnymi,
 Jakby widziała niebo na tej ziemi.

XIV.

I długo była ludzkości odbiciem
 Półnaga Psyche, i szczęścia śmiertelnych
 Nie zakłócały zaświatowe żądze.
 I była rozkosz, związana ze życiem —
 Słodkie zachwyty bez szalów weselnych,
 Jakie sprawiają niebieskie wrzeciadze,
 Które na szczycie Golgoty odmyka
 Konającego dłoń Nazarejczyka.

XV.

Tak więc spoczęła w wielkim popielniku
 Starego świata władczyni, a po niej
 Kaskada nowych promieni wytrysła;
 Pełno tęczowych barw w każdym promyku,
 Bijącym jasno od wybladłej skroni,
 Którą cierniowa korona przycisła —
 Smutne świadectwo, że na poświęcenie
 Lud własny rzuca swych przekleństw kamienie.

XVI.

I w płaszczy królewski dla podłej igraszki
 Przyodzialemu, wśród twardych gościńców
 Spieszyć kazali i życie mu wzięli.
 Patrzajcie! między strupieszale czaszki
 Stawili pręgierz i w gronie złoczyńców
 Jako złoczyńcę i jego rozpięli,
 I, gdy żrenica blednie już z bólu,
 Złorzeczą jeszcze: Bądź pozdrowion, królu!...

XVII.

A on przekleństwa kamieniem nie rzucił
 Na tę brać swoją, co śmiała mu chłodzić
 Puharem żółci jego spiekłą wargę,
 Jenó powiekę ku niebu odwrócił
 I jął w mgle jego żrenicą swą brodzić
 I przede Stwórcą szeptać cichą skargę:
 Ojcze! dziś oni godziny me liczą,
 Lecz niech im będzie krew moja słodyczą!...

XVIII.

I wnet z krwi kropel zaczęły się tworzyć
 Zdroje rubinów, błyszczących jak zorza,
 Co się każdego poranku rozlewa;
 Wnet miały z piaskiem zmieszane lży ożyć
 Perłami, w które wiosenna dłoń hoża
 Omdlałe kwiaty codziennie odziewa —
 Wnet miały lży te i perł rumieńce
 Splatać się w drogie męczenników wieńce...

XIX.

Z krzyżem w swej dłoni i z krzyżem w swem sercu,
 O przyrzeczonem myśląc wniebowzięciu,
 Konały tłumne orszaki u tronów
 Królów, co, leżąc na złotym kobiercu,
 Tonęli w heter lubieżnem objęciu...
 I długo jeszcze świeczniki Neronów,
 Gwiazdami topiąc na nowem się niebie,
 Gasły z wykrzykiem: „Chrystusie! dla ciebie!“

XX.

Był to czas duchów, co, walcząc bez znużeń
 Umiały wzlatać do krain słonecznych,
 Pojąc z wspólnego miłości się źródła;
 Dalekie były im chwile zachmurzeń,
 W tęczowych szatach, w pośrodku dróg mlecznych.
 Miłość do nowych wciąż rajów ich wiodła,
 W laur nowej siły zdobiła im czoło,
 Że choć konali, konali wesoło.

XXI.

Lecz później zwisły białe natchnień skrzydła,
 Postacie, strojne w czar anielskiej sławy,
 Nie kołysały pogrążonych we śnie.
 Czasami tylko niewolnicze sidła
 I ten lód zimny i ten obłok mgławcy
 Roztopią ciepłe trubadurów pieśni,
 Lub w grubej nocy trwających zaciekle
 Wstrząśnie Danteski poemat o piekle.

XXII.

W zimnej mogile leżał smutny wygnaniec,
 Od ojczystego odsądzon dziedzictwa,
 Gdy chciał rozsadzać ideałów kwiaty;
 Ale z nim razem nie, zagaśł kaganiec
 Boskiego światła, lecz skrami umniactwa
 Ozłocił Włochy i strumień, bogaty
 W zórz porankowych błyszczące korale,
 Rozlał na światła zachmurzone fale.

XXIII.

I znów się zaczął wiek młodości święcić:
 Ludzkość, co zgnile zmieniła całuny
 Na barwną szatę wiosennych odrodzeń,
 Poczęły dźwięki sfer ziemskich nęcić;
 Brzmieniem miłosnej kołysana struny,
 Tonie w potoku rozkosznych zawodzeń,
 Wielbi „Mojżesza“ marmurowe skronie,
 Albo się kłania Sykstyńskiej Madonie.

XXIV.

Dziś te pomniki i pieśni odgłosy
 Nie utraciły słonecznych kolorów,
 A przecież ranek zaziemskich ułudzeń
 Nie wabi tłumów brylantem swej rosy.
 W niemym-li tylko podziwiew tych wzorów,
 Muszą pamiętać na zielsko utrudzeń,
 Które kołcami zakrwawia im stopy,
 Gdy idą zebrać na chleb żytnie snopy.

XXV.

Dzisiaj-to boleść i rozpacz ich ciska,
 A jutro sobie tór mieczem nakręślą
 I pójdą z ręką już zeszlą i trupią
 Walczyć za rozkwit ziemskiego ogniska.
 Lecz czyż im nieba zwycięstwa kwiat przysła?
 Czyż oni szczęście krwią własną okupią?
 Czyliż to krwawych łez bezdenne morze
 Wysuszą kiedy jasne szczęścia zorze?...

III. U PIRAMIDY CESTJUSZA

CIENIOM SHELLEYA

I.

Z kraju, gdzie drzewa jęczą na mogile
 Pieśń, co rozdziera pogrobowców serce;
 Z kraju, gdzie kwiaty tarzają się w pyle,
 Gdzie próżno czekasz na świeże kobierce;
 Z kraju, gdzie zmroku rozpaczliwe chwile
 Bój przeciw każdej staczają iskierce;
 Z kraju, co z sobą cierpieniem mnie wiąże,
 Dzisiaj, gdzie wiosna się uśmiecha, dążę.

II.

Myślałem zawsze — już od pierwszej pory,
 Kiedy mi w duszy ogień się zapalił;
 Kiedy przed oczy stanęły mi twory
 Przedziwnych kształtów, gdy byt się skryształił
 I nieznanemi ją mienić się wzory,
 Gdy kamień życia na barki się zwałił —
 Myślałem zawsze o tem jasnem niebie
 I o kryjącej dawną sławę glebie.

III.

Myślałem zawsze: iść, ujrzeć zwaliska
 I na rycerzy wypocząć mogiłach,
 Pić z tej kaskady, co im z piersi tryska,
 By krew rycerską uczuć w własnych żyłach —
 Myślałem zawsze: do tego źródłiska
 O podwojonych będę dążył siłach!

I oto dzisiaj duch mój wyzwolony
Orleńmi skrzydły leci w tamte strony.

IV.

Noc — nie ta mglista, o! nie ta kirowa,
Co nas trupiemi wystrasza widziadły,
Lecz, jak dziewicy, postać marmurowa,
Sennej dziewicy o twarzy wybladłej,
A która, zda się, ogień swój gdzieś chowa,
By go przedwcześnie tłumy nie wykradły;
Noc to wpółjasna, wpółsenna, wpółcicha,
Że duch do marzeń nie nadarmo wzdycha.

V.

Noc, a w tej nocy tajemniczych blaskach
Odwieczne miasto spoczywa... Ruiny
Marzą o głośnych kwirytów oklaskach:
Snać jakiś histrjo opiewa im czyny
Mitycznych ojców... W skórzanych przepaskach
Kończą snąć dzieci skityjskiej krainy —
Kończą i jeszcze wzrok wznoszą do góry
I jeszcze szepcą: „Ave... morituri...”

VI.

Widzę ich duchy — ulatują z ciała,
Ponad skrawionym unoszą się łanem
I lecą, lecą, a droga ich biała,
Gwiazd promienistych wysłana dywanem...
Lecz wnet z tych wyżyn, z pieśnią: „chwała! chwała
Tym, którzy tęsknią za słonecznem ranem”
Spłynąwszy, strojne w zwycięskie egidy,
U Cestjusza zmiłkną piramidy.

VII

U piramidy, lśniącej, jak gromnica,
W gronie tych duchów widzę kształt młodzieńca:
Przedziwna piękność przystraja mu lica,
Choć ani śladu kraśnego rumieńca...
Lecz na nim stara nie błyska zbroica —
Więc to nie postać skityjskiego jeńca?
Nie! po tej skroni, po ócz tych zadumie
Duch mój późniejsze wieki poznać umie.

VIII.

Nie! to Alastor... Wśród ciszy pustynnej
O mur się oparł i zgłębia początek
Tych prawd najświętszych, którym świat jest winny
I nić nadziei i miłości wątek...
Nie! to Alastor, co mózg swój wciąż czynny
Zmienił na święty współczucia zakątek
I ludzkiej nędzy, ludzkiej łzie, co płynie
Ze krwią zmieszana, postawił świątynię.

IX.

Nie! to Alastor!... Cyt!... słuchaj... pieśń żywa!
To osamotnień czarująca ręka
Do takiej pieśni ulubieńca wzywa...
I oto drzewo zamrożonej pęka
I skronie liściem zielonym okrywa,
A tam chór kwiatów przed natchnionym klęka,
A tu ondyny z mitycznych powstają
Dumań i razem z Alastorem grają:

X.

„Wszystko, co żyje, w hymn się wzniosły składa:
Powietrze, gwiazdy i złociste słońce,
Wody czerwone, gdy nad nimi władą
Majestat zorzy, roniąc perły wrzące,
Lasy i pola i stworzeń gromada —
Nawet owady, jako proch niknące —
Wszystko, a w wszystkim żywot wieczny gości,
W jeden się wielki składa hymn miłości“.

XI.

I dalej śpiewał Alastor: „W głębinach
Własnego serca odnalazłem bóstwo!
Wielkość poznałem po myślach i czynach,
A o świętości świadczyło mi mnóstwo
Przedziwnych zachceń, by po gwiazd wyżynach
Wciąż na duchowe spieszyć rybołówstwo,
By, zastawiwszy miłości wędzienie,
Utworzyć wielkie aniołów przymierze.“

XII.

Przy błyskawicznych światłach i przy gromów
Poruszającej muzyce rozwała
Anioł mej myśli posady tych domów,
Gdzie tłum całował pokrowce Baala,
I wśród tych bożnic marmurowych złomów,
Porosłych zielskiem, skreć jasną zapalą,
Co się po świecie złotą tęczą snuje
I ze serc ludzkich kościoły buduje“.

XIII.

I dalej śpiewał Alastor: „O pójdźcie!
Tajemne szczęścia otworzymy wrotnie;
Dziś się do bóstwa własnego nawróćcie
I jego światłu ufajcie ochotnie,
W łomie znów zapal zaklęty rozbudźcie
I stwórzcie wielką bohaterów sotnię,
I, ustawiwszy w bojowe się rotę,
Idźcie, gdzie celów wzniosłych ogień złoty!...“

XIV.

Skarłowaciały rodzie Prometeja!
Nie drzyj, gdy brwi swe ściąga Gromowładny!
Czemu powieki bezsilność ci skleja?
Czemu nie widać w tobie siły żadnej?
Czy cię przestrasza przyszłości zawieja
I nieprzyjaciół twoich zastęp zdradny?
Nie drzyj, lecz poznaj, żeś jeszcze olbrzymem,
Co umie gardzić ofiarniczym dymem!...“

XV.

I dalej śpiewał Alastor... A echem
Porannych dźwięków odrzekły mu pola.
I z nadzwyczajnym niebianów pośpiechem
Płynęła pieśń ta na skrzydłach Eola,
Aż, powitana szyderczym uśmiechem,
Znikła, gdzie zimy rozkazuje wola,
Lecz, będąc uczuć potężnych wynikiem,
Wnet niebotycznym strzeliła pomnikiem.

XVI.

Ludzie tam przyszli w płaszczu hipokrytów,
Pierścieniem węża, co ich samych tłoczy,
Pragnęli pierś mu owinać; „do szczytów
Trupiego wzgórza“ mówili, „niech kroczy,
Aż wymarzonych odwyknie błękitów“ —
I w imię krzyża pluńli mu w oczy
I pozbawili go drogiej spuścizny:
Własnego domu i własnej ojczyzny...

XVII.

I szedł, zwyczajem natchnionych krzyżowców,
Kłękać przed martwą narodów Niobą;
Pośród samotnych przeszłości manowców
Zagłębiać w myśli północną się dobą
I szeptać świętym mieszkańcom grobowców:
„Grachu! ja z tobą! Spartaku! ja z tobą!“
Szedł i korale swej pieśni, wygnaniec,
Nizał na szczytnych nabożeństwach różaniec.

XVIII.

I potem chodził w gajach cyprysowych,
Dziwiąc się liści tajemniczym głosom.
I na poranku obłokach różowych
Wzlatywał smętny ku czystym niebiosom,
Szukając myśli i zapalów nowych. —
Orzeźwiająco skrapiał piersi rosą,
Kiedy, tęsknoty ogniem rozżarzone,
Pchały w niewdzięcznej krainy go stronę.

XIX

Nad jeziorami patrzył swojej „Maby“.
W tańczących ondin bawił się szeregu —
Ondin, swych siostrzyc; lub zasypiał, słaby,
Na miękkim łożu — u kwietnego brzegu,
Lub słonecznymi nęcony powaby,
Pływał z duchami po błękitnym ściegu,
Aż, o przedziwnem śniąc raz wniebowzięciu,
Spoczął na zawsze w tych siostrzyc objęciu.

XX.

O Alastorze, zapalony wieszczu!
Twoje popioły czcę pod tą kolumną...
Po skrze wewnętrznej, po tajemnym dreszczu
Czuję, że żywot zostanie mój trumną;
Że wśród pocisków kamiennego deszczu
Tak, jak ty, złożę przed czasem skroń dumną,
Tak, jak ty, skończę wśród tęsknych zawodzeń,
Nie doczekawszy chwili oswobodzeń.

XXI.

O Alastorze! pomiędzy narody
Naród mój jeszcze w najgrubszym pomroku!
Jeszcze go dążeń i męczeństw zawody
Nie sprowadziły z fałszywego toku,
Jeszcze na stare, spróchniałe zagrody
Rzucać błędnego nie poprzestał wzroku,
Jeszcze, patrz! nowych kląć duchów zastępy,
Kontuszowymi okrywa się strzępy!

XXII.

O Alastorze, potężny lutnisto!
 Podnieś się dzisiaj, ożywion, z swej urny
 I zanuć dumę wspaniałą i czystą
 O wiecznym ludów spokoju, o górnej
 Myśli braterstwa i ukaż przejrzystą
 Twarz mu jutrenki po tej nocy chmurnej,
 To zardzewiałą szablą wysunie
 Przeciwno tobie, lub w oczy ci splunie...

IV. GIORDANO BRUNO

I.

Ileż to pieśni wylałeś już z siebie,
 O niezgłębione ty serce człowieka!
 Ile jest światła promiennych na niebie,
 Ile co rano srebrnych kropel ścieka,
 Ile bławatów na wiosennej glebie
 W płaszczy się słonecznych kolorów obleka,
 Tyle się tonów wśród pieśni twej mieści,
 Głoszących boje, rozkosze, boleści.

II.

Lecz czasem schodzi do głębin żywota
 Anioł skrwawiony i po harfie twojej
 Rękami dzikich roznamiętnień miota,
 A wówczas pieśń twa podobna do zdroi,
 Które w łóżyskach rozpięła ślota,
 Kiedy się w wieńce błyskawiczne stroi —
 A które żadnej, nieświadome straty,
 Topią w swych nurtach najwonniesze kwiaty.

III.

Nieraz słyszałem te straszliwe zgrzyty —
 Nieraz słyszałem rozpalone głosy:
 „Poco wam płynąć w nieznane błękity?
 Nowych polotów poco zgłębiać losy,
 Jakże wam stwórca przeznaczył, ukryty
 W porannej zorzy rubinowe włosy?

Kornie klękajcie u stopni ołtarzy
Bez śladu zgłębiań i zwątpień na twarzy!"

IV.

Serce człowieka! Ten anioł zniszczenia,
Anioł obludy i sprzedanej wiary,
Gdy się zagnieżdży pośród twego cienia,
Przybiera kształty ascetycznej mary,
W miecz się i stosy ogniste zamienia
I idzie szukać dla siebie ofiary —
Idzie jej szukać pomiędzy te duchy,
Co pragną twoje pozrywać łańcuchy!...

V.

W osamotnionej i posępnej celi,
Ponad tajemnic księgą rozłożoną
Tonął w bezdennej, mistycznej topieli
Mnich, co miał serce i duszę stęsknioną
Za owem bóstwem nieskalanej bieli,
Wieńczącem skronie cierniową koroną —
Skronie tych ludzi, którzy wszystko tracą,
By się poszczycić tą przedziwną płacą...

VI.

Czysta go Prawdy przywabiała postać,
Ku niej podnosił roziskrzzone oczy,
Do jej królestwa chciał się myślą dostać
I swego ducha topić w jej przeźroczy:
I począł ciało umartwieniem chłostać,
Myśląc, że ono mu blaski jej mroczy —
Począł zwyczajem Franciszków z Asyżu
Szukać jej w krwawych stygmatach i krzyżu.

VII.

I oto zgłębiał wieczornej godziny
Wiary Chrystusa tajemnicze tonie,
Czekając, rychło z niebieskiej krainy
Chór mu anielski światłem nie zaplonie,
Rychło się chmurne rozjaśnią głębiny
I złote słońce pokażą w swem łonie —
Lecz próżne modły i próżne badania,
Boska się Prawda z ciemnic nie wylania.

VIII.

I zamknął księgę i z palacą głową
Wyszedł zaczerpnąć wiosennego chłodu.
Przed nim błyszczała wstęgą purpurową
Ostatnia zorza, a drzewa ogrodu
Jęły ją wielbić wspaniałą osnową
Dziękczynnej pieśni, że wolne od lodu,
Wolne od szronu i tej smutnej szaty,
Która jest godłem żalu, klęsk, zraty.

IX.

Ponad nim gwiazd się iskrzą miliony,
Jak wymarzonych aniołów źrenice,
Które z nieznanej przywoływał strony,
Aby mu, myśli zapaliwszy świece,
Rozdarły życia tajemne zasłony
I jasne Prawdy pokazały lice —
Iskrzą się gwiazdy, a każda z nich wnika
Złotemi głoski w serce zakonnika.

X.

I czuł, jak w serca świątnicy ukrytój
 Nowe się jęły podnosić ołtarze,
 Jako swoimi gubiły się szczyty
 W morzu szafirów i w ognistym żarze;
 Czuł, jak śród gwiazd tych niezliczonej świty
 Inne do niego przemawiały twarze,
 Nie te przyćmione, nie senne i mgliste,
 Lecz pełne ognia, jasne i złociste.

XI.

I czuł, jak inne zagrały mu pieśni,
 Wypływające ze struny wszechświata;
 Jak go z klasztornej wyrzywały cieśni
 Tam, gdzie się z czynem poświęcenie brata —
 Z czynem tych, którzy, do działania wcześni,
 Nie drżą przed stosem i toporem kata;
 Czuł, jak go gwiazd tych gorejące roje
 Z duchami zmroku pędziły w przeboje...

XII.

I w uwielbienia namiętym zachwycie,
 Wznosząc źrenice ku gwiaździstej wstędze,
 Zawołał z piersi: „Nieznane wprzód życie
 Śmieje się do mnie w ogromów potęgde!
 I widzę prawdę w niebieskim błękicie.
 A nie w pijanej, zapyłonej księdze —
 Widzą ją jasną w tej drodze gwiazd mlecznej,
 W złocistej zorzy i kuli słonecznej.

XIII.

Wśród tych ogromów, ponad tymi światy,
 Jeden panuje wielki duch harmonji:
 Głowę mu wieńczą płomieniste kwiaty,
 Niezmiennych zasad tablicę ma w dłoni;
 Stoi, jak posąg, przybrany w bronzu szaty,
 Ale ze znakiem żywota na skroni —
 Stoi i ładu strzeże całą wieczność
 I woła światom: „Me imię: konieczność!“

XIV.

I słyszą gwiazdy głos ten zawsze nowy
 I kołem wiodą napowietrzne tańce,
 I śród mgieł nocnych nad ludzkimi głowami
 Świecą, jak duchów przewodnich kagańce,
 A blask ich jasny, gorący i zdrowy
 Wiedzie człowieka nad królestwa krańce,
 Tam, gdzie wspaniałe, na odwiecznym tronie,
 Białą nagością czysta Prawda płonie.

XV.

I słyszy głos ten ziemica: drży cała
 i w zakreślonym obraca się kole
 I śpiewa słońcu królewskiemu: chwała!...
 Zielone drzewa szumią na jej czole,
 Tęczowych kwiatów gromada wspaniała
 Poi się rosą przy wiosennym stole,
 Pokąd im anioł zgrzybiały i blady
 Nie zmrozi wiosny gorącej biesiady.

XVI.

Oto przedemną jakiejs gwiazdy oko
 Blaknie i gaśnie. Po drodze błękitu
 Widzę, jak duch jej ulata wysoko
 I do wiecznego przelewa się bytu...
 Porzuć o serce tę żalność głęboką:
 Gwiazda znów jutro zabłyśnie u szczytu,
 A z jej ust pieśń ci przedziwna wnet spłynie,
 Że wśród wszechświata nic nigdy nie ginie.

XVII.

O! Jako gwiazda, wśród tego łańcucha
 Gasnąć przedemną, nie zgasła na wieki;
 Jaką ją znowu do życia rozdmucha
 W zmienionych kształtach konieczność; jak z rzeki
 Na srebrnych skrzydłach nieznanego ducha
 W niebo mgły płyną i znowu wśród lekkiej
 Topią się wody, tak i duch człowieka
 Do pierwotnego źródła perłą ścieka.

XVIII.

Duchu potężny, który swoim tchnieniem
 Napelniasz światów szereg niezliczony,
 Tyś tą kaskadą, ty jesteś strumieniem,
 Którego krople eolskimi tony
 Dźwięczą i dźwięczą i, z martwym się mieniem
 Zlewając, żywych rodzą miliony!
 Duchu potężny! Do twego źródłiska
 Każda z tych kropel znowu się przeciska.

XIX.

O, jak mi nikniesz z przed oczu, Jehowo,
 Wylęgły w mózgu bezlitośnej zgrai!
 Darmo cię stroją wstęgą piorunową,
 Darmo twą nicość przed duszą mi tai
 Najemna czeladź, daremnie nad głową
 Grozi przekleństwem; wśród gwiazdzistych krai
 Inne już berło me serce urzekło,
 Nie to, co niebo gotuje lub piekło!

XX.

Żal mi was, biedne, wygłodzone chóry,
 Co tak jęczycie wśród ciemnej niewoli!
 Kiedy żrenicę wzniesiecie do góry,
 Szukając światła, wnet czerń was okoli
 I gwałtem słońce kryje swemi pióry —
 Żal mi was, biedni, żal mi waszej doli.
 O jam szczęśliwszy: mam siłę co każe
 Gardzić tą zgrają, niszczyć jej ołtarze!...

XXI.

Skończył Giordano i wziął kij pielgrzyma
 I prawdę głosić szedł pomiędzy ludy...
 Szedł łańcuch zrywać, który biednych trzyma
 Zdala od ziemi ogniwoami złudy —
 I wołał jawnie: „Niema szczęścia, niema
 Tam, gdzie się fałszu rozpostarły brudy,
 Tam, gdzie wciąż mącą w powszechnej świątnicy
 Czyste akordy niecni najemnicy“

XXII.

I szedł, a za nim pobiegł chór szatanów,
 Skrywszy swe lica w czarny kaptur mniszy,
 I krzychał tłumom: „Wysłańce niebianów,
 Strzeżem spokoju i niebieskiej ciszy.
 Biada o! biada, kto wśród ziemskich łańców
 Szumu piór naszych zagłuszon nie słyszy —
 Zagłuszon pieśnią tej zbrodniczej treści,
 Która odmawia sługom bożym cześci...

XXIII.

Wszak nam Jehowa złożył piorun w ręce,
 Byśmy kruszyli na twardej go szyi,
 Jednak się w krwawej nie lubujem męce,
 Kiedy się ku nam zwraca żądło żmii;
 Wszak w piersi bije nam serce dziecięce
 I dusze nasze bielsze od lilji —
 Wszakże na ustach naszych zawsze gości
 Hasło pokory i hasło miłości.

XXIV.

Rzucamy tylko wówczas swoje gromy,
 Kiedy duch ludzki, napelniony pychą
 Pragnie Jehowy tron potrząszyć w złomy
 I nad tą ziemią, pokorną i cichą,
 Buduje Babel; kiedy sił atomy
 Łączy, by kościół pobudować grzechom —
 Grzechom dociekań, grzechom wolnej myśli,
 Co sobie sama nowe prawa kręśli!“

XXV.

I tak szumiały ponad mędrcom głosy,
 Pełne szyderstwa i tajnej zawiści...
 I wnet zobaczy, gdzie powiedle wrzozy,
 Odarte z kwiatów i zielonych liści,
 Chór czarnych duchów... Męczennicze stosy
 Wnet się ku niebu podniosą... Nieczyści
 Wnet go duchowie uchwycą w swe sieci,
 Czerń zmówi pacierze i ogień roznieci!...

XXVI.

Konał Giordano i gasnącym wzrokiem
 Raz jeszcze jeden swych oprawców zmierzył,
 A oni stali w milczeniu głębokiem,
 Jak gdyby piorun w ich piersi uderzył:
 Taka z ocz jego palącym potokiem
 Płynęła wzgarda... I wnet się rozszerzył,
 Równien kaskadzie lub chmurze zerwanej,
 Nad ich głowami jego głos rozlany:

XXVII.

„Dziś szalejecie na wzór czarnej fali,
 Z hasłem miłości na powiedłych ustach,
 Z okiem, co iskrą mściwej zdrady pali,
 Z krzyżem na piersi, strawionej w rozpustach,
 W ręku tortury z nieugiętej stali,
 Odziedziczone po dzikich Prokrustach,
 I wszystko życie, wszystko świeże tętno
 Głuszycie pieśnią rażącą i wstrętą.“

XXVIII.

Wśród żółtych ściernisk, po ściętej pszenicy,
 Przy krwawych blaskach gasnącego słońca
 Z żalu nad dolą skażonej ziemi,
 Zasiada dzisiaj praw boskich obrońca,
 A z nim siadają piekiel biesiadnicy:
 Kłamane modły, szyderstwo bez końca,
 Ucho w rozpusty kąpiące się echu,
 I twarz, co wciąż się wykrzywia od śmiechu.

XXIX.

Niecn szermierze! ile jadowitych
 Gnieździ się gadów w niedostępnym lesie;
 Ile się kawek nad ciałem ubitych
 Pastwi jeleni; ile wiatr rozniesie
 Pyłków zarazy dla ziół nierozwitych,
 Pod jarzmem gradu ile trawek gnie się,
 O, tyle we was do smutnej biesiady
 Łączy się fałszu, obłudy i zdrady.

XXX.

Lecz przyjdą czasy, gdzie światłości żarem
 Rozplomienieją martwe serca ludzi,
 Wówczas zaziemskiej rozkoszy puharem
 Żadna już siła ich więcej nie złudzi;
 Staną do walki i na zgłiszczu starem
 Duch ich do życia nowy świat pobudzi —
 I wzniosą okrzyk nad własną mogiłą:
 Oto się niecnnych królestwo skończyło!...“

V. ANADIOMENE

I.

Ujął mnie wczoraj sen, jak dzień pogodny,
 Kiedy się z objęć nocnych mgieł wychyla,
 W rubinów rosę, w złoto światła płodny,
 W zieloność trawy, w barwny pył motyla,
 W rozkwitłe drzewa, które wiatr rozkwila
 Do takich szumów, że serce nam w łonie,
 Jakby niem rajska owładnęła chwila,
 Drży z niepojętych rozkoszy i tonie
 I tonie głębiej w zjawisk miljonie.

II.

Ujął mnie wczoraj sen, jak dzień wiosenny
 Po ciężkiej nocy zimowej, i zwałił
 Z duszy mi słabej ten ciężar brzemienny
 Dni upłynionych, z których każdy palił
 Pragnień mnie żarem, żem gorzko się żalił,
 Jak ten, co w sobie nie znalazł spokoju...
 Tak, ujął sen mnie i w sobie skryształił,
 Jak słońce blaski swe skryształ w zdroju,
 Com wysnuł wśród spoczynku i com odczuł w znoju.

III.

O śnie ty czerstwy! O śnie uśmiechnięty!
 Zbyt rzadkim gościem bywasz w naszym domu;
 Zbyt rzadko swemi ożywasz ponęty
 Zgłuszonych ciosem życiowego gromu:

Częściej nas widma boleści i sromu
Jak Prometejów, zwalczonych pragnieniem,
Do skalistego przykuwają złomu
I z wnętrz tak nam chłoną tchnienie za tchnieniem,
Że, choć się zbudzim rano, dzień jak noc — cierpieniem.

IV.

O śnie ty jasny! O śnie ty błękitny!
Miesiącem jesteś, co nad chmur sinawem
Płonie spowiciem i ten swój przeszczytny
Zatapia obraz w jezior sercu łzawem,
Tak, że aż całe lśnią światłem złotawem...
Jutrzenką — grobem miesiąca i zorzą
I słońcem jesteś, co nad zorzy krwawem
Wstaje posłaniem i sennym przestworzom
Wyciska swoje piętno — żywota myśl bożą.

V.

O śnie rozkoszy!... Helleńskich niebiosów
Strop, do tej chwili zaledwie przeczuty,
Zawisł nademną i z srebrzystych włosów,
Które świt rozwiął swobodny, wyzuty
Z ciężkiej chlamidy pomroku, dopóty
Powiewną splatał tkaninę, aż, złoty,
Pośród fal morskich przytłumionej nuty,
Otoczon zorzy różowemi sploty,
Wzniósł się Heljos i swymi rozszarpał ją groty.

VI.

I rozlał zdrój się po niebie czerwony,
Im niżej — płonąc rumieńcem purpury,
A coraz wyżej, ponad nieboskłony

Łagodniał w blaskach, aż gdzieś tam u góry
Z szafirowemi połączył się chmury
W złoto-sinawe przedziwo, co kołem
Ujawszy ciemno-niebieskim brzeg wtóry,
Zlewa się z morza bezdennym rozdołem,
Że zenit tu z nadirem zda się łączyć społem.

VII.

Niekiedy zdala lekki wiatr powiewał
I lekko kłębił oceanu fale;
Ocean cicho hymn swój jeszcze śpiewał,
A we wód jego strzaskanym kryształe,
Drgały tysięcznych przeblysków korale,
Lub perły złote, lub się strop w chwilowej
Wynurzał ciszy, przystrojony w opale,
Lamę złotawą i płaszczy szafirowy
I niby chwycił echo tajnej fal rozmowy.

VIII.

Wtem na grzbiet morza promień padł gorętszy,
Iskrą gorętszą morze zarumienił;
W tem jedna fala nad drugą się piętrzy,
Tak ją potężny naraz wiatr rozpienił;
I wnet się obraz napół senny zmienił
W nadmiar żywota i ruchu: bóg wody,
Co się dotychczas niby starzec lenił,
Rozdźwięczał naraz w głos silny i młody,
Jakby zjawisk nieznanym zwiastował porody.

IX.

I na powierzchnię pryskającej toni,
Zrodzona z piany rozgrzanego morza,

W diademie z kropel perłowych na skroni
Zjawia się ona — dziewicza i hoża,
Jak srebrna piana, którą ranna zorza
Złotem zabarwia, lub jak błyski złote
Tej rannej zorzy, kiedy wstają z łoża
Świtów srebrzystych, by w sercach tęsknotę
Za dniem budzić niezgasłym i życia ochotę.

X.

Snać ją zawstydza boska nagość ciała
I jakieś ciche ogarniają lęki,
Gdyż, lekko zgięta, gors naprzód podała,
Wdzięcznymi ruchy utoczonej ręki
Pragnąc zasłonić obnażone wdzięki,
Pierś z alabastru i łono bez skażeń:
I tak mnie ujął ten wstyd i ten miękki
Kolor jej kształtów i ten czar obnażeń,
Żem tonął wśród dotychczas niedoznaczanych wrażeń.

XI.

Poniżej biodr jej ze słoniowej kości —
Gdy na nią skośnie blask różowy spłynie —
Śród których tułów, jak w uścisku, gości,
Zagięć łagodnych krągłą tworząc linję,
Morza bogowie i morza boginie
Łączą się w wieńce z nagich ciał i wiodą,
Wpół nad głębiną i napół w głębinie,
Rażny korowód, olimpijskim grodom
Dziękując za władczynię i za siostrę młodą.

XII.

Słońce tymczasem, stargawszy szkarłatne
Sploty na zawsze, to nowopowstałą
Złotem obleje, to znów na wydatne
Mięśnie trytonów rzuci strugę białą,
Łagodząc szorstkość, właściwą ich ciałom,
Albo upadłszy, na pierś marmurową
Którejś z nimf grona, spływa przędzą małą,
By ud wypukłość opleść tkanką nową
I znów tonąć w głębinie, złocąc falę płową.

XIII.

A nad głębiną, nad morskimi ściegi,
Z szumem głębin, w takt tych morskich tonów,
Aż gdzie ostatnie kwitną ziemi brzegi
Płynie melodja tych nimf i trytonów,
Wielka, jak wielkość żywych milionów.
I wnet, co życia zalega arenę —
Najmniejszy atom, który trwa bez skonów,
Napelnia hymnem barwną światów scenę:
O Anadiomene! Anadiomene!

XIV.

I zdało mi się, że świat się już inny
Razem z tą boską oczom mym odsłonił,
Nagi, lecz, mimo nagości, niewinny.
I człek, co dotąd za uściskiem gonił
Mar niepochwytnych i, choć się wylonił
Z ziemi, tę ziemię, śniąc o rajskim chlebie,
Jako macochę odpychał, nie ronił
Lecz ascetycznych przy swych żądź pogrzebie,
Lecz przyłgął do tej matki i w niej poznał — siebie...

XV.

W niej poznał szczęście i, dłonią je męską
 Ujawszy, zamknął drogę tym kuglarzom,
 Albo szaleńcom, którzy mu zwycięską
 Wróżąc wciąż chwilę tam, gdzie gwiazd się żarzą
 Szkliste źrenice, gdzie błękitną twarzą
 Niebo spogląda, karmią go okruchów
 Pyłem, gdy siebie jego chlebem darzą,
 Lub, chcąc go zwolnić z cielesnych „łańcuchów”,
 Czynią z niego nie ducha, lecz ironję duchów.

XVI.

I zawładnęła Miłość nad tym światem:
 Nie ta, co, w pragnień źródle tajemniczym
 Skażona drżącym z naturą rozbratem,
 Przed pustelników ugina się biczem,
 Lecz ta, co, pełnym płomieniem zniczem,
 Wiedząc, że życia szczytnym jest początkiem,
 Porywa ludzi otwartem obliczem,
 I, tym swym celem święta i tym wątkiem,
 Nie jest szalem bezpłodnym, lecz twórczym rozsądkiem.

XVII.

I każdy przez nią uczuł się rodzonym
 Bratem swych braci i z tych krewieństw studni
 Czerpał zasoby siłom nadwątlonym.
 I wnet stopniały lody ostrych grudni
 Pod ciepłem serca, które dziś obłudni
 Zmieniają w rynek fałszywych towarów:
 I znikli waśni podżegacze brudni
 I ten krwi ludzkiej niezgłębiony parów
 Wysuszył już na zawsze dzień miłosnych żarów.

XVIII.

I nastał spokój. Ten łań, co przed wschodem
 Dzisiejszej jutrzni czerwienił się strugą
 Krwi niezakrzepłej i żywił nas płodem
 Siewów, przeklętych łzą i skargą długą
 Zbłądłych helotów, otworzył dziś pługom
 Cichym swe wnętrze i zdrowych oraczy
 Widział schylonych i swym własnym smugom
 Nucących pieśnię — już bez tej rozpaczy,
 Co się na dniu słonecznym czarną chmurą znaczy.

XIX.

Z mogił, wykutych w paryjskim kamieniu,
 Wstawali mistrze: wielcy Praksytele,
 Eurypidzi, w płaszczach, na ramieniu
 Zapiętych sprzążką stalową, wesele
 Stawiając znowu w ludzkości kościele,
 Spokój i prawdę. I wnet ludzkość cała
 Spostrzegła siebie, jak w lustrze, w ich dziele
 I, czcząc ich statua i nucąc im „chwała”,
 Sobie pomnik wznosiła i sobie śpiewała...

XX.

Była harmonja pomiędzy zamysłem
 I między czynem; między pragnień lotem
 I między celem: dyskobol, co zwiłem
 Czyścił ramieniem skórę, zlaną potem,
 Mędrzec, co chodził za światów obrotem,
 Wieszcz, co czar widział w każdej życia skierce,
 Byli szczęśliwi zadowoleń złotem,
 Które im ziemia dawała — w rozterce
 Nie tonął ród Manfredów i nie drżało serce.

XXI.

I zdało mi się dalej... Ach! zbyt rychło
Odbiegłeś śnie ty od rozgranej duszy,
Lecz echo strun twych jeszcze nie przycichło,
I pieśń go inna dzisiaj nie zagłuszy.
Nawet i jutro, gdy mnie szron przyprószy,
Gdy z gwiazd ostatnia zgaśnie mi u szczytu.
Wierzeń tych we mnie nic już nie obruszy —
Zostanie hasło, ryte wśród granitu:
O Anadiomene! O ty matko świtu!

ARYMAN I OROMAZ FANTAZJA (Z ZEND-AVESTA)

Virtue and wisdom, truth and liberty
Fled, to return not until man shall know
That they alone can give the bliss
Worthy a soul that claims
Its kindred with eternity.

Shelley. „Queen Mab”.

CZEŚĆ I

ARYMAN

Otom go widział... blasków tysiącem
Twarz mu płonęła... był tak wspaniały
I tak ognistym bawił się słońcem,
Że nawet zamki przed nim zadrżały.
Gdzie Akerene, ojciec nasz, włada...
Otom go widział... światło promienne
Pragnął i do tej przelać dzielnicy
I te ciemności rozwiać bezdenne
I spalić siłę mojej żrenicy,
I nad mą głową zawołać: biada!

Dotychczas byłem pełen spokoju,
Zadowolony ze swego bytu,
Nie chciałem walki, nie chciałem boju,
Bom złocistego nie znał błękitu,
Który olśniewa twarz Oromaza.
Od wieków siedząc na ciemnym tronie,
Tuliłem w mgły się i chmur powłoki,
Chociaż w mem sercu, chociaż w mem łonie
Płynęły hartu bystre potoki,
Stokroć szkodliwsze, niżli zaraza,

Dotychczas byłem sam jeden królem.
Nie znałem większej nad swą potęgę.
Dziś ze zazdrością patrzę i bólem
Na tę barwistą, tęczową wstęgę
I na te skrzydła, któremi bije
Wyżej odemnie! Wszak on za chwilę
Całkiem zawładnie moimi szczyty!...
Lecz w upośledzeń brudzącym pyłe
Pozostał zemsty płód jadowity —
Zostały żmije — zostały żmije!...

O Akerene! dzięki ci składam
Za nienawiści wszechmocną siłę,
Za hart i wolę, któremi władam,
Aby dziś swoją zmienić mogiłę
Na plac bojowy — na krwawe morze.
Patrz, duchu światła!... Jedno me słowo
Przywoła diwów czarne szeregi,
Co się uniosą nad twoją głową
I zatrzymają gwiazd twoich biegi,
Które ty pragniesz rozsiać w przestworze.

CHÓR DIWÓW

Dzieci twoje, Arymanie,
Nie przywdzieją jasnej szaty;
Ich siedliskiem są otchłanie,
Gdzie nie płoną skry,
Gdzie nie płoną słońce krawędzie
Ni rażące gwiazd makaty,
Gdzie Oromaz nie zasiędzie
W dumie swej.

Arymanie, królu zmroku!
Tyś do chłodnych przywykł cieni,
A tu każą żyć w potoku
Gorejących zórz!
Arymanie, duchu boży!
I my w nocy tej zrodzeni
Nie porzucim zimnych łoży
Nigdy już.

Prowadź, prowadź na przybysze,
A pogasim ich ogniki
I zakłócim dziwną ciszę
Tych słonecznych dróg,
Jakby bowiem nie znał ciebie,
Tak wciąż składa swe promyki
I na jasnym wiesza niebie
Ten nasz wróg.

Prowadź, prowadź, bo już głosy
Amszaspantów ku nam płyną —
Pieśń uwielbień złotowłosy
Ormuzdowi nuci chór:
Każda zwrotka ostrym mieczem,
Co rozdziera mgłę nam siną —
Prowadź — prowadź! my rozsieczeni
Światła twórz!

CHÓR AMSZASPANTÓW

Błogosławionyś, boże światłości,
Bo wokół siebie rozsiewasz życie,

Tworzysz niebiosą, a w ich błękie
Rozniecasz świetny żar!

Zaludniasz ziemię szeregiem gości,
Którzy młodzieńczą krasą i wonią
Nadają pustym, sennym ustroniom
Zachwycający czar.

Błogosławionyś, boże światłości,
Albowiem twoje ojcowskie rządy
Już poważnione złączyły prądy
Potęgą dźwięcznych strun:
I oto ciekną krople miłości
Na twe zwierzęta i na twe ziela;
Świat się przemienia w ogród wesela,
Olśniony falą łun!

Błogosławionyś boże światłości!...
W tem kole życia, w tym barwnym wianku,
W tym bielutkim, czystym poranku,
W tej fali złotych zórz,
Arymanowej nie bój się złości
I jedną iskrą ze swego serca
Króla dla tego stwórz dziś kobierca —
Ach! stwórz człowieka — stwórz!...

OROMAZ

Ten ogień twórczy, co w piersi mej drzemie,
Ten powiew wiosny, co orzeźwia ziemię,
Ta kropla rosy, co z nieba wciąż ścieka —
Zlejcie się w jedno i stwórzcie człowieka!...

Niechaj mu ducha podnoszą zapaly
Do sfer poświęceń, zwycięstwa i chwały,
W sercu niech pali się miłość gorąca,
Błyska płomieniem gwiazd złotych tysiąca,
Spaja ze sobą młodzieńca — nadzieję
I zdroj dobrodziejstw na świat ten niech leje!
Z nami zawarłszy serdeczne przymierze,
W hart się niech zbroi i w męstwo ubierze,
Niechaj się stawia w gorące zapasy
Przeciw wrogowi światłości i krasy!
O Arymanie! zatrząsną się zręby
Twoich zamczysków! Rozpłyną się kłęby
Mgieł twych i dymu i skier mych nie stłumią!
Chóry mych duchów skrzydłami zaszumią,
Patrzac, jak w niwecz obraca się władza
Króla ciemności, co klęski sprowadza
Na moje dzieło — na kwiaty te moje!
O tyś tak dumny! i myślisz, że zdroje
Czystych zachwyków twe dłonie zamącą,
Myślisz, że dobie światłą, gorącą
Zgasisz, wychłodziś zjadliwym oddechem
I będziesz bryzgał szyderstwem i śmiechem.
Serce człowieka, to wnętrze kościoła,
W którym duch boży codziennie nań woła:
„W czarnego zmroku nie chowaj się szaty,
Lecz składaj zorzy i słońcu obiady!“
„Honower“ duchu! twa władza się kończy.
W sercu człowieka mam szyszak obrończy!...

ARYMAN

O Zerwane-Akerene! Przekleństw zmije
Niech się wpiją w twoją szyję!
Upośledzasz mnie na nowo,
Zakłęć słowo
Dając mu!
Więc mam jeszcze patrzeć cicho z mych zamczysków
Na strumienie jego błysków,
Co tam płoną w tej przeźroczy,
Pałac oczy
Moje tu?!...

O Zerwane-Akerene! Przekleństw głazy
Niech dosięgną cię sto razy,
Niech na wieki cię przygniotą,
Twym obrotom
Kładąc kres!...
On raz tylko rzekł „honower“, bo w przyszłości
Wyraz ten mu nie zagości,
Lecz popłyną z jego wargi
Czarne skargi,
Pełne łez.

O Zerwane-Akerene! Jego człowiek
Wciąż nie będzie swoich powiek
Ku błękitnym strefom wznosił:
Będzie prosił
O mój cień!...
Wtenczas zemsta ma i zazdrość swą kałużą
Oromazda w grób zanurzą, —
Wtenczas sine mgły rozsieją

I zaleję
Biały dzień...

CHÓR AMSZASPANTÓW

Arymanie, klniesz daremnie!
Odwieczny czasu bóg
Nie zmieni swoich dróg,
Nie sięgną go twe zmije,
Nie sięgnie go twój głaz!
Arymanie! rzuć twe ciemnie,
Ten nocny porzuć kraj;
Tu zawsze kwitnie maj,
Tu tęcza wciąż się wije,
W słoneczność wiodą nas.

Arymanie, klniesz daremnie!
Przezysty jest nasz człek,
I choćbyś słowo rzekł,
On słońca nie opuści,
Nie rzuci złotych gór!
Arymanie, rzuć twe ciemnie,
Do naszych biesiad siadź —
Czy pragniesz wiecznie brnąć
W pośrodku tych czeluści
I wiecznie szerzyć mór?!

CHÓR DIWÓW

O, nam jeszcze dziś urąga
Ormuzdowy płód,
Arymanie! Arymanie!

Wciąż ognisty chór nadciąga,
Czas już, czas już, byś w otchłanie
Mgieł nas wiódł!...

Przemija lat trzy tysiące.

CZEŚĆ II

CZŁOWIEK

Niech nademną noc się zwali,
„Odpoczywaj“! niech zawoła!
Mnie ten promień słońca pali
I wyciska pot mi z czoła.
Głos sumienia wciąż mnie budzi,
Każe ziarna siać co żywo,
Mnie ten wieczny posiew nudzi,
Ja nie wierzę w przyszłe żniwo

Błyszczą niebo, błyszczą rzeki
I gdzieś w górze gwiazdy świecą,
Oromazda chór daleki
Czczą mnie bawi obietnicą!
Nie dosięgną moje dłonie
Do sfer jasnych — do błękitu,
I me szczęście nie zapłonie
Wieczystego krasą bytu.

Ten potężny światła bóg,
Co się chelpi siłą lotu,
Czemu pragnie jakichś sług,
Czemu pragnie krwi i potu!
Czemu na świat sam nie spłynie
I sam ziaren nie rozsieję,
Jeno ludzkiej śle drużynie
W zamian trudów czczą nadzieję?

Każe w sercu czcić zapaly
I miłości wieńce splatać,

Wierzyć w szczytne ideały,
Do nadziemskich sfer ulatać.
Wolność, światło to fantomy,
Które mózgi chore płodzą!
Próżno, próżno biją gromy.
W moje piersi nie ugodzą!

Nie ugodzą w piersi moje —
I dla innych z twardej roli
Nie popłyną czyste źródła!
Hej! niech zmrok mnie dziś okoli:
Uduchownień białe skrzydła
Dawnom stepił w próżnym locie,
Próżna jazda już mi zbrzydła,
Wolę w ciemnym śnić namiocie!...

CHÓR AMSZASPANTÓW

O nieszczęsny! grób przed tobą!
Odbiegasz dróg zbawienia,
Szukając złego cienia,
Za nocną tęskniąc dobą.

W Ormuzdowym lśnią kościele
Jarzące szczęścia świece,
Tu czyste wciąż dziewice
Wiosenne wiją ziele!...

CZŁOWIEK

Niech nademną noc się zwali,
„Odpoczywaj“ niech zawoła,
Mnie tu promień słońca pali
I wyciska pot mi z czoła...

Wciąż sumienia głos mnie budzi,
Każe ziarna siać co żywo,
Mnie ten wieczny posiew nudzi,
Ja nie wierzę w przyszłe żniwo...

CHÓR AMSZASPANTÓW

Oromazie, zwątpień gad
Zrodził się w duszy człowieczej
I szlachetny zalał ślad
Potokiem trującej cieczy.

Już się mglisty wznosi kłęb,
Nasze się gwiazdy ściemniają,
Już piekielny zadrzał zrab,
Aryman pędzi z swą zgrają.

Oto przyszedł zmroku czas,
Złote się słońce zapada,
Tyś wygnała sama nas,
Biada ci ziemio — o biada!...

ARYMAN

Jestem zwycięzcą!... odwieczny Zerwane,
Ten sam, co jemu przed tylu wiekami
Siły zaklęcia udzielił, dziś ranę
Moją zabił i zwycięstw laurami
Okrył me czoło... Dziś rzucam otchłanie,
W których mnie chóry Ormuzda zawarły
I śpieszę głogi siać na kwietnim łanie
I świat żyjący przemieniać w umarły.
Dzisiaj wyzionę trujące potoki
Na płody słońca, od razu poniszczę

Świetne ich barwy i wyszę ich soki —
I wszystko będzie jak zgłiszczel! jak zgłiszczel!...
Ten ród człowieczy, co dzisiaj mnie woła,
Co Oromaza miał bronić przedemną;
Ten, co miał serce jak wnętrze kościoła,
A dziś zamienił je na czeluść ciemną,
Ten ród, co pragnie spokojnych komórek —
Ten ród przygniotę do cierpień łóżyska;
Ześlę nań węże i stada jaszczurek,
Niech się w objęciu ich kurczy i ciska...
Zmacę mu źródła i spalę mu ziarna,
A on spragniony i głodny, sam siebie
Niechaj zabija, niech strugą krew czarna
Płynie obfitą po tej spiekłej glebie.
I cóż, Ormuździe? Wszak gasną twe słońca
Wszak się w popiele mej zemsty już s'liły?
Ciemność panuje od końca do końca
I wszędy czuć już zgniliznę mogiły!...
I cóż? czyś równie tak wielki i dumny,
Jak ten, co więzy gotuje i trumny?!...

OROMAZ

O ty piekielnej zemsty szatanie!
Dzisiaj ci płaci upadek czleka
Zwycięstwa dań;
Ty śmierć rozsiejesz na jego łanie,
Lecz do mych krain droga daleka —
Nie wejdiesz nań.

W nieśmiertelności tuląc się szaty,
Będę tam mieszkał, a za mną słońce
I duchy zórz,

Płodząc nasienie na nowe kwiaty,
Na nowe lilje, życiem woniejące
Po chwilach burz.

Albowiem słuchaj, zły niszczycielu:
Tworząc człowieka, wlałem mu w duszę
Skier własnych źrój.
Dziś on ukryty... po latach wielu
Zbudzą go własne twoje katusze —
Ten czyściciel twój!

I znów podniesie ku mnie swe oczy,
I znów zapagnie porannej doby
Po ciężkim śnie:
I ja mu ześlę dar mych przeźroczy,
A tobie wieczne otworzę groby,
Zdeptawszy cię!

CHÓR DIWÓW

Duchu brzasków! Próżne słowa,
Dziś koniec twojego świata,
Chór twych duchów już się chowa,
Już — już na wieki ulata.
Pląg za sobą wlokąc brzemie,
Okryci w mgliste odzienia,
Spłyńmy, spłyńmy już na ziemię
Rozpocząć dzieło zniszczenia!

Przemijają lat trzy tysiące.

CZEŚĆ III

ZOROASTER

O jak mi duszno w tym ponurym grobie,
Jak mi się w piersi wryły te kajdany!
Lata po latach... ach! doba po dobie
W pośrodku drogi ciekłą nieprzerwanej,
Wlokąc za sobą wciąż skargi i żale.
Codziennie krwawsze płyną łez strumienie,
Codzień błędniejsze stają się te twarze;
Znikąd cieplejsze nie zawieje tchnienie,
Nikt w gorejącym nie zapłonie żarze
I znikąd czystsze nie popłyną fale...

Noc dziś rozpięła chmury swe nad nami,
Braknie błyskawic, co by je rozdarły,
Braknie piorunów, ażeby iskrami
Wskresiły świat ten, senny i zamarły,
By zapłodniły światłość w tej mogile...
Wy, jak postacie z marmuru wykute,
Kamiennym okiem wciąż patrząc przed siebie,
Na kęsy strawy swej patrząc zatrute —
Wy, czy o zdrowszym myślicie już chlebie,
O żywotniejszej marzycież-wy sile?

Wy, niewolnicy pośród własnej chaty!
Dopokąd jeszcze chcecie się odziewać
Głupiej pokory żebraczemi szaty
I wrogom życia służalczy hymn śpiewać
I od światłości odwracać swe oczy?!
Czy wam szlachetnych pragnień iskry boże,
Które człek każdy chowa w serca głębi,

Rozniecić jeszcze jaka siła może?
Czy was już dzisiaj lód wieczysty ziębi?
Czy wasze piersi wieczny ciężar tłoczy!

Nie! Promień boski w człowieku nie gaśnie!
On nieśmiertelny! Ukrywa się w duszy,
Aż go sam człowiek, bój tocząc zapaśnie,
Siłą i wolą na nowo poruszy —
On nieśmiertelny i wiecznie bez skazy!
Lecz kiedy człowiek nie pragnie już łaski
Zwycięstw i gnuśny zakończy w spodleniu,
Promień krwawymi rozlewa się blaski
I na grobowca rysuje sklepieniu
Ogniste wzgardy i przekleństw wyrazy.

Czyż wy pragniecie, by wasi synowie,
Pośród cmentarzysk krocząc opuszczonych,
Złorzeczeń słowo rzucali po słowie
Na wasze groby bez wieńców zielonych,
Na groby boskim promieniem przekłete?!
Strząśnijcie prochy! oczyście się z błota,
Arymanową pogardźcie ciemnicą,
A wnet Ormuzda zapłonie wam złota
Gwiazda i bladym da rumieniec licom
I dni tu stworzy przejasne i święte!...

CHÓR NIEWOLNIKÓW

Cześć ci, o cześć ci! Ty w naszym łonie
Budzisz znów zapał, stłumion niewolą;
Oto już błyska, oto już płonie,
Ku Oromazda zwraca się stronie,
Zwraca ku złotym się polom.

Nie chcemy dłużej, nie chcemy dłużej
Karcić się w nocy ogryzkiem kości,
Po latach zmroku, głodu i burzy
Pragniemy słońca, chleba i róży —
Pragniemy świętej wolności.

Chodźmy, o, chodźmy w zwartym szeregu
Arymanowe rozbijać szyki!
Będziemy walczyć, nie spoczniem w biegu,
Aż znikną resztki zimnego śniegu,
Aż ujrzym wiosny promyki!...

ZERWANE AKERENE

Arymanie! już przyszła godzina!
Oto człowiek zatęsknił do słońca,
Przeciw tobie walkę rozpoczyna,
Walka jego krwawa i gorąca.

Arymanie! płomienne zachwyty,
Żądz szlachetnych siła, hart i męstwo
Odsłaniają niebios mu błękity,
Niesłychane dają mu zwycięstwo.

Arymanie! człowiek to potęga,
Której nawet piekło nie przełamie,
Gdy go zdobi woli jasna wstęga,
Kiedy w sercu nosi hartu znamię.

Arymanie! zakłść dawne słowo
To dziś śmierci twojej przeznaczenie!
Ormuzdowy chór już nad twą głową,
By cię strącić w nieskończone cienie!

ARYMAN I CHÓR DIWÓW

Oto patrzcie! oto patrzcie! błyszczą miecze,
Które odniosły zwycięstwo —
Akerene, Oromazie i ty człeczce,
Przekleństwo wam! przekleństwo!

CHÓR AMSZASPANTÓW

Tak oto kończą niszczyciele,
Co zagarnęli świat,
Ażeby wygnać zeń wesele,
Podeptać szczęścia kwiat.

OROMAZ

Oto ziemia, jak pustka cmentarza!
Wszędzie sine dymią popieliska,
Wszędzie zniszczeń ślady,
Ludzkich piersi skra już nie rozżarza,
Już ogniami młodymi nie płonie,
Człowiek walką błądy.

Wody zatrzał wąż Arymanowy,
Łany zdeptał pochód jego duchów,
Z kras odarto kwiaty;
Trzeba ludziom napój stworzyć zdrowy,
Pełnię karmi dać, zamiast okrucichów,
I jedwabne szaty.

Kometowe podajcie mi ognie!
Wszystko w szary popiół dziś obróć,
Wszystko dłoń ma spali!

Serca ludzi zła już moc nie pognie,
Kiedy słowo wielkich zakłęb rzucę,
Aby zmartwychwstali.

Zmartwychwstańcie, drzewa, łąki, łany,
Zmartwychwstańcie, blaski, źródła, rzeki,
Zmartwychpowstań, człeczko!
Za twe męki, za twe lzy i rany
Dziś zgotuję wiosnę ci na wieki,
Z cierpień cię ulecę.

CHÓR ZMARTWYCHWSTAŁYCH

O jaka rozkosz! jakie promienie!
Jaka ros świeżych opłóść!
Świat się przystroił w świeże zielenie,
W zapach zmieniła się zgniłość...

Posiewy ducha na takim łanie
Bogate rodzą nam kłosy:
Dzięki ci Boże! dzieci ci Panie!
Za twoje blaski i rosy...

VII DO NIEJ

I.

I.

Ja ciebie kocham, a tyś jeszcze dzieckiem
O beznamiętnej i niewinnej twarzy;
Na twem obliczu wyrzeźbionem, greckiem,
Żaden gorętszy płomień się nie żarzy;
Z ócz twych, jak słowa w pieniu staroświeckiem,
Bijące w niebo z przed pańskich ołtarzy,
Płynie melodja tak cicha i rzewna,
Żeś jest jak gdyby dawnej Psychy krewna...

II.

W niedoli-m wyrósł i śród braku chleba
I już się wszystkiej rozkoszy zaparłem;
Dziecięcą wiarę w kryształowe nieba
Dawno już z karty duchowej wytarłem,
I zdało mi się, że mi nic nie trzeba,
Że z jakimś lichym porównam się karłem,
Żesie do pragnień już żadnych nie nagnę,
A d zisiaj klękam i wołam: o pragnę!

III.

Pragnę — czy słyszysz? pragnę nici złotej
Tu, w tym ponurym żywota kruzganku;
Pragnę nadludzkiej do męczeństw ochoty,
Za którą w pierwszym tęskniłem poranku;
Pragnę się pozbyć tych znamion heloty,
Co mnie podają w pośmiech bez ustanku,

Gdy, zamiast wznieść się olbrzymem w obłoki,
Ze swoją taczka wpadam w dół głęboki.

IV.

Pragnę straconej wiary w czyn młodzieńczy,
Któryby podniósł marmurowe wieka,
Gdzie ludzkość żywcem pogrzebiona jęczy,
Darmo wołając: potrzeba mi człeka!
Pragnę tej pieśni, co barwami tęczy,
A nie kroplami zmaconemi ścieka
I wszędzie zapał, wszędzie ogień szerzy,
Do boju nowych gotując szermierzy.

V.

Chodź, ty nadobna! o, chodź, ty jedyna
Z obliczem Psychy, ożywionej wiosną!
Niech dla mnie świtu wybije godzina,
Wczas przywołana twą nutą miłosną.
Chodź, ty nadobna!... Już widzę rozpina
Genjusz pierś swą, na widok zazdrosną,
Twarz mi w młodzieńczy przystroja rumieniec
I splata z uczuć przenajczystszych wieniec.

VI.

O, wy najdroższe uczuć diamenty,
Co się kryjecie w serc ostatnią głębię:
Brudnymi życia nieskażone męty,
Stawiacie ludzi na wielkości zrębie,
Budząc im w łonie zapał niepojęty,
Aniołów samych w szczytne dziewosłobie —
O jasnych licach, ze skrzydły srebrnymi —
Z nieznanej przedtem sprowadzacie ziemi.

VII.

Czuję, miłości odrodzony chrzestem,
Że nowe siły przemawiają we mnie.,
Za dziwnych pieśni pchają mnie szelestem,
Co smutnych zwątpień rozpraszają cienie.
Czuję, że duchów towarzyszem jestem
I nie próbuję swoich sił daremnie,
Lecz że na skronie, co dopiero blade,
Przepaskę szczęścia promieniącą kładę!...

VIII.

Ja ciebie kocham — o najdroższa moja,
Nad wszystkie skarby i ponęty świata,
Bo z twojej dłoni tych odrodzeń zbroja
Złotym pierścieniem me piersi oplata...
Ja ciebie kocham! z twojej miłości zdroja
Za wszelkie walki największa zapłata —
Ja ciebie kocham nad słońce i zorze,
Luba! goręcej czyż kto kochać może?!...

II.

Nieraz się pytam, czy ja kocham ciebie?

Czy to nie blaski uczucia zwodnicze,
Podobne zorzy wieczornej na niebie,
Która, przed sobą widząc noc mogiły,
Jeszcze ostatnie wydobywa siły,
Jeszcze ostatnie chce rozdmuchać znicze
I płonąć.

Wówczas drętwieję i jestem lodowy,
Jakby mnie sztukmistrz uwięził w marmurze,
Jakby mi stopy przygniotły okowy,
Że na swą zwykłą nie umiem wejść drogę...
I chciałbym płakać, lecz płakać nie mogę,
I w niebios jasnym nie mogę lazurze
Utonąć.

Najdroższa moja! ty poznasz tę chwilę,
Gdy do uścisku zimne podam dłonie;
Kiedy źrenicę, co zniosła już tyle
Spojrzeń, przed twemi chcę zakrywać oczy...
Poznasz po smutku, co ją dziwnie mroczy
I po tej bruździe, która blade skronie
Rysuje.

Drzę i chcąc zabić duszącą mnie zmołę,
Wyrzekam czi się i duszę swą własną
Obrzucam błotem i serce swe chore

Kłnę, że do żadnych niezdolne uniesień —
Że mi starości rozpaczliwa jesień,
Mimo lat młodych, tkaninę przejasną
Już psuje...

O, wówczas spojrzysz! o wówczas tej łzawej
Każ na mem licu wypocząć źrenicy,
Co mnie z duchowej wyswobadza wrzawy
I w taką szatę spokoju mnie stroi,
Jak gdybym stanął wśród złotych podwoi,
Gdzie wieczne biją ze szczęścia gromnicy
Promienie...

O, wówczas spojrzysz, ty pełna prostoty,
Ziemskimi jeszcze nie skażona brudy!
Uśmiechem dziecka, co rzuca obroty
Sztucznych wysileń, połączysz mnie z sobą:
I ożywiony czoło stawię grobom
I z tobą razem przejdę wszystkie grudy
I cienie.

III. PRZYPOMNIENIE

I.

Pamiętasz jeszcze, kiedym cię za rękę
Pierwszy raz schwycił tą gorącą dłonią?
Wieczór był wtedy; ponad nami dzwonią,
Zdało się gwiazdy złocistą piosenkę.

Tys dłoń ścisnęła w miłosną podziękę,
A głębie ocz twoich, ukryte pod skronią,
Białą jak marmur, zdrój w me serce ronią —
Ach! dziś to czuję — na nawałnic mękę.

Lecz wtedy cały w tobie zatopiony
Duch mój, jak okręt, któremu rozwinął
Żagle wiatr lekki, po twej fali płynął.

Wtędym nie myślał, że przyjdzie z tej strony —
Z mej własnej piersi — demon burz z pobladał
Twarzą i stłucze to szczęścia zwierciadło.

II.

Tys była dzieckiem... Jam spojrzał w krynicę
Twojego serca i widział, że do dna
Jest tak przeczysta i tak przepogodna
Twoja niewinność, jak poranku lice.

I wprzód schylony, utopię źrenicę
W toni, co w lazur i w słoneczność płodna,
A potem dusza, takich blasków głodna,
Cała w tej głębi rwie się tajemnice.

A kiedy wyjdzie skąpana i oczy
Zwróci na przestwór, co za brzegiem leży
Twego źródlika, swym oczom nie wierzy:

Oto się nowy przed nią świat roztoczy,
Gdzie każdy żywiol, każda jego czynność
Rozbłękitnione, jak twoja niewinność.

III.

Ach! ile razy wracałem od ciebie,
Oszołomiony twojej duszy czarem,
Czułem, jak serce topi żar za żarem
W bryłę tak złotą, jak słońce na niebie.

I zapomniawszy o powszedniej glebie,
W pośród błękitów kroczę słońcem jarem,
Zmieniając w świeżość to, com mniemał starem
I zwiędłem w sobie i naokół siebie.

I, tak przemienion, w jestestw przemienionych
Serca się wpijam swoich blasków siłą —
We wszystkie drzewo, wszelki kwiat, płaz wszelki.

I czuję łączność i woń czuję miłą,
Płynącą z barwnych tych złączeń, zroszonych
O wszechmiłości! perłą twej kropelki.

IV.

O jak mi wówczas było wierzyć trudno,
Że tych zachwytów uroczę postacie
Zbyt rychłej życie poświęciło stracie,
We mgły rozwiawszy szczęścia chmurkę złudną,

Że, precz od ciebie, swoją rękę brudną
Złoży gdykolwiek na duszy mej szacie
I tych dwóch słodkich dźwięków: siostró! bracie!
Skłóci na zawsze harmonję precudną.

A oto dzisiaj węzeł, który łączy
Dwa serca czyste i dwa duchy bratnie
Stargawszy, w straszną mnie wprowadził matnię:

Chciałbym do ciebie, jako ptak ten rączy,
Lecz mnie do miejsca przekuwa i zgina
Ach! jarzmo losów i ma własna wina.

VIII

PIERWSZE PRÓBY POETYCKIE

ŚWIT WIOSNY

Z poza sinych chmur,
Z poza śnieżnych gór
Lazurowe lśnią się błonie
Tak pieszczone w wiosny łonie,
Kwiecie wiosny cór.

Nikną śniegi już,
Lubo, świeżo wzdłuż,
Ścięte lodem Gopło taje,
Nadgoplańskie szumią gaje
Pieśń wiosenną tuż...

— — — — —

WESTCHNIENIE

Widział-ja różę w rozkwicie,
Śród wiosnym widział ją błoni,
I nowe we mnie tchnął życie
Czarowny nektar jej woni.

— — — — —

DUMKA

Pamiętce zmarłego brata

W kalinowym gaju,
Przy cichym ruczaju
Siadał chłopczyną
Na fujarce grywał,

Rzewnie sobie śpiewał:
Wiosno jedyna!...
Dum jego odgłosy
Płynęły w niebiosy
Po drzew konarach,
Lecz gdy przyszła zima,
Już i piosnek niema:
Antoś na marach!...

WIECZÓR NAD GOPŁEM

Już spadła lampa światów w oceanu piany,
Baldachim nad jej grobem zdobią zórz rubiny,
Już w gronie gwiazd-kochanek księżyc srebrno-siny
Przegląda się w kryształach pałacu Goplany.

Ty depcesz nad kaszmirskie piękniejsze dywany,
Lub zmysły poisz wonią majowej rośliny,
Kochance nuci piosnkę słowik wśród krzewiny,
Wietrzyk czasem po fali włosów muśnie łany.

Cudny wieczór! Śród takich uroków marzenia
Zdaje ci się, że jesteś na błoniach Edenu,
Że piłeś słodki nektar z źródła zapomnienia.

Rozkoszne te uczucia boleść ci uśpiły,
Lecz większe ci się rodzą boleści w ocknieniu,
Przebudzisz się — przed tobą szarzeją mogiły!...

DUMKA

Rozbijała szumi trzcina
Na Gopla ostrowach,

Szemrze, mruczy woda sina
Po bagien parowach.

Szumiej trzcino! szumiej głośniej,
Żałosne graj dумы,
Jeszcze smutniej i żałośniej
Niech płyną twe szумы.

Szumiej trzcino i ty rzeko!
Nikt tu cię nie trzyma,
Fale twoje wartko cieką,
Nie skuła ich zima!...

ELEGJA

Tyś jeszcze młody!... Czemu w chwili wiosny
Nie tobie świeża uśmiecha się zorza
Ni czarodziejki wabi wdzięk miłosny,
Uroczy, złudny! Czy-ć przyszłości morza
Strach, jak wędrowcu, co wszedł na bezdroża?

Pożółkły pola, wiatr jesienny wieje
I tarza w pyłe zwiędłe kwiecie róży,
Rolnik na świeżej skibie ziarno sieje,
Lecz czy mu słońca zasiewu nie zburzy,
Czy przyszła wiosna szczęście mu wywróży?

Wszystko rzucone na losów igrzysko!
Korabiem życia miota wiatr i gromy,
Gdy świeci jutrznia, to i port już blisko,
Lecz gdy przygaśnie, wnet błądzi ku stromej
Skale wśród nocy, by strzaskać się w złomy...

O gdy popłynę po spienionej fali,
Gdy grom po gromie żagle mi popruje
I tor czarnymi obłoki zawali,
Nie wiem, czy jutrznia blaskiem pokołuje
I po tej nocy słońce mi zwiastuje!

DUMKA WYGNANCA

Gdzie domek mój,
Gdzie naród mój?
Gdzie przejrzyste Wisły wody
I gdzie Tatrów szkliste lody,
Gdzie pszenicy bujny zwój,
Tam ojczyzna, domek mój!... *).

By mogło być,
Śród braci żyć,
W swoim domku, w lubem gronie,
Na ojczyzny spocząć łonie
I o szczęściu błogo śnić,
Razem z bracią swoją żyć!

Któż da mi znać,
Gdzie moja brać?
Może kości jej już zgniły,
Śród zielonej gdzieś mogiły
Może wiecznie legła spać,
Może w grobie moja brać!...

I. zwrotka obca.

Nie wabi świat,
I młodych lat:
Legli bracia, pusta chata,
Nad Ojczyzną ręka kata,
Choć rozkwita bujnie kwiat,
Nie przywabi młodych lat!...

POEZJA

Rzuciłem się w objęcia precudnej dziewicy,
Co ducha mego wiąże czarodziejską siłą
I dumać nad przeszłości mi każe mogiłą
I lzy i jakiś ogień wyciska z źrenicy.

Och! dziwnym spostrzegł obraz śród mgły tajemnicy:
Po zwiędłych grobach kwiecie wiosenne się wilo
I rajski plotło wieniec nad trumną przegniłą,
A cudem się przebudził ród sennej ziemi.

Poezjo! ty nadziemskiej rozkoszy mnie czarem
Wciąż nęcisz, anielskimi uroczą powaby,
I ducha mego poisz niebieskim nektarem.

A tchnieniem twórczej siły zrywasz dawne truny,
Gdzie w całun wieków skryta leży przeszłość, aby
Przebudzić się na odgłos twej Poezjo! struny.

ZDROWIE NIEWIERNYCH KOCHANEK

Bracia! spełnijmy pułhary,
Płyn boski pieni się tuż,
Któż z nas w tem życiu i czary
Trucizny nie wypił już.

Nie jeden serca lubicy
Dotknął się: zimne jak głaz,
I od serc znalazł w szklenicy
Ciepleszy winny kwas!

Hej! dalej bracia do szklanek,
Bo na cóż dłużej nam pleść,
Zdrowie niewiernych kochanek
Pospieszmy wszyscy wznieść!

W SZARLEJU

Przedemną tajemniczo szumią drzew konary,
Czy żalą się, że w więzach lodu Gopło tonie,
Że lice niebios wiosny urokiem nie płonie,
Że ziemię obumarłą kryje całun szary?

Wokoło mnie pamiątki z przeszłości prastarej,
Co z dawnych ludów życiem legły w ziemi łonie,
Jam czytał, ale książkę wypuściły dłonie
I dusza ma przed sobą widzi jakieś mary...

Och! lubię zawsze patrzeć na takie obrazy
I ducha oko puszczać na przeszłości błonie,
Och! lubię łzami rosić namogilne głazy.

I dziwnie mi z tem bywa, to smutno, to błogo,
To serce czuje żalność, ogień jakiś skronie,
To żyję raz z radością, to znów z jakąś trwogą!...

TESKNOTA

Powiedz-że mi moja miła,
Co z nas robi niebios dzieci,
Co nam ogień w sercu nieci,
Jaka-ż duchy spaja siła?
— — — — —

GOPŁO

I.

Pomiędzy gaje, między wzgórza grodziszczowe
Oparło się przeczudne zwierciadło natury,
Gdzie z objęć wiosny patrzą niebieskie lazury,
W powabny zdobiąc uśmiech lica kryształowe.

Tu blasków drga tysiącem słońce południowe,
Gdy złotem chce odnowić stare zwałisk mury,
I księżyc, znużon drogą napowietrznej góry,
Uchyła tu senliwie rozmarzoną głowę.

Wszak dziwnym tu urokiem tchną dzieła przyrody
I czar ten dziwnie ducha twego ci owieje —
Och! mocniej, gdy się z nimi twoje splotły dzieje!

Wtenczas, gdy pieśni twej strumień popłynie,
To źródłem jego bóstwo, ty szermierz swobody,
A wieniec na grób wieszczą potomność uwinie!

II.

Pociemniał wiosennego koloryt pejzażu,
Na jego tle rozliczne gromadzą się plamy,
Jedynie błyszczą w fali złotem jego ramy:
To zorza tak ognistą promienieje twarzą!...

Nad brzegiem gaje szumią, że zda się coś gwarzą,
Wiatr lekko draperuje kraj srebrzystej lamy,
Po której chyżo suną rybackie się pramy,
Tam zaś świetność minioną szczątki zamku marzą.

Gopło moje! u twego łóżyska krawędzi
Niech każdy zrzuca z siebie powszednie odzienie,
A niechaj z myślą czystą, jak pierze łabędzi,
Ze czią wstępuje w lasów i grodziszcz twych cienie,

Tys bowiem jest świątnią dla synów tej piędzi,
Powstała przez boskiego mistrza twórcze tchnienie.

MAJTEK

Majtek w przeróżnej kole drużyny
Chwycił za wiosło okrętu,
Rozwinął żagle ponad głębiny,
Nad wir morskiego odmetu.

Rozwinął żagle i wiosłem trąca
Błękitnej wody oblicze,
A w przestwór leci dusza gorąca
Och! jak na łono dziewicze.

Majtko, choć młody — w wiosennej porze
Nie straszy morska ta jazda,
Przed nim korałem błyszczą się zorze
I ranna świeci mu gwiazda.

Miał on sąsiadów — radzą sąsiedzi:
„Porzuć to majtku rzemiosło,

Namiętna żądza duszę ci zbiedzi
I grób wygrzebie ci wiosło.

W drodze, wśród której plyniesz w tym szale,
Żywiołów walka się toczy,
Złamią cię wichry, pochłoną fale
I nikt cię z twoich nie zoczy!”

Taki los jemu nie jeden wróży,
A on nie słucha tych wieści,
Wabi go fala do tej podróży
I myśl, co w łonie swem pieści.

W fali niebieskie widzi lazury,
Tam jutrzni lice powabne
Oslania warkocz ciemnowej chmury,
Jak dziewczę sploty jedwabne.

A z pod tych chmurek lekkiego włosa
Błyszczą źrenica zapału,
W złotą powleka przędzę niebiosą
I złoci perły kryształ.

Gdy anioł burzy skrzydły czarnemi
Skruszy to cudne zwierciadło,
Majtek spostrzeże oczy błędnymi
Przepaści straszne widziadło.

I myśl, co gwiazdą była majtkowi,
Skróci mu śmierci godzinę,
Utonie z słowem: „Bądźcie mi zdrowi,
Dla was ja żyłem i ginę!”

DZISIEJSZA PIEŚN

Na swych zgłiszczy czarne dymy
Patrzy naród z trwogą,
Myśmy wieszczce, a wieszczymy
Pieśnią zemstę wrogom.

Ponad sioła, ponad miasta
Płoną wrogów łuny,
Myśmy wieszczce: im wyrasta
Zemsta z naszej struny.

Śród pożarów smętny ludu
Nawykleś popiołu,
My powiedziem w pyle trudu
Do zemsty cię stołu.

NA DZIEŃ 3-MAJA

Dawno-ż znikły chwile maja,
Kiedy naród w nieszczęść slocie
Drgnął, jak orzeł w swoim locie,
Patrzac, że mu sępów zgraja
Otoczyła skalne gniazdo?!...

Świeć się, orle, twe zachody
Pośród czarnych chmur nawału
Rozdmuchana skra zapalu,
Choć ją tłumią wraże rody,
Błyśnie tobie życia gwiazdą!...

Naród z śmiercią walkę toczy
I wtem słowa wielkiej myśli

W księgę życia swego kryśli:
Brać się z bracią swą jednoczy,
Dusza z duszą, z sercem serce,

By na wspólnym spocząć grobie
I po długim dniu skonania
Czekać wspólnie zmartwychwstania
I wesela po żałobie
I zwycięstwa po szermierce!...

Och! przeminął dzień ten wiosny,
Wicher rozwił kwiat różany,
A nad groby nad kurhany
W ryk rozszalał się radosny
I połamał kwiat bezlistny.

— — — — —

MYSZA WIEŻA

GENJUSZ — PRZEWODNIK I POETA

GENJUSZ:

Tam!... widzisz tę kolumnę na krańcu obłoku?
Zeczerniał wladca!... patrzaj przez kryształ błękitu:
Srebrzysty dywan u stóp, szafiry u szczytu,
A niebo przędzie z zorzy płaszcz dla jego boku.

Natura tron mu zdoła u jeziora stoku,
Nań olbrzym drzemie w ciszy sennego zachwyty:
Uklękni, z czcią ucałuj te stopy błękitu,
Modlitwy upleć wianek w uroczystość zmroku!...

POETA:

Ah! gdym spojrział na czarną ruinę zamczyska,
Wnet smutna myśl z potoku duchowego trysła,
Co ciężkim zwątpień kołem me serce przyciska!...

GENJUSZ:

Lecz patrzaj! u niebieskich stróp gwiazda zabłysła,
Na skronie Myszej-Wieży tysiąc pereł sieje —

POETA:

Och! lekko mi! jam teraz odzyskał nadzieję!...

DO...

O gdybym wiecznie przy twojem łonie
Luba miłości nektar mógł pić,
Iść z tobą razem przez szczęścia błonie,
Marzyć przy tobie i słodko żyć!
Pierwsza czaruje twa mnie źrenica
I pierwszy serce bije mi raz,
Jednak nie zawsze słońce przyświeca:
O luba! zdejmij z piersi ten głaz!

DO BOGARODZICY

Bogarodzico! z tronu niebiosów
Ku nam swoje zwróć źrenice,
Łzy się mieszają do naszych głosów —
Patrzaj! zwiędłe nasze lice!

Nam żaloba czoło radli,
Troska we dnie, troska w nocy,
Byśmy w boju nie upadli,
Byśmy mieli dosyć mocy!...

Bogarodzico! wrogi nam każą
Żyć i działać w myśli wrogów,
A my walczymy z wybladłą twarzą,
Bo nie chcemy innych bogów.
My cmentarnych się kamieni
Ujęliśmy siłą ducha,
A naokół nas się mieni
Doba z dobą, smutna, głucha!...

Bogarodzico! wieniec twej skroni
Wiją gwiazdy, wiją tęczę,
Niechaj on z siebie ognia uroni
I przepali nam obręcze:
Stopy wiążą nam kajdany,
Ślady krwawe na nich ryją,
Krwia nie jeden brat zalany,
Ledwie nasze łyż ją zmyją!...

Bogarodzico! świątyń kolumny
Obwinęły węże zdradą,
I w prochy ojców pomiędzy trumny,
W twarz nam sycząc, plód swój kładą,
Nad grobami ptacy czarni,
Dziko skrzydłem bijąc, kraczą,
A my ludzie, my cmentarni,
Żyjem zemstą i rozpaczą!...

— — — — —

DO...

Niepewny, czy odpowiesz memu serca biciu,
Czy zapal mój wzajemność w duszy twojej budzi,
Nie troszczę się o sądy i mniemania ludzi,
Co śmieją się z zachwyty tego w ziemskim życiu.

Zbudziła się namiętność, co dotąd w ukryciu
Drzemała, nim ją popiół rachunku ostudzi,
Dziś walczę z sobą, czy się myśl moja nie łudzi,
Czy z wiosną razem ujrzę nadzieję w rozkwicie.

Nadzieja! żywię w sobie to święte ognisko,
By myśli z myślą sprzeczne w rozdwojeniu z duchem
Spoiły tu się w całość, nie padły okruczem,

By w boju, gdzie nam wieńczy skroń wieniec cierpienia,
Gdzie żywot taki trudny, a wieczność tak blisko,
Zaczerpnąć z twego łona siły i natchnienia!...

WIOSNA

GENJUSZ — PRZEWODNIK DO POETY:

Znużone stopy złóż tu wśród wiosny dywanów,
Orzeźwij mdłego ducha napojem z jej łona,
By pieśń twa czarodziejska jej siłą stworzona,
Zagrała w sercach braci potęgą organów.

Twe gaje te i wody i kwiaty tych łąnów,
Miłością ku nim dusza twoja wykarmiona,
Dla ciebie i ptaszyny piosenka natchniona,
Ty w głosie jej poznajesz melodię niebianów.

Przelały się w ten urok twe myśli i czucia,
Bo krasa ta, poeto! jest i lat twych krasą,
Strojną w skromne fiołki, lilje i róże.

Gdy wszystko, co się wdzięczy, nie chybi zepsucia,
Gdy zima zniszczy czysty liść zielonym lasom,
Czy wieńca twego wtenczas będą jacy stróże?...

DO...

Uroczy wieczór maja. W przyjacieli gronie
Usiadłem między krzewy wiosennego sadu,
Słuchając szumu liści i szmeru owadu,
Lub pełną czerpiąc piersią polnych kwiatów wonie.

W objęciach chmurek księżyc nad nami wnet tonie,
Wnet szuka pieszczotliwie gwiazd-kochanek śladu.
Rozpierzchłych och! i drżących jak liść winogrodu,
Gdy wietrzyk z stron ojczystych pogładzi mu skronie,

Dumając tak i patrząc na wdzięki przyrody,
Niechętnie słucham, co mi prawią rówieśnicy,
Niechętnie w ich codzienną mieszam się rozmowę,

Lecz zawsze mam przed sobą obraz twej urody,
W gwiazdeczce każdej widzę zapal twej żrenicy,
Co sieje na mą duszę ziarna brylantowe...

PTASZĘ

Żałośnie, głucho wiatr wieje,
Nad Gopłem szeleszczą drzewa,

Nad grobem brzoza się chwieje,
A na niej ptaszę coś śpiewa:

„Wiosenne słońce odziało
W świeży kwiat lasy i łąny,
Grono mej braci zagrało,
Zewsząd brzmi głos jej dobrany,

A moje gniazdo zburzone,
Nademną obłok gradowy,
Przedemną fale spienione
A nie ma skłonić gdzie głowy!

Matko! tyś wielką mogiłą,
W twem łonie braci tysiące,
Nieszczęście pieśń mi uśpiło,
Spaliło piersi gorące!“...

Żałośnie, głucho wiatr wieje,
Nad Gopłem szeleszczą drzewa,
Nad grobem brzoza się chwieje,
A ptaszę więcej nie śpiewa!...

TOPIELNIK

„Pójdź ze mną dziewczyno,
Pójdź łąnów drożyną,
Pójdź szczęścia wieniec wić,
Rozkoszy my zdroje
Pić będziemy oboje,
Będziemy słodko żyć.

Przecudne masz lice,
Ogniste źrenice
Tajemny kryją czar,
Uroczę spojrzenie
Wylewa strumienie
Z krainy złud i mar.

Usteczek korale
By w Gopla kryształe
Poranny uśmiech zórz,
Tak nęcą niezbycie
Jak pszczółkę w rozkwicie
Wiosenny pączek róż.

Pójdź ze mną dziewczyno,
Śród łąnów drożyną,
Pójdź szczęścia wieniec wić,
Rozkoszy my zdroje
Pić będziemy oboje,
Będziemy słodko żyć!“

I poszła i znikła —
I cicho — ni krzykła,
Gdy wody porwał ją prąd,
A w chatce zdaleka
Mateńka nań czeka,
Czy córka nie wraca skąd?

— — — — —

DO JASKÓŁKI

Jaskółeczko moja mała,
Co tak lotem krążysz,

Jak powiewny wiatr lub strzała,
Co tak za mną dążysz?

Och! tyś może czarna główko
Pod jej oknem była,
Poszepnęłaś może słówko
Dla mnie moja miła?

Jaskółeczko lotna, stójże,
Strzepnij roś z piórek,
Może perlę ły jej ujrzę
Śród tęczowych chmurek?

NASZ WIEK

Gdy rozwiane skrzydeł pióra
W lot spoiła dłoń Dedala,
Wnet myśl moja, dumań córa,
Strzęsła popiół, co nas kala
I poranną zmyta rosą,
Uleciała ku niebiosom.

DO...

Namiętni, mówią ludzie, są wszyscy poeci,
Dla ducha by na słońcu przystań znaleźć chcieli,
Promieniem wieńczyć skronie, jak boscy anieli,
Piorunem pieśni kruszyć serca ziemskich dzieci.

Gdy w piersi ich kto iskrę miłości roznieci,
Wnet patrzą na swój obraz, jak patrzył Anelli,

A urok tylko widzą w liljowej bieli,
Nie wierząc, że i proch jest śród najczystszych kwieci.

Tak sądzą ludzie, nie wiem czy mylą się sądem.
Nie sławy nam doganiać, choć w myśli polocie
Sięgamy gwiazd i często gromy w naszym słowie.

A idąc wciąż za prawdy i piękności prądem —
Czy mamy szukać czarnych żużli w jasnym złocie:
O luba dusza Twoja na to mi odpowie!

WIDZIAŁEM

Widziałem — och! widziałem:
Śród kościoła klęczał lud,
Śród ołtarza leżał swem ciałem,
A na cielem widział trud:
Och ty piewco! i ty klęcz,
I ty z ludem tak się męcz!

MYŚMY DZIECI JEDNEJ MATKI

Nasza ziemia wielkim stołem,
Nie weselnym, lecz ofiarnym,
Więc tuż siadamy wszyscy społem,
A uczujmy chlebem czarnym,
Bo my, dzieci jednej Matki,
Nie zrodzeni na dostatki!

Wasze ojce, syny Wschodu,
W swej świątnicy stali progu,

A święcili bez zachodu
Złotą czaszę ofiar Bogu.
Dziś pod strzechą naszej chatki
Kłęczmy dzieci jednej Matki!

OFIARA

Czy słyszysz, jak wicher burzliwie wciąż wieje?
Jak strumień twych myśli się pieni?
Czy wiesz ty — czy czujesz, jak w piersi ci tleje,
Co życie twe w popiół zamieni?

Poeto grobowy! Śród mogił ty wzrosłeś,
Z omszałej czerpałeś zdroj czaszki,
Nim ducha poileś i braci go niosłeś,
A czyś ty to czynił z igraszki?

Wysączasz uczucia krople jak rosa,
Wieszają na włosach się liści,
Gdy wietrzyk zaszumi, wnet strąci je z włosa,
Nadzieja się twoja nie ziści!

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ ELEGJA

Ledwie śród mogił błękitnego smugu
Gwiazd miljonów zabłysły żrenice,
Wnet światy, pomne winnego Mu długu,
Drżały, gdy Stwórca wzniosł Swoją prawicę,
Krople ognistych lez z oczu ronily,
To meteorów spadły odrobina,

Lub się na zgłiszczą i popiół zmieniły —
I dziś się mienią i dzisiaj tak giną,
Bowiem i dzisiaj pośród jestestw pola
Zawsze władczynią ta sama jest wola.

POECI A GROBY

Mająż piewcy, jak upiory,
Na mogiłach szukać chłodu,
By zrodzone tam ich twory
Już znużeniem tchły za młodu?

Mająż błądzić pośród czaszek
I dotykać zimnych kości,
Aby wzdychać jak ów gaszek,
Osłabiony tłokiem gości?

Inny cel ich! wiotkość ducha
Nie nastroi piór do lotu,
A rozmyślnie duma krucha
Nie popłynie siłą grotu.

Inny cel ich! zawikłane
Na cmentarzu rozprząść struny,
Mdlą bławatków wonią złane
Karmić dusze prochem truny.

Bo tam częściej są żywotne,
Tam pierwiastki są żelaza,
Których rdzawa tysiąckrotnie
Nie miała się zaraza!...

DO POEZJI

Poezjo, najcudniejsza bogini Parnasu!
Ty przedzą rannej zorzy zdobisz duchów światy,
Brylanty rosy siejesz między uczuć kwiaty;
Do tęsknych dum nastrajasz wiosenną gęś lasu...

Ty płoniesz kolorami tęczowego pasu,
Anielskie twoje stopy depcą gwiazd makaty;
Odziana w płaszcz niebiański, krajem srebrnej szaty,
Oślaniasz czyste lilje przed wyziewem czasu...

Więc nie dziw też, że siłą tych wdzięków natchnieni,
Strząsamy pieśnią prochy z liści świętych gai,
By godny ci zgotować przybytek w ich cieniu.

Świątynię tę oczyścim z pasożytnej zgrai,
A tylko chmurą smutku na duchu przyćmieni
Przy tobie tutaj spoczna wśród edeńskich krai...

TOPOLE

Nad omdlałe ziem powierzchnie
Szare wstają mgły,
A wiosniany urok pierzchnie,
Jak młodzieńcze sny.

Fantastyczne nimf piosenki
W gajach wietrzyk grał,
Dziś te tony, dziś te dźwięki
W dziki akord złał:

„O, źrenice wnet przymruży,
Kto o szczęściu śnił,

Bom nadobnej wdzięki róży
W silny rozniósł pył.

W eterycznej kwiatów woni
Przędłem cuda w mgłach
I perliłem rzęsy bloni
W brylantowych łzach.

Jesiennymi dziś wyziewy
Poję cały świat,
Dziś mi obce rzewne śpiewy,
Obcy lilji kwiat!“

I pieśń szumiał sobie długą
Śród konarów drzeń
Rozproszywszy żółtym smugom
Blady słońca cień.

— — — — —

NIEZABUDKI

Pośród trawy na bagnistej
Ziemi rosły niezabudki,
Płaszcz ich ciała był przezczysty,
Kolor oczu niebieściutki,
Wietrzyk tulił je do łona
Dziewiczego wodnych lilii,
Z których każda wypieszczona,
Pośród czarów wonnej chwili,
Kryła bielą swej obwódki
Wiotkie kształty niezabudki.

Właśnie szedłem Gopla brzegiem,
Nucąc dumy z szumem trzciny,
A spokojnym fala biegiem
Mój pieściła sen jedyny —
Oh! pieściła — nie pieściła,
Bowiem w myśli zawierusze
Żadna radość nie koła
Zamroczoną, tęskną duszę.
Kiedym ujrzał niebieściutki,
Luby kwiatek niezabudki.

POKUSA

Cisza wkoło, senność wkoło,
Życie światem płonnych mar,
Wiosna gajom wieńczy czoło,
Jesień niszczy wiosny czar.

Byłóż gorzej, jest-że gorzej
Ideami poić świat,
Czyli czekać, aż się złoży
W grób ostatni lilji kwiat?

ZIMA

Jeszczem się łudził wiarą w wieczną trwałość
Młodzieńczych wrażeń i wiosennej woni,
Gdy, miasto widzieć kwiat na świata skroni,
Ujrzałem śniegu całunową białość.

I rozżaliła mnie bóstwa niestałość,
Co wdzięk dziś szczepi, a jutro go trwoni,
Chciałem narzekać, lecz nim się wyłoni
Skarga, przemówi genjusz:

„Jaka śmiałość
W ludzkim się sercu, w ludzkiej gnieździ duszy,
By nieustannie pragnąć świeżych lilii,
By chcieć dla świata wciąż rumianej tuszy.

Zresztą Natury potężna jest władza
Co dzisiaj zniszczy, to w stosownej chwili
Silniejszym wskrzesza i cudniej odmładza!“

ŻYCZENIE

Gdybyś ty mnie orle siwy
Swoich skrzydeł dał,
Tobym ja się lotu chciwy,
Wzniósł nad szczyty skał.

Tobym ja się w ciemne włosy
Chmur dziewiczych krył,
A kroplami wonnej rosy
Prochbym z siebie zmył.

W nadświatowej gdzieśbym stronie
Rajski żywot wiódł,
W eterycznych duchów gronie
Plótlbym wieńce plótl. —

DO BOGARODZICY

Bogarodzico! o ja cześć Ciebie,
Bo mi przychyłasz miłości czarę
I z aniołami równasz mnie w niebie
Wtenczas, gdy Twoją spełniam ofiarę!
Dla mnie ta chwila sennym zachwytem,
Co snuje duszy cudne obrazy,
Wonne ogrody z świeżym rozkwitem,
Śnieżyste lilje bez czarnej skazy,
A nad tem wszystkim promień słoneczny,
Taki powabny, taki serdeczny!

Bogarodzico! pelen rozkoszy,
Jaką czerpałem tuż z Twego źródła,
Wzniosłem nad tłum się, co myśli płoszy,
I tam płynąłem, gdzieś Ty mnie zawiodła;
Tam wśród niezwiędłych kwiatów idei
Z czystego ssałem rosę kielicha,
By ją za perlę ważyć nadziei
I rzeźwić kwiat mój, kiedy usycha,
A z tak zroszonych liści wawrzynu
Dla mego ludu spleść wieniec czynu.

Bogarodzico! bowiem tej braci,
Co hold oddaje porannej zorzy
I zanim słońce dzienny dług splaci
Stroskanej głowy do snu nie złoży,
Chciałbym zamienić gorycz w słodycze,
Odjąć ten puhar od spiekłej wargi...
Lecz dziś ze smutkiem ogniwa liczę,
Którymi pragnę, pomny jej skargi,

Związać brać z bracią silnym łańcuchem,
By było jedno — ciałem i duchem!

Bogarodzico! Wleję w te czasze,
Co wśród grobowej chyliłm biesiady,
Płynu boskiego, a usta nasze
Wonnej obłudy nie skażą jady,
I gdy całunku brat nasz zapragnie
To nie zaszczepim w niego trucizny,
Gdyż przed miłością duma się nagnie!...
Och! plyn Twój boski i dawne blizny
Jako cudowne źródło w Betsajdzie
Zagoić zdolen — i kwiat lud znajdzie!...

Bogarodzico! jeśli mogiły,
Co się żalobnym ścieląc kobiercem
Niby całunem Polskę przykryły,
Rozpadlej braci nie wzruszą sercem,
To niech się gnieździ wśród naszych gumien
Robak, co wszystko zniszczy bez śladów,
A my niech padniem wobec tych trumien,
Co mieszczą prochy wielkich naddziadów,
Bowiem być lepiej torturą cmentarzy,
Niżli ssać miłość z trującej twarzy!

Bogarodzico! Ty czułaś żalność,
Kiedy lud własny zdradzał Ci Syna
A dzisiaj uczuć naszych niestałość
Znowu tę chwilę Ci przypomina!...
Ach! Gdy dziś błądzim po krętym szlaku
I z pychą klamiem idei Chrystusa,
To nam potrzeba jasnego znaku,

To nam potrzebna krynica czysta,
By wyjść z bezdroży na jasne błonie
I obmyć z pyłu wyniosłe skronie.

Bogarodzico! niech do nas tryśnie!
Z wiary w zbawienie taka krynica;
A jeśli dotąd ciernie nas ciśnie,
A jeśli dotąd marszczy nam lica
Jad nieufności i jad obludy,
Wtenczas niech z grobów ssiemy słodycze
Bratniej miłości, a zniesiem trudy
I zmartwychwstania prędzej dnie zliczę,
Gdyż mając równe serc naszych bicie
W szkielety nowe wlejemy życie!...

Bogarodzico! ja kocham Ciebie
Fanatycznego miłością szału,
Bo Ty na ziemi, bo Ty na niebie
Dla mnie, ach szczytem jest ideału.
A jeśli czasem myśl ma ulata
Nie na tych skrzydłach boskiego tchnienia,
Bacz że ja prochem, którym pomiata
Wicher rozpaczy, wicher zwątpienia;
I dziś tej prośbie mojego ducha
Nakłoń, o Matko łaskawa, ucha,
Amen.

SŁOWIAŃSKA PIEŚŃ

Słowianie my,
Słowianie myśmy wszyscy,
Wspólnemi lzy,
Krwia wspólną sobie bliscy!

Nad nami kat
Śmiertelny stryżek wije,
W kajdanach brat
Trucizny puhar pije:

Na ciele znać
Żelaznej ślady pięści
A jego Mać
Wróg na trzy rozdarł części.

Nasza dziś rzecz
W niej życia skrę zapalić,
Trującą ciecz
Od bratnich ust oddalić.

DO RUSAŁKI

O Rusałko! wychyl głowę
Z namogilnej twojej cieni
I daj gęśl mi Bojanowę,
Strojną w jasny zwój promieni,
A miłości skrę zapalę
I rozczulę i rozżalę
Wszechsłowiańską brać!

Wróg grobowy pył nam prószy
I uraga naszej wierze,
A nam dziwno jakoś w duszy
I nie ufno i nie szczerze
I w bezmyślnej swojej dumie
Brat czy nie chce czy nie umie
Kwiatu idei siać!

PRZECHADZKA NAD GOPŁEM

29 marca 1880 r.

O jakie cudne dzisiaj to rano!
Noc już pierzchnęła, a tam rozsiano
Wraz rubinowe perły na wschodzie,
Byś większe hołdy oddał przyrodzie.
Ona dziś mroźną dłonią rozdziela
Śnieżne całuny na wonne ziela
Och i wiosnianą radość ci skłuci,
A jutro znowu ze snu ocuci
Zamglone niebo, zamarłą ziemię
I znowu zdejmie z piersi twej brzemię,
Które ci wylew pieśni tłumilo!
Twórcza przyrodo! z jakąż to siłą
Pragnąłbym wdzięki twoje opieścić,
I tak mą wiosnę — me życie prześnić!...

O jakie cudne dzisiaj to rano!
Patrzcie z rubinów siatkę utkaną
Przecina słońca promień złocisty
I blask przelewa w ten eter czysty!
Blaskiem już rozwiął sine mgieł duchy,
Blaskiem roztopił szronu okrucy —
Aniołów wiosny nic dziś nie spłoszy,
Toż więc zażyjmy razem rozkoszy,
Razem wychylmy czasę naktaru,
Jaką nam poda wśród tego czaru
Postać urokiem pieśni owianą,
Pani goplańskiej fali — Goplana.
I wnet w tę stronę brać nasza bieży
I wnet się zjawia skroń „Myszej-Wieży“
Na przeźroczystej niebios przestrzeni,

A przy jej łonie w olbrzymiej cieni —
Spoczęły dawne ojców cmentarze —
Niby w bojaźni, bo dłonie wraże
I namogilną ziemię naruszają
I proch ten święty w twarz nam rozpruszą!
Niech-że kalają tak nasze groby,
A my odziani kirem żałoby,
Będziemy czaszką bawić się trupią
I wciąż patrząc, jak ci nas łupią.
Będziemy ssać z niej posilne płyny,
By myśli nasze zamienić w czyny.
Niechże kalają!... a w polskiej pieśni
Znajdą dziś tyle jadu rówieśni,
Że gdy uchwycą gęśł dłonią rączą,
Wnet z niej trucizny wrogom nasączą!...

I szliśmy brzegiem blisko a blisko,
A tuż przed nami sterczy grodzisko:
Kurhan niezwykle, kopiec wyniosły,
Zewsząd cmentarną trawą porośły,
A w krąg objęty ramieniem wody!
Nas on nie wabi wdziękiem urody,
Bo dziś mu zwiędły polnych ziół wieńce
I dzikich róż mu zgasły rumieńce,
A nowa szata jeszcze nie zsnuta,
Bo wiosna, ledwie z więzów wyzuta,
Nie zaczerpnęła tyle och! siły,
Aby odmłodzić stare mogiły!...
Więc nas urodą swoją nie nęci,
A jednak było w naszej pamięci,
Wypocząć sobie na jego łonie:
Myśl przebiegała przeszłości błonie,

I wnet spostrzegło duchowe oko
 Gdzieś poza mglistą, mroczną powłoką
 Żywe obrazy. Jakoweś tłumy
 Przy Bojanowej odgłosie dumy
 Niosą wśród grodziszcz ofiarne znicze
 I stroją w kwiecie bóstwa oblicze.
 Zewsząd brzmi rażno: „Łado och! Łado!
 Ty nas dziś chronisz przed tą zagładą,
 Przed tymi wieży, w jakie lustrzany
 Zimą ujęty pałac Goplany,
 Dłonie twe świeże wianki rozpięły,
 Gdzie prochy ojców w urnach spoczęły!“...

Więc to grodziszczce! więc przodki stare
 Czynili tutaj bogom ofiarę
 I prochy przodków w urnach grzebali!
 My z namaszczeniem będziem patrzali
 Na te omszałe naczyni ostatki
 I będziem łzami wilżyć te kwiatki,
 Które więdną wśród dawnych zgliszczy!
 Czy nam kto wtenczas skarby te zniszczy?
 Czy nam kto wtenczas rzec się ośmieli,
 Że już w bezdennej giniem topieli
 I że nam wszystko poświęcić trzeba,
 Aby uzyskać chociaż kęs chleba?...
 My nie poświęcimy uczuć dla zysku,
 Lecz przy miłości świętem ognisku
 Rozgrzejem dusze i serca nasze,
 I do biodr swoich każdy przypasze
 Miecz taki silny a taki płytki,
 Że obronimy nasze zabytki!

I tak^o chcieliśmy na grobu szczycie
 Wziąć za wyrocznię ubiegłe życie
 I spytać urn się, czy nam klucz boży
 Żelaznych kajdan zamki otworzy...
 Tymczasem niebios modre namioty
 Wnet się zmieniły w baldachim złoty,
 Oslaniający słońca łożnicę,
 A na powierzchnię wód topielice
 Z liljowego wstały powstania,
 Kryjąc się w srebrne fałdy ubrania,
 Wabiącej pieśni zanuć zwrotki,
 Aż oczarują umysł nasz wiotki.

Wzięliśmy czółno, by wszyscy razem
 Za tym uroczym płynąć obrazem:
 Nie trzeba było pracować wiosły,
 Bo lekką łódkę Goplanki niosły,
 A tak sunęły ją po kryształach,
 Że ledwie zlekka trącone fale
 Och! koralowej nie tknęły tkanki:
 Niebiosy miały lice kochanki,
 Co za wybranym tęsknić młodzieńcem,
 Płonie czystego żaru rumieńcem,
 A chcąc zachwycić swemi go wdzięki,
 Zrywa ku temu na łące miękkiej
 Wonne fiołki, białe lilije
 I już weselne zwoje z nich wije.
 Wiośnianych uczuć wraz ją iskierka
 Do zdrojowego wiedzie lusterka,
 A te wstydliwych licu korale
 Nawet nie gasną w zimnych kryształach,
 A ten ognisty zapał żrenicy

Nawet nie stygnie w mroźnej krynicy!
W Gopła zwierciadle gładkiem, szerokiem,
Niebo gwiazdzistym patrzyło zwrokiem,
A spiąwszy namiot nad grobem słońca,
Ronilo krople pereł bez końca,
I ognia, którym chciało nas złudzić,
Nie mogło zimno wody ostudzić!

Staryśmy kopiec już pożegnali
I popłynęli dalej a dalej,
Przyroda wonną wabi nas ciszą
I łódź Goplanki z lekka kołyszą,
A gdzieś na świeżo zerwanej błoni
Dumka pasterki za wiosną goni!
Błogo nam — lubo! wśród tego tchnienia
Zapomnieć można wszystkie cierpienia!
Lecz kiedy duch nasz tonie w uroku,
Tośmy ujrzeli w szarym obłoku
Znów dawien kurhan i nasze serce
Znów się tarzało w strasznej rozterce...
Och! kiedy nic nas więcej nie pieści,
Może zanucim wskutek boleści
„Boże coś Polskę!“ — jednym oddechem.
I nam wtórzyły brzegi swem echem,
I wnet się w eter pieśń rozplynęła,
Ale czy-ż władzę świata przejęła?!...

PRZYJŚCIE WIOSNY FANTAZJA

ANIOŁ ZIMY:

Chcieli spoczywać wiecznie pod namiotem,
Jaki im wiosna z jedwabiu rozpięła,
Chcieli kołysać ducha w czólnie złotem:
Ich łódź po gładkiem zwierciadle płynęła,
A ci nie znając, co wichry i burze,
Pełne podziwu dla rannych koralu,
Rączy się kładli na jasnym wód łożu
I z ust dziewiczych rozkosze czerpali.
Jam na to patrzył z chmurnego siedliska,
A jedno śnieżnych piór moich wzruszenie
Z eteru mroźne kropelki wyciska
I wraz gorące wystudza marzenie...
Jam na to patrzył, a świeże błękity,
Co ich wabiły młodzieńczym uśmiechem,
Przyćmiłem cieniem lodowatej płyty
I wnet zmroziłem świat jednym oddechem.

ANIOŁ WIOSNY:

Nie lódz się, śmierci aniele,
Że i dziś tę dzierżysz władzę,
Dziś ja w przyrody kościele
Nowe święto zaprowadzę,
Dziś ja nową stworzę dobę —
Jaka była przeszłej wiosny:
Z uspionych zdejmę żalobę

I wleję płyn im miłosny,
A ten nektar — te słodyczne
Wystygłe piersi rozgrzeją,
Ducha nakarmią nadzieją
I wskrzeszą życie dziewicze!...

PIEŚŃ

„Wstańcie uśpieni berłem niszczyciela,
Ożywcie w sercach młodzieńczą nadzieję,
Bo oto przyszła godzina wesela,
Bo oto szczęście znów do was się śmieje!

Cudowną szatę uprzedła mi Matka,
Och! cudowniejszej nikt w świecie nie stworzy.
Jedwab nań brała z liljowego kwiatka,
A nici snuła z włosów złotej zorzy.

Dzisiaj rozpinam kraj tego odzienia
I nad wybladłym unoszę się światem,
Lice mu grzeję iskierką płomienia,
Skronie mu wieńczy liljowym kwiatem!

Przebudzeni
Z mogił cieni
Radośnie powstałi,
W zwój dla skroni
Z wonnej błoni
Fiołki zrywali.

Wszyscy prawie
Na murawie
Zielonej zasiedli
I nie smutni
Wraz po lutni
Palcami powiedli.

Dźwięki piosnki
Na pierwiosnki
Jak rosa spłynęły,
Za ich tchnieniem
Z zórz promieniem
Ku niebu się pięły!

Anioł mroźny
Już nie groźny
Już berła nie dzierży,
Zwyciężony,
Zaśnieżony
Gdzieś bezwładnie leży!“

Dwa wiersze z albumu Dra T. Ulatowskiego:

ELEGJA

I

O piewco młody! spojrzysz okiem ducha
Na twej przeszłości starosławne chwile,
Dawnej Bojana pieśni nakłoń ucha:
Dumaż to jego — przy wspomnień mogile
Z dźwięków słowiańskiej gęśli odśpiewana
Wskrzesi te przeszłość, bo zaczarowana!

Natchniony duchem wieszczego guślarza,
Idź, siądź przy zgnilej twoich ojców trumnie.
Dumaj na grobach wielkiego cmentarza
I powiedź dłonią po przeszłości strunie:
A jako prorok pośród martwych ludzi,
Gęśl czarodziejska ze snu ich przebudzi.

Tęskno och, smutno! Gdzie spojrzeć mogiła,
A przy nich wieńcem stoi brać rodzona.
Skarży się pieśnią na los swój zawily,
A śród żalosnej skargi prawie kona...
Daremne żale! wicher je rozwieje,
A człowiek podły — człowiek się rozśmiej.

Słuchaj! tam wieśniak dawne orząc zgłiszczę,
Na smutną nutę tworzę jakieś pieśni!
Lemiesz się zarył w praojców grodziszczę,
I on z odwiecznej otarł urnę pleśni,
Zajrzał a widząc proch i ludzkie kości,
Podumał ze łzą nad grobem Przeszłości...

Dziwne to dzieje... rok po roku schodzi
I ziemie darzy świeżemi kurhany,
Skargi ot, grono wszechbraci zawodzi
A przyszłość nowe dłań bije kajdany:
Było szczęśliwiej, lecz jak obraz we śnie
Dni te minęły zawcześniej, zawcześniej...

O piewco młody, spojrzysz okiem ducha
Na twej Przeszłości starodawne chwile.
Dawnej Bojana pieśni nakłoń ucha:
Dumaż to jego — przy wspomnień mogile.

Z dźwiękiem słowiańskiej gęśli odśpiewana
Wskrzesi tę przeszłość, bo zaczarowana.

II

W wiosennej chwili,
Gdy słowik kwili
Rzewną piosenkę;
w letowej porze
Gdy wabi zboże
Pracowną rękę;

W tęsknej jesieni,
Kiedy czas mieni
Różane kwiecie;
W zimowej dobie
Na śnieżnym grobie,
Wspomnij o biednym pocie.

KOŁYSANKA

Gdzieś za górą, gdzieś za rzeką
Jest tam pałac kryształowy,
Mój Boże!

Tam złocistą wciąż powieką
Patrzy słońce, miesiąc płowy
I zorze.

Tam jest mleka, tam jest miodu.
I pszennego zawsze chleba
Do zbytu —

Nie potrzeba umrzeć z głodu
I obawiać się nie trzeba
Przekwitu.

Tam wciąż wiosna; wciąż kielkuja
Świeże lilje i fiołki
I bratki,

A do stołu usługują
Piękne panie i aniolki,
Jak kwiatki.

Tam nie biją żadne pany,
Tam dzień cały nikt nie służy
Nikomu:

Cyt mój luby! mój kochany,
Zmróz oczęta, śnij o róży
W tym domu...

Z albumu i papierów Walerji Kryszewskiej

MIŁOŚĆ

Co nam umniectwo, co nam zbladłe karty,
Opiewające znikłe pokolenia,
Jeśli z ich głosek tęsknotą duch party
Nie umie czerpać świeżego natchnienia.

My dziś strażnicy — stojimy u warty
Nadziemskich myśli jasnego strumienia,
W nas bowiem boski pierwiastek nie starty;
Co nam to wszystko bez twego promienia,

Śłodka miłości!... O rokoszny kwiecie,
Kiedy nam piersi twój wieniec oplecie,
Woń jego nową wnet siłę rozbudzi,

Prochy nieczyste ze serca wnet zmiecie,
I zapal wieszczy już się nie wystudzi,
Lecz z dawnej pleśni wleje życie w ludzi!...

SONET

Długom się wahał wypowiedzieć słowo,
Które z nas czyni uczestników wiosny,
Albowiem wspomnień mych odgłos żaloszny
Chciał mi to szczęście przytłumić na nowo.

Dzisiaj rozdieram tę kartę już płową,
Gdzie był skreślony bieg życia miłosny,
Co nie posiadał godziny radosnej,
Jeno mi czerniał posępną osnową.

Dzisiaj rozdieram tę kartę, a w niebie,
Którym tak wyśnił i w kwiaty uwieńczył,
Patrzę och! patrzę z rokoszą na Ciebie:

Bodajbym wiecznie tak marzył przesłodko,
Bodajby duch twój mi wiecznie się wdzięczył
I szczęścia różę ustalił mi wiotką...

RÓŻE

Ach! gdy ranko — lube ranko
Opromieniać pocznie wschód
Blaskiem jasnych zórz,
Wiesz uroczą ma kochanko,
Jak nad brzegiem srebrnych wód
Płoną lice róż!

Wiesz, jak wdzięczą się niebiosom,
Śród zielonych szerząc pól
Tę dziewiczą woń,
Jak się myją ranną rosą,
Kiedy nocy zbiegł im król,
Jak wzdychają doń.

Czemuż luba! w mojem życiu
Wiosennego braknie tchu,
Jaki ma ten kwiat,
Czemuż w młodych dni rozwiciu
Roskosznego zdroj mi snu
Kala troski jad?

Och! ty dla mnie jesteś różą,
Ale strząsasz krople łez,
Które płyną mi,
Mówisz: „twe się myśli duszą,
Bo dalekić jeszcze kres
Nieszczęśliwych dni!“...

SONET

Ledwie prąść zacznę jedwabną tkaninę,
By w niej uwięzić złotego motylka,
Już jakaś ostra prze cina ją szpilka
I tak mi niszczy rokoszy godzinę.

Ledwie że skrzydła do lotu rozwinę,
By z ziemi kwietniej uzbierać róż kilka,
Już z oczu znika słoneczna mi chwilka
I znowu patrzę na pustą krajinę...

Lepiej mi było w lat moich zaraniu,
Gdym jeszcze nie znał, co walka, co życie,
Bez trosk spoczywać na wonnem posłaniu.

Lecz i dziś luba! te smutne wyrazy,
Co na przeznaczeń czernieją mi płycie,
Mogłaby zetrzeć twa miłość bez skazy!...

SONET

Czemuż mnie wzrok twój codziennie tak karze,
Gdy innych nęci słodkimi uśmiechy,
Chociaż ja lilij przeczyste kielichy
Składam o luba! codziennie Ci w darze?

Czyż zanim jeszcze o szczęściu zamarzę,
Pragniesz, by smutek ponury i cichy
Och! w całunowe przystroił mnie szczy,
Kaząc mi kończyć, jak kończą, łazarze?...

Kochanko moja! nim wiosna przeminie,
Co świat czaruje swojemi dziś wdzięki,
Niechże i dla mnie słoneczko zaświeci,

Niech na skinienie twych oczu przypłynie
Anioł rokoszy i drgnieniem swej ręki
W duszy mej nowe zapęły roznieci!...

PO ROKU

(z motywów ludowych)

U jeziora, u tej wody
W której gwiazdki patrzą na się,
Stań sobie Jaśko młody
I rękoma objął Kasię.

Jasna tarcza księżycowa
Gdzieś na niebie srebrem błyska,
On jej szepce słodkie słowa
I do piersi ją przyciska.

— Kasiu moja! złoto moje!
Jak ten miesiąc dzisiaj świeci,
Jak te czyste płyną zdroje
Oplecione wiankiem kwieci,

Jak te gwiazdki pośród fali
Niezmąconej błyszczą na dnie,
Moja miłość, co się pali,
Nie przygaśnie, nie upadnie! "...

— „Jaśko drogi, Jaśko miły,
Jak słoneczko co dzień wschodzi,
Jak prastare te mogiły
Wyglądają wiosną młodziej;

Jako z góry, ze spadzistej
W to jezioro woda sączy,
Moja miłość kwiat wieczysty,
Nawet grób nas nie rozłączy! "...

— „Kasiu moja — złoto moje!
Rzuć na wodę świeże kwiecie,
Czy będziemy tu oboje
Po tej wiosnie, po tem lecie? "

Nazbierała macierzanek
I piosenkę zanuciła,
I uplotła drobny wianek
I na wodę go rzuciła.

Jaśko śledził go oczyma,
Łzy upadły mu z powieki,
Jeszcze czulej Kasię trzymał —
„Więc na wieki — więc na wieki! "...

Miesiąc mijał za miesiącem,
Przyszła wiosna — przyszło lato,
Biegnie Kasia z sercem drżącym
Nad jezioro po za chatą.

Na błękitnem, wielkiem niebie
Księżyc błyszczący srebrnym okiem

I dwie gwiazdki koło siebie
Znowu patrzą, jak przed rokiem.

Och! i czarne tuż mogiły,
Lecz w ich gronie świeża jedna,
Kasi liczko łza zrosiła,
Zapłakała z żalu biedna.

I urwała macierzanek
Jak przed rokiem o tej dobie,
I uplotła drobny wianek
I złożyła go na grobie.

Ramionami nań zawisła,
Łzy przestały ciec z powieki,
Jeszcze czulej grobik ścisła —
Może ścisła go na wieki?...

RÓŻYCZKO MOJA — RÓŻYCZKO

Różyczko moja — różyczko —
Co się pojiłaś wśród wiosny
 Perłami ros —
Takie bogate masz liczko
W rumieniec czysty, miłosny,
 Tak miękki włos —
Różyczko moja — różyczko!

Ty w strumień jasny, niebieski
Zawracasz oczy swe skrycie
 I ronisz łzę —
On — patrzaj, — wszystkie te łezki

W młodzieńczym chowa błękiecie,
 Bo kocha Cię
Ten strumień jasny, niebieski...

Nim jesień szczęście wypłoszy
I czarną chmurą zacieni
 Srebrzystą toń,
Kropelki słodkiej rokoszy,
Porannych pełne promieni
 Z ust Twoich roń
Nim jesień szczęście wypłoszy.

Różyczko moja, — różyczko —
Gdybyć ten strumień na wieki
 Mógł z Tobą żyć —
Patrzeć w rumiane Ci liczko
I bez lodowej powieki
 Gorąco śnić
O Tobie moja różyczko! —

REZYGNACJA

Serce — o serce! czemu tak bijesz,
 Czemużes pełne tych zniczy,
Jakaś przedziwną tęsknotę kryjesz,
Nadzieję tuszysz, nadzieją żyjesz,
 Anielskiej pragniesz słodczy. —

Daremne bicie — próżne życzenie!
 Pogódź się z losy swojemi,
Złociste blaski — złote strumienia

Jesienny, mgławcy obłok zacienia,
Aniołów nie masz na ziemi...

Za lat minionych — za lat dziecinnych
Było ci lepiej, inaczej,
Wobec pożądań czystych niewinnych,
Nie znałś myśli i chęci innych —
Nie znałś czarnej rozpaczyle...

Potem spostrzegłś obraz precudny,
Lecz Cię ten obraz okłamał,
I dziś miast chwili rajskeję ułudnej,
Trzeba wieść żywot gorzki i trudny —
Szczęścia się kwiatek przełamał.

Serce — o serce! nie bij więc zatem —
Czy chcesz przyspieszyć mogilę?
Nie płacz — nie tęsknij za owym kwiatem!
Och! i przed ludźmi i przede światem
Przemień w lodową się bryłę!...

ZA SZCZĘŚCIA DNI...

Ze szczęścia dni
Pozostał dym,
Z mych róż zostały pleśnie —
Ach! toż więc mi
Na świecie tym
Tak łzawo i boleśnie!

Dziewiczy zwój
Niewinnych lat

Stargano mi za wcześnie,
Za prędko mój
Powiędnął kwiat,
Toż więc mi tak boleśnie!

Znikł błogi czas
I słodki sen:
O słodkom, marzył we śnie!
Dziś na mnie gład
Ród rzuca ten:
Ach! łzawo mi, boleśnie!...

Twey nuty dźwięk
Rozerwie mnie,
Zachwycą mnie twe pieśnie:
Uleci jęk
I w te mi dnie
Nie będzie tak boleśnie!...

TAKIE MI SŁAŁA UŚMIECHY...

Takie mi słała uśmiechy,
Jakby mnie zwabić pragnęła,
Jam był spokojny i cichy,
Iż żadna chęć mnie nie wzięła
Chociażby jednem spojrzeniem
Pogodzić z ję się marzeniem!

Codziennie widzimy się razem
Przy jednym siedzimy stole,
Mnie równać możnaby z gładem,

A ona?... ha! ją to kole,
Udaje — innych wciąż pieści,
By zatrzeć ślady boleści!

Daremnie! od owej chwili,
Jak pierwsza moja wybrana
Użyła zatrutej szpilki,
By wieczną była ta rana,
Nie wierzę, na nią, wspomniawszy
Kobietom ni ich wzdychaniom.

DOLEJCIE WINA DO SZKLANEK

Dolejcie wino do szklanek
Podnieście w górę kielichy,
Przy łonie boskich kochanek
Zawitał dla nas poranek
Pogodny, jasny i cichy!...

Napróżno zima tłumila
Zachwyty w piersiach wiosenne:
Młodzieńcza żywi ją siła,
Daleko czarna mogiła,
Daleko płyty kamienne!

Cóż boleść, smutki i zale,
Gdy rośnie kwiatek nadziei!
Dziś cierpim, jutro nas fale
Po jasnym popchną kryształe
Bez śnieżnej, bladój zawieji!...

Zanuśmy silnie a żywo,
Pochodnią życie zabłyśnij!
Nim spalisz marzeń przedziwo,
Zużytkuj każdy to żniwo,
Kochankę każdy przyciśnij!

Cóż, starce, dzisiaj tak prawić
O ciszy, statku nam w uszy?
Spokojna, gnuśna ta gawiedź
Nie zdolna wcale zadławić
Miłosnych iskier w mój duszy!...

Już do dna spełniam mą czarę,
Dolejcie, drugą wychyle!
We własną siłę mam wiarę,
Przesady depcę dziś stare
I wieszczę błogą wam wam chwilę!...

FRAGMENT

Pełen rozpacz, stargany boleścią,
Z niczego śmierci znów wzdycham ku Tobie,
Bo ty mi dałeś naturę niewieścią,
Która nie umie znieść czarną żałobę!...
Więc gdy mi w sercu zatapia swe kleszcze
Ten świat, gdy ciasno mi w jego przestworze,
Kłękam raz jeszcze i błagam raz jeszcze:
Zlituj się Boże!...

Tyś mnie w powiewne przystrojił odzienie
Jakiemi zwykłeś przystrajać swe duchy
I tak w grzechu rzuciłeś mnie cienie

I żelaznemi tak skułeś łańcuchy,
Że moje oko zbielałe, zamglone
Nie wie, gdzie świecą złociste twe zorze!
Przetoż pokazać racz wschodnią mi stronę,
Błagam Cię Boże!...

Żyłem przeszłością, bom sądził, że trumny,
Które tam leżą wśród czarnej mogiły,
Jak marmurowe nie gniją kolumny,
I mieszczą w sobie zadatek tej siły,
Któraby zgmiotła ojczyzny mój wrogi;
Lecz dzisiaj czując, że życia nie stworzę
W martwych szkieletach, więc chcę innej drogi:
Wskaż mi ją Boże!...

Widzę przed sobą ten nowych rój ludzi,
Lecz na ich twarzach młodości ni śladu.
Nie wiem, czy wiosna chęć czynu w nich wzbudzi,
Nie wiem, czy płomień zapału w nich wleje,
By nim rozerwać..... mogła na wiek.....
Tę niewolnicy rozerwać obrożę

Tak dziś o własnej zwątpiłem już braci

Ta nasza dola, to pręgierz, gdy wszyscy
Stojim niesłusznie shańbieni, jak...

SYNOWIE LUDU

Synowie ludu! o wam to przystało
Podnieść wielkimi się z nędzy i błota
I tam, gdzie ducha i życia za mało,
Wzniecić pochodnię jaśniejszą od złota!
Synowie ludu! zatknijcie sztandary,
Nowych porywów i nowych zachwyków,
Któreby wolne od złudy i mary,
Wzbiły nas wszystkich do szczęścia błękitów...

Z mieczem słonecznych, ognistych promieni,
Co w łonie świata ponurém i próżném
Umią zapłodnić wybawcę z tych cieni,
Idźcie w okryciu pielgrzymiem, podróżném
Między wybladłe i troską zorane
Lice swych braci i twarde ogniwa
Zmieńcie na suknie jedwabiem dzierzgane
I na weselne, złociste przędzywa.

Dość już tych cierpień i dość tych upodleń,
Trzeba raz wyzwąć ciemieźce do boju,
A nie w czczym dymie pokory i modleń
Szukać zbawienia i szukać spokoju!
Dość tego życia! Nam walczyć potrzeba,
Choćbyśmy mieli się tarzać w popiele
Ojcowskich grobów, bo głodnym kęs chleba
Droższy, niż tamto pośmiertne wesele!...

Wielki Jehowo! ty dłonią bożyszczą
Okrywasz jednych w szkarłat i wieńce
Królewskich godeł, a drudzy na zgłiszczą,

Strzech swoich patrzą, wygnani i jeńce
I przyodziani w cmentarne całuny,
Karmią się strawą przegniłą, niezdrową —
Nie dziw się zatem, że kładąc się w truny
I im złorzeczą, i tobie, Jehowo!...

Synowie ludu! nim blade źrenice,
Braci się waszój już zamkną na zawsze,
Wysączcie z serca gorącą krynicę
W pierś konających; i choćby wam krwawsze
Trza było jeszcze wieść życie, oddechu
Dla nich nie skąpcie, a w blasku i sile
Powstaną nowój, i w rajskim uśmiechu
Wskrzeszą tych, którzy już leżą w mogile...

Mogił dziś pełno! ci wszyscy, co tarczą
Byli wolności i prawdy, gdy gaśnie,
Ci, którzy patrząc, jak ludem frymarczą,
Przeciw despotom walczyli zapaśnię,
Leżą w mogiłach!... Nad nimi pręgierze
Zdają się szydzić katowskim obliczem,
Z krzyżem Chrystusa zawarłszy przymierze,
Co każe kończyć ludzkości pod biczem.

O biedna — biedna ludzkości! dla Ciebie
Zda się, że wszystko już dzisiaj zamarło,
Że ci pogasły już gwiazdy na niebie,
Że tobie słońce swe światło zatarło!
Niewolniczymi przykuta łańcuchy
Do twardych głazów, znękana i blada
Patrzysz, jak nikną zbawienia ci duchy,
Patrzysz, jak sęp ci twe serce wyjada!...

Więc czas już, czas już, tych którzy na tronie
Siedząc złocistym, skinieniem swój ręki
Pchają cię w przepaść i duszą w twém łonie
Iskry wolności, i kajdan i męki
Nie szczędząc synom ci wiernym, wyzwiemy
W krwawe zapasy, a na ich ruinie
O dzieci ludu! potężny wzniesiemy
Kościół wolności, co nigdy nie zginie!...

POŻEGNANIE

(z motywów ludowych)

I

Siwy mój, siwy mój!
Poniesiesz mnie w krwawy bój:
Nie będziemy orać ziemi,
Choć się zielsko w nią zapleni
Siwy mój, siwy mój!
Jeno pójdziem w krwawy bój.

II.

W ziemi téj, w ziemi téj
Tak niemieckie wyją psy,
Że zgłodniałym rzucić trzeba
Och! ostatnią skibę chleba,
W ziemi téj, w ziemi téj
Tak niemieckie wyją psy.

III.

Ale nim — ale nim
Zobaczmy prochu dym,

Pospieszmy we świtanie
Na ostatnie pożegnanie
Jeszcze nim — jeszcze nim
Zobaczmy prochu dym.

IV.

Oto już — oto już
Rozlały się blaski zórz,
Nieza długo, a nad nami
Błyśnie słońce promieniami
Kiedy już — kiedy już
Rozlały się blaski zórz.

V.

Wielki czas — wielki czas
Za tę górę — za ten las,
Gdzie srebrzysta płynie rzeka,
Tam Kasieńka na mnie czeka!
Wielki czas — wielki czas
Ku tej rzece, za ten las...

VI.

Siwy mój — siwy mój!
Oto chata — oto źródło,
Oto gręda macierzanki
I bielutka twarz kochanki —
Siwy mój — siwy mój!
Oto chata — oto źródło!

VII.

— „Witaj mi — witaj mi,
Skróć tęsknotę moich dni,

Bo wiedz luby! że bez ciebie
Gasną gwiazdy mi na niebie.

Witaj mi — witaj mi,
Skróć tęsknotę moich dni...

VIII.

Codzień w łzach — codzień w łzach,
Bo w okropnych czarnych snach,
Zdało mi się, że cię ku mnie
Umarłego wiozą, w trumnie,
Więc też w łzach — codzień w łzach,
Patrząc na to w czarnych snach!...

IX.

— „Troskę rzuć — troskę rzuć,
Och! i bliżej do mnie chódź,
Niech do piersi cię przytulę,
Nim rozszarpia mi ją kule,
Troskę rzuć, troskę rzuć,
Och! i bliżej do mnie chódź.

X.

Jeszcze raz — jeszcze raz
Miłość mą bez plam i skaz
Do różanych ust przesącę
I na wieki z tobą złączę
Jeszcze raz — jeszcze raz
Miłość mą bez plam i skaz!

XI.

Siwy mój — siwy mój
Zaniesie mnie w krwawy bój,

Może Kasiu! tam w oddali
Miecz mnie wroga w grób powali,
Gdy koń mój — siwy mój
Zaniesie mnie w krwawy bój!“

XII.

— „Wtenczas świat — wtenczas świat
Cały dla mnie zwiądł i zbladł,
Już mnie wiosna nie rozpieści,
Umrę z żalu i boleści —
Wtenczas świat — wtenczas świat
Cały dla mnie zwiądł i zbladł!“

XIII.

Przecież nie! przecież nie!
Wrócą jeszcze słodkie dnie:
Chociaż chmury są nad ziemią,
To w nich gwiazdki słodkie drzemią —
Przecież nie! przecież nie!
Wrócą jeszcze słodkie dnie!...

XIV.

Ciebie Bóg — ciebie Bóg,
Poprowadzi wśród twych dróg:
I choć w gęstej kul powodzi,
W dwojga piersi nie ugodzi!...
Ciebie Bóg — ciebie Bóg
Poprowadzi wśród twych dróg.

XV.

A gdy znów — a gdy znów
Wrócisz, Jaśku! do dom zdrów,

To z tych świeżych macierzanek
Upleciemy ślubny wianek,
Kiedy znów — kiedy znów
Wrócisz, Jaśku do dom zdrów!“...

XVI.

Siwy mój — siwy mój!
Czas już, czas już w krwawy bój!
Prędzej skończym, prędzej wrócim
I Kasieńki nie zasmucim —
Siwy mój — siwy mój!
Czas już, czas już w krwawy bój!...

U STUDNI

I.

Widziałem ci Jasineczka
Mojego,
Kiedy pojąć był konika
Siwego.
Widziałam ci go, widziałam
U studni,
Gdzie to woda się tak burzy
I dudni.

II.

— „A patrz ino, Jasineczku!
Patrz ino,
Jak te wały się podnoszą
I płyną!
Nie widać tu ani nieba

Ni słońca,
Jeno woda zapieniona
I wrząca.

III.
Moja pierś się tak podnosi
I wdyma,
Kiedy ciebie, mój jedyny
Tu niéma.
Codzień tęsknię, codzień patrzę
Z okienka,
Czy nie ujrzę koło chaty
Jasieńka.

IV.
Oj i nieraz myślę w ławěj
Boleści,
Może on się już tam z inną
Gdzie pieści,
Może on się już zaleca
Do inněj,
Podeptawszy mój wianeczek
Niewinny! "...

V.
— „A przestańże, moja złota,
Się smucić,
Bo i jakże mógłbym ciebie
Porzucić,
Bo i jakże mógłbym zostać
Niestaly,

Gdy bez ciebie jest mi niczem
Świat cały!

VI.
O nie darmoś Kasineczko —
O miła!
Swój wianeczek świeżuteńki
Zgubiła.
Jak obrazek mam go zawsze
Przy sobie,
I rozstanę z nim się chyba
Aż w grobie

VII.
Już po lecie, więc na żyto
Wciąż orzę,
Oj! i siejąc myślę sobie:
Mój Boże!
Skoro żyto się na roli
Wykłosi,
Ojciec kumów na wesele
Zaprosi! "...

VIII.
Oto słowa Jasineczka
Mojego,
Kiedy pojąć był konika
Siwego.
Jakie szczęście! jaki spokój!...
Więc w studni
Niech się woda, jak chce, burzy
I dudni!...

WAŻNIEJSZE ODMIANY TEKSTU

I OTO ZNOWU WRÓCIŁAŚ

Strofa VIII, wiersz 6, w zbiorze *Poezje* z r. 1889 ustęp ten brzmiał:

W dziwnym poszepcie wierzby, w rolnika
Rannej modlitwie i rozgrzanej pysze
Jeziór swobodnych, których dźwięk przenika

Strofa IX, wiersz 1. W zbiorze *Poezje* z r. 1889, ustęp ten brzmiał:

W gęganiu gęsi, w derkaniu derkaczy
I w ryku bydła i w skrzypie żurawi
I w rzeniu konia, ku chłopców rozpaczy
Mknącego w pole, i w starcu, co praw

Druga redakcja wiersza NIENAWIDZĘ zamieszczona w I-em zbiorowym wydaniu zawiera odmienną pierwszą strofę:

Nienawidzę ja ludzi, co w sobie
Nie mają ciepła.
Dusza im w lód się zakrzepła
Bezplenny.
I oto leżą, jak w grobie
Umarłych kości
Zdaleka od słońca i światłości
Promiennej.

Druga strofa nie uległa zmianie. Wbrew ogólnej zasadzie tym razem postąpiliśmy odwrotnie: tekst pochodzący ze zbioru *Poezje* r. 1889 jako brzmiący mocniej i bezpośrednio uznaliśmy za podstawowy.

HEJ, ODŁOGIEM LEŻY NASZA ROLA

Strofa 6, wiersz 3, w wyd. *Poezje* z 1889 ustęp ten brzmiał
Plon nasz zgarnie dla siebie, jak złodziej!
Nas zabije ta smutku beczynność,
Gdy czas płynie i żniwo nadchodzi.

5) EXCELSIOR, strofa V, wiersz 1. W wyd. *Poezje* z r. 1889 tekst brzmi:

A jednak w górę! głowy w górę!
Czas się wygrzebać z trosk koryta,
Duch oskrzydłony wznieść nad chmurę,

6) WIĘC CÓŻ. Tytuł pierwotny tego wiersza, drukowanego najprzód w *Przeglądzie Tygodniowym*, Nr. 40, Warszawa, r. 1885 brzmiał: PANOM I LOKAJOM LITERACKIM. Nie tylko tytuł lecz i wiersz był ostrzejszy w tonie, kończył się mianowicie w pierwodrukustrofami, które tu poniżej podajemy, charakteryzując one bowiem dobrze zadzierzystą i rewolucyjną postawę młodego poety:

Więc do oficyn, między swe lokaje
Schodzicie słabi i z chłopskich bękartów
Przednią dla siebie hodujecie zgraję —
Wytresowanych jaźwców, sforę chartów,
Że w zamian mięsa i chleba kawała

I że nikczemniej wolności im staje
Obwąchać ciepłe waszych kokot ciała
Przyszcze kiwując: chwała nocy! chwała!

Br... gardzę nimi — wy czyż nie gardzicie?
Może, gdy wielki duch dziejowej woli,
Na praw niezmiennych oparty granicie,
Za jednym „czas już“ waszą skroń okoli
Zabijających ramion zimnym splotem
Wy na tę smutną elegję: kończycie!
Nawet niezdolni z własnej dumy złotem
Zegnać swą dobę — padać pod tym grotem.

Więc cóż?... te szepty... słyszę klątwę waszą
Jacyś najmici, pozując na wieszcze
Lecz wypasieni państwa tłustą paszą
W omdlewające popadają dreszcze...
Niech! Herostrata nie boję się znamion
I Chattertonów mnie losy nie straszą!
Wychowan w stajni, lecz służbą nie splamion
Po waszą rękę nie wyciągnę ramion.



POSŁOWIE I TOMU

Zbiór niniejszego tomu składa się z dwu części: zrąb pierwszej stanowi tomik „Poezycy”, wydanych w 1889 r. w „Bibliotece Mrówki”, na część drugą składają się pierwsze próby poetyckie z lat szkolnych. Dla zachowania w I-szej części tego tomu charakteru pierwszej książki Kasprowicza przedrukowano przedmowę Jeża (Miłkowskiego) i przyjęto w zasadniczych liniach jej strukturę i nazwy cyklów. Ze względów praktycznych poczyniono jednak pewne modyfikacje: Do wiersza „Chłopska dola”, zawartego już w tomiku „Mrówki”, dodano współczesne mu „W Chałupie”, „W ciszy wieczoru” i „Na targu” i pomieszczono je w oddzielnym cyklu, nadając mu nazwę „Obrazki z natury” gdyż pod tym tytułem drukował je poeta w „Przeglądzie Tygodniowym”. Cykl „Z padolu Walki” pomnożono dodawszy dwa wiersze: „Więc cóż” i „Odpowiedź. Pierwszy z nich podajemy w tej formie, w jakiej wszedł do wydania Bernackiego, podobnie jak i cały tekst pierwszej części niniejszego tomu, kilka strof ostrzejszych i brutalniejszych z tego wiersza podajemy w odmianach. „Odpowiedzi” nie chciał poeta umieścić nawet w wydaniu zbiorowym. Ostry bojowy ton tych wierszy jest tak charakterystyczny dla pierwszej fazy twórczości, że chcąc dać wyobrażenie o całej jej skali, pomieściliśmy oba w tekście.

Ze względu na ten postulat przedstawienia całej szerokiej skali twórczości poety z przed roku 89-go dodano i „Obrazki z natury”. Zapewne naruszyło to harmonję układu pierwszego zbioru poety — kompromis ten jednak umotywowany jest celem po-

wyższym. Jeden sonet pozostawiono, tak jak w I-ej książce Kasprowicza w cyklu „Do Niej“, mimo istnienia osobnego cyklu Sonetów. Natomiast do cyklu Sonetów, wstawiono „Poranek“; i nadto poczyniono parę nieistotnych przedstawień w kompozycji pierwszego tomiku z 1889 r. Cykl jego ostatni, „Z motywów biblijnych“ przenosimy do drugiego tomu wydawnictwa, gdzie będzie harmonizował z „Chrystusem“. W ten sposób uzyskało się miejsce na pierwsze próby literackie, które pomieszczone zostały w drugiej części, aby nie psuć obrazu pierwszego oficjalnego występu poety. Miejsce ich bowiem za kulisami jego twórczości. Posiadają one naogół tylko wartość psychologicznego dokumentu, dają nam miarę tego, jaką niesłychaną ewolucję przeżyć może dusza pragnąca doskonalenia się, miarę dokonanego wysiłku. Pochodzą one wszystkie z lat szkolnych Kasprowicza. Cykl ich pierwszy zapisany był w pamiętniku ks. biskupa Laubitza, skąd przedrukowano go w wydaniu Bernackiego.

Na życzenie poety nie wszystkie te wiersze młodociane pomieszczono wówczas w całości. W tej formie przedrukowujemy je w obecnym wydaniu, dopełniając tylko i podając w całości hymn „Do Bogarodzicy“ str. 249, czczym i nieszczerym pietyzmem byłoby poświęcać zbyt wiele miejsca tym rozwekłym często próbom. Zwłaszcza, że dostateczne wyobrażenie o kształceniu się powolnem talentu poetyckiego, w okresie jego marzeń i myśli młodzieńczej daje podany szereg prób. Wiersz „Kolysanka“ otrzymaliśmy od rodziny poety. Dwa wiersze pochodzące z albumu Dra Tadeusza Ulatowskiego przedrukowaliśmy z „Dziennika Bydgoskiego“ i z „Dziennika Poznańskiego“. Wiersze z pamiętnika Walerji Kryszewskiej, z którą łączyła Kasprowicza w latach gimnazjalnych zażyła przyjaźń, przepisał z jej albumu i z jej wskazówkami prof. Adam Münnich i przysłał opracowany i skomentowany ich tekst specjalnie dla niniejszego wydawnictwa. W Pamiętniku Kryszewskiej znajdowały się również wiersze

z 1889, które weszły w skład jego późniejszych zbiorów. W tym tomie uwzględniamy tylko te wiersze pamiętnika, które nie były drukowane za życia poety, z wyjątkiem wiersza „O złote słońce“, pochodzącego również z tego pamiętnika. Datę napisania tych utworów, według dat zapisanych w pamiętniku W. K. i jej ustnych wskazówek, ustalił Münnich. W całym tekście niniejszego wydawnictwa drukujemy utwory poety według pisowni obecnie obowiązującej. Wyjątkowo tylko korzystając z opracowania A. Münnicha wiersze z papierów Kryszewskiej podajemy z zachowaniem pisowni poety z tych lat młodzieńczych: wystarczy to dla zobrazowania ich cech odrębnych. Wysoce charakterystyczną jest tam rola e pochylonego w rymach Kasprowicza.

Nie wszystkie te młodzieńcze próby zdołano zebrać w tym tomie. Ze względów technicznych niektóre z nich musimy odłożyć do jednego z ostatnich tomów wydawnictwa. Niniejszy zbiór wystarczy do zobrazowania drogi rozwoju poety, co było głównym celem.

Ze względów estetycznych daty powstania lub pierwodruków utworów pomieszczamy w spisie rzeczy, przyczem data, podana bez żadnych liter, oznacza czas napisania utworu; literami pd oznaczamy w skrócie pierwodruk. Wszystkie inne utwory, z wyjątkiem dwu oznaczonych pd 1890, których dat nie zdołaliśmy dotąd ustalić, pochodzą z przed 1889 roku. Nawiasy w wierszu Oni i my wskazują strofy skreślone w zb. wydaniu Bernackiego.

Mamy tu dorobek dwudziestoosmioletniego poety. Od lat przeszło dziesięciu usiłuje dać wyraz artystyczny nurtującym go uczuciom. Wzruszająca swą naiwnością „Kolysanka“ lub wiersz do kolegi, Ulatowskiego, pozwalają nam wczuć się w to, z jakich wąskich horyzontów wyrwała się ta dusza chłopięca ku nieznanym przestworzom. Rozumiemy: ta mozolna droga musiała być bardzo długa. Dysproporcja między stawianymi sobie ce-

lami, n. p. trudnej formy sonetu. a nieporadnością pierwszych utworów mówi wymownie, ile zaciętej pracy, ile wytrwałości było w tych poczynaniach. Dziesięć lat upłynęło zanim te kielki przebiły twardą skorupę. Ale jest jeszcze nieznanym, „początkującym poetą”; my wiemy, że jeszcze szereg lat nim będzie. Ma jednak już swoich sympatyków. Bolesław i Marja Wysłouchowie, ludowcy, sympatyzujący z poetą ludowcem, mają doskonały pomysł, aby o przedmowę poprosić T. T. Jeża, którego poeta nie znał osobiście: Któż lepiej od tego człowieka mógł odczuć poetę, który nie miał być nigdy literatem (słowa Kasprowicza o sobie). Ostatnie słowa przedmowy wzruszają dziś jak przenikliwie proroctwa i najlepsza charakterystyka: „rodzić zaopatrzył je w siłę, która mu na przebój starczy”.

W młodzieńczych próbach znać wpływ naszych romantyków — przede wszystkim, naturalnie, Mickiewicza.

Ale w poezjach z pierwszego okresu są już wszystkie swoiste tony Kasprowicza. Więc już nawet w tych naiwnych wierszach do Bogarodzicy — religijność, zrywanie się młodzieńczych uczuć ku hymnowi. Ale to religijność znamienna. To instynktem, to z pomocą zarywających dydaktyką formułek przeczy z całą siłą konwencjonalnym rozdwojeniom na ciało i duszę. Wiemy już, że ten młody poeta nie przyjmie takiej religii, któraby go od ziemi oderwała. Giordano Bruno, U piramidy Cestjusza, wskazują że studia nad historją kultury budzą w nim wzruszenia obejmujące całą ludzkość. Cierpienia jej budzą w nim rozpacz i bunt. „Fragment” podany tu z papierów Kryszewskiej, (notuję za Münnichem) kończył się słowami „okrótny Boże”. Jakże to znamienne dla przyszłego twórcy hymnów. Ale przyroda zawsze przynosi mu ukojenie. Jakie pieściwe tony, jaki liryzm pojawia się u tego poety, gdy mówi o przyrodzie, choć miękkość tonów obca jest jego lutni zazwyczaj. Tu z całą siłą występuje rewolucyjny pierwiastek tego bojownika praw ludu („Więc cóż”, „Odpowiedź”

„On i my”) ale żadne doktrynerstwo nie zdołało go zmamić, obcy, nienawistny jest mu kult rewolucji dla rewolucji: W górnosci wierzeń Shelleya, w harmonji między duszą a ciałem, myślą a czynem, w mitach wcielających religijną tęsknotę ludzkości do świętości, odnajduje szczyty swych ideałów.

Ale jednocześnie jest synem swej epoki i przedstawicielem ludu, za który walczy nie tylko w swych hasłach na dzień najbliższy, lecz i jako artysta. Obrazki z natury to najczystszy artystyczny naturalizm, twórcze przezwyciężenie epigonizmu romantycznego.

Rozmaitość rytmiki i budowy stroficznej wskazuje na poetę, który w rzemiosło swe wkłada całą rzetelność pracy, cały fanatyzm umiłowania. Ale ta rozmaitość form świadczy też o bogactwie skali przeżyć uczuciowych, o naturze bujnej. Formy te raczej więżą jeszcze bujność uczuć, ale twarda ta szkoła wyda owoc... wielkiej swobody. Tylko namiętność porywów społecznych wynosi pieśniarza daleko poza konwencje artystyczne. Siła objawiająca się w tych porywach oraz głębia i rozległość zamyśleń jego cyklów refleksyjnych wyznaczają już tu dwa krańce całej skali przyszłej twórczości.

S. K.

SPIS RZECZY

	Str.
Wydawca do czytelnika	5
Przedmowa	7

I. MELODJE WIOSENNE.

I. Marzanno!	13
II. O witajże nam, Wiosenko	15
III. I oto znowu wróciłaś	17
IV. O złote słońce 1881 r. Poznań	22
V. Nad światem nad sennym zabłysła	24
VI. Wieczorem	26
VII. Na łące pd. 1888 r.	29
VIII. Życie o! życie pd. 1888	30

II. MELODJE JESIENNE.

I. Ciche boje	33
II. Tyle kwiatów opada zawczasie	35
III. Łabędź	36
IV. Z przyjściem jesieni pd. 1885	38

III. Z PADOŁU WALKI

✓ I. Nienawidzę.	47
II. Błogosławieni	48
III. Pieśń Irlandzka	49
IV. Na uroczystość dwóchsetnej rocznicy zwycię- stwa pod Wiedniem.	52
V. Hej, odłogiem leży nasza rola	55
VI. Excelsior 16/IX 1888	57

	Str.
VII. Trzeba nam wiary	59
VIII. Oni i my pd. 1886	61
IX. Więc cóż? pd. 1885	68
X. Odpowiedź pd. 1885	71

IV. SONEITY.

I. Poranek pd. 1878, pierwszy drukowany wiersz poety	77
II. Łzy pd. 1888	78
III. Anioł ciszy pd. 1888	82
IV. Na skrzydłach tęsknoty pd. 1888.	83
V. Tantal	84
VI. Demokryt 1/XII 1888	85
VII. Słuchaj jeżeli pd. 1890	86
VIII. Z chałupy pd. 1888	87
IX. Z Więzienia 1888	112

V. OBRAZKI Z NATURY.

I. W chałupie pd. 1885	139
II. Chłopska dola pd. 1886	143
III. W ciszy wieczoru pd. 1885	145
IV. Na targu pd. 1885	148

VI. SNY I MARZENIA.

I. Widzenie.	155
II. Chwila zadumy	158
III. U Piramidy Cestjusza (Cieniom Shelleya) pd. 1885 r.	167
IV. Giordano Bruno pd. 1886	175
V. Anadiomene pd. 1886	185
VI. Aryman i Oromaz	193

	Str.
Część I. Aryman	193
Chór Diwów	194
Chór Amszas pantów	195
Oromaz	196
Aryman	198
Chór Amszas pantów	199
Chór Diwów	199
Część II. Człowiek	201
Chór Amszas pantów	202
Człowiek	202
Chór Amszas pantów	203
Aryman	203
Oromaz	204
Chór Diwów	205
Część III. Zoroaster	206
Chór niewolników	207
Zerwane akerene	208
Aryman i chór Diwów	209
Chór Amszas pantów	209
Oromaz	209
Chór zmartwychwstałych	210

VII. DO NIEJ.

I. Ja ciebie kocham pd. 1885	213
II. Nieraz się pytam pd. 1885	216
III. Przypomnienie	218

VIII. PIERWSZE PRÓBY POETYCKIE.

Świt wiosny	223
Westchnienie	223

	Str.
Dumka	223
Wieczór nad Gopłem	224
Dumka	224
Elegja	225
Dumka wygnańca	226
Poezja	227
Zdrowie niewiernych kochanek	227
W Szarleju	228
Tęsknota	229
Gopło	229
Majtek	230
Dzisiejsza pieśń	232
Na dzień 3-Maja	232
Mysza wieża	233
Do....	234
Do Bogarodzicy	234
Do....	236
Wiosna	236
Do...	237
Ptaszę	237
Topielnik	238
Do jaskółki	239
Nasz wiek	240
Do....	240
Widziałem	241
Myśmy dzieci jednej matki!	241
Ofiara	242
Przeszłość i przyszłość	242
Poci a groby	243
Do poezji	244
Topole	244

5767

	Str.
Niezabudki	245
Pokusa	246
Zima	246
Życzenie	246
Do Bogarodzicy 28 i 29/XII 1872 r. w Szymborzu	248
Słowiańska pieśń	250
Do rusalki	251
Przechadzka nad Gopłem 29/III 1880 r.	252
Przyjście Wiosny	257
Elegja	259
Kołysanka	261
Miłość 1881 r. Poznań	262
Sonet I. 1881 r. Poznań	263
Róże 1881 r. Poznań	264
Sonet II. 1881 r. Poznań	265
Sonet III. 1881 r. Poznań	265
Po roku 1881 Poznań	266
Różyczko moja, różyczko 1881 r. Poznań	268
Rezygnacja 1881 w Opolu	269
Ze szczęścia dni... 8/I 1881 w Poznaniu ofiarowany na pamiątkę Walerji Kryszewskiej	270
Takie mi słała uśmiechy... 1881 Poznań	271
Dolejcie wina do szklanek 1881	272
Fragment 1881 Poznań	273
Synowie ludu! 3/X 1881 w Opolu	275
Pożegnanie 1/X 1881 w Opolu	277
U studni 5/X 1881 w Opolu	281

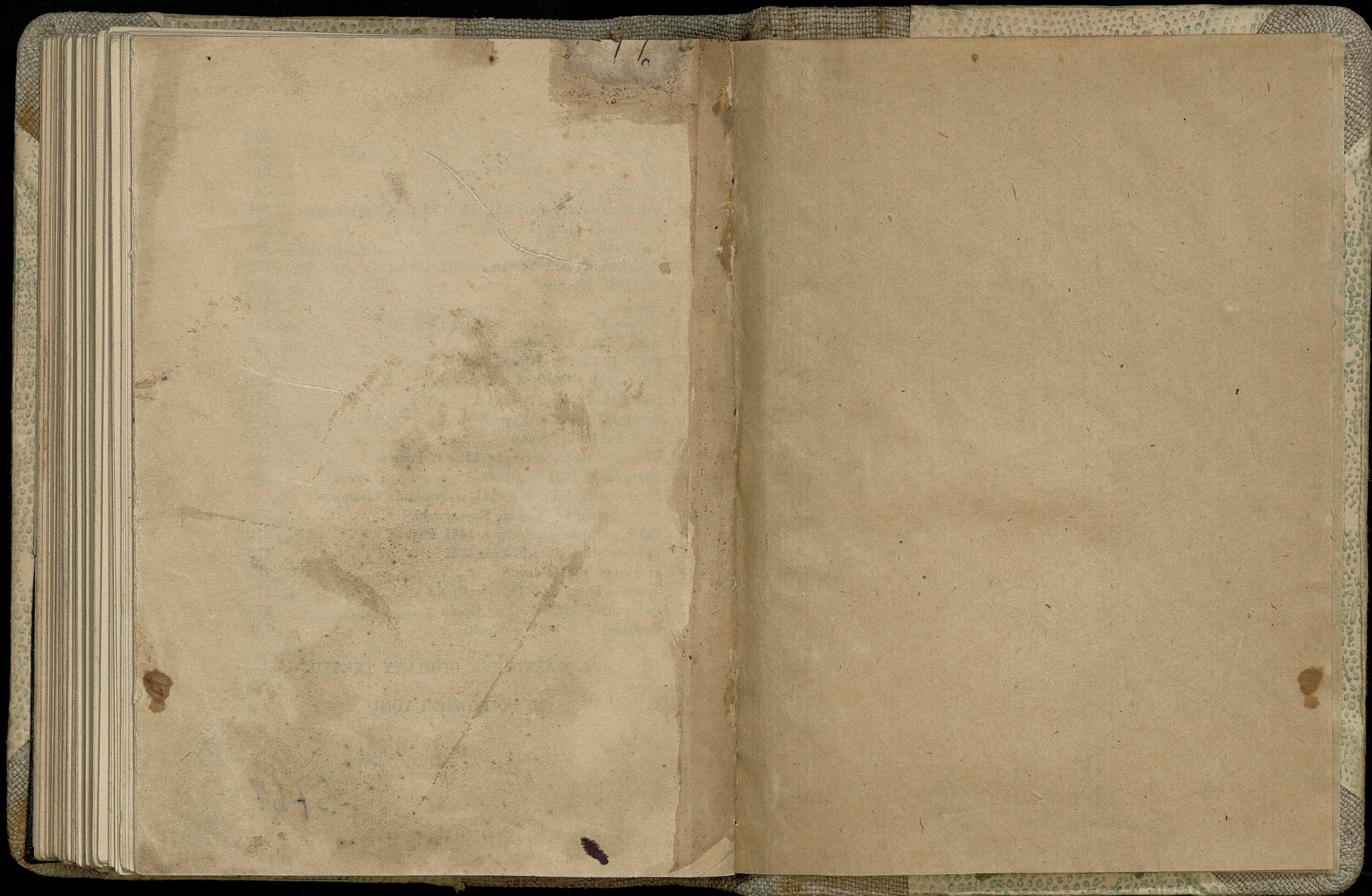
IX. WAŻNIEJSZE ODMIANY TEKSTU

X. POSŁOWIE I TOMU

Miejscowa Biblioteka J. J. J.

5767.

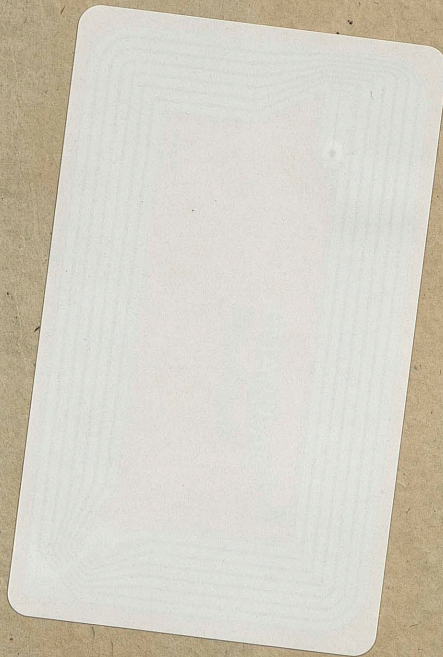
Białymstoku



35,36

3535

Tchongenshi. S.
18h-XI D.



5767